

Krew i wino

Gert Godeng
TOM 1.
DZBAN MIODU

Przełożył Grzegorz Skommer
Autor: Gert Nygardshaug (Gert Godeng)
Tytuł oryginału: Honningkrukken

Elipsa Sp. z o.o.

1

Fredric Drum spada, czołga się,
po czym dokonuje zamachu na butelkę
Chóteau ChevalBlanc rocznik 1961

To czyste szaleństwo. Poszycie lasu zgęstniało, brodził po kolana w morzu paproci. Gdzie jest ta ścieżka?

Kątem oka dostrzegł po lewej stronie coś żółtego, jakby wstążkę zwisającą z gałęzi. W odruchu ciekawości Fredric zaczął przedzierać się przez zarośla w kierunku jaskrawej plamki. Nagle ziemia rozstała się pod jego stopami i osunął się w jakąś rozpadlinę. Poczul gwałtowny ucisk w klatce piersiowej. Tkwił unieruchomiony w klinowatej szczelinie, machając nogami w powietrzu; poniżej musiała być jakaś podziemna komora czy grotka, a może nawet przepaść. Głowa ledwie mu wystawała ponad krawędź rozpadliny, a gałązki paproci łaskotały go w nos. Fredric kichnął.

Kichnięcie sprawiło, że osunął się nieco głębiej. Z najwyższym trudem wyciągnął ramię w górę, rozpaczliwie szukając jakiegoś uchwytu. Czepiał się wątłych roślinek, ale wyrывał je z korzeniami i z każdym ruchem zapadał się, centymetr po centymetrze, coraz niżej.

W końcu znieruchomiał. Słyszał jedynie bicie własnego serca, czuł ucisk w piersi; zlizął suchym językiem kilka kropli potu. Ogarnął go paniczny strach i otworzył usta do krzyku, ale wydobył się z nich jedynie jęk, ciche westchnienie.

Na cóż zresztą zdalby się krzyk? I tak nikt by go nie usłyszał, gdyż podczas spaceru Fredric nie spotkał żywej duszy.

Poruszył stopami w powietrzu. Ciekawe, ile metrów dzieli go od dna, jak głęboka jest ta rozpadlina?

Z każdym oddechem ześlizgiwał się o kolejne milimetry. Nabierając powietrza, powstrzymywał upadek, lecz nie mógł

przecież przestać oddychać. To już koniec, Fredricu Drum, pomyślał, wpadniesz w bezkresną dziurę w departamencie Gi*ronde w południowej Francji i zginiesz z dala od domu! Nikt cię nie odnajdzie, dosłownie znikniesz z powierzchni ziemi. Przycisnął podbródek do śliskiej omszałej skały w desperackim akcie oporu, zamknął oczy i wstrzymał oddech.

Poczul klucie w uszach i pulsowanie krwi w czaszce, a potem usłyszał gwar głosów, słowa wypowiedane na przemian po francusku i norwesku. Najpierw głos Tobą, jego druha Torbjorna Tinderdala: „Wędzona pierś głuszca, drobno siekana wątróbka w sosie koniakowym. I butelka Chdteau Talbot. Go o tym sądzisz, Fredricu?”. Potem głos przyjaciółki, Mai Manue*lli: „Medoc, Fredricu, Medoc to najlepszy rejon winiarski. Pomyśl tylko o miasteczkach Margawc, Paulliac i St. Estepbe, wszystkie leżą na półwyspie Medoc”. I wreszcie dobiegł go chór głosów tuzina handlarzy i właścicieli winnic: „Petit degustation,

wyśmienite wino, najlepsze w St. Emilion, Grand Cru, Grand Cru Classe, Premier Grand Cru Classe. Proszę skosztować mojego, proszę posmakować tego rocznika!".

Wreszcie znowu złapał oddech i obsunął się kilka milimetrów w dół, trąc podbródkiem o szorstki teraz kamień. Zadarł głowę do góry. Ujrzał listki paproci poruszające się na lekkim wietrze, pień drzewa odarty z kory, gałęzie i liście * rude, zielone i żółtawe. Słone krople potu spływały mu do oczu, powodując nieznośne swędzenie. Szukał oparcia dla stóp w złudnej nadziei, że dno rozpadliny jest tuż pod nim.

A więc tak ma umrzeć? On, Fredric Drum, zwany przez wielu Pielgrzymem, właśnie w ten sposób ma zejść z tego świata? Pochłonięty przez ziemię bezpowrotnie i na zawsze? Wielu będzie go szukać, ale nikt nie znajdzie.

Jego koszula była w strzępach * jej resztki owinęły mu się wokół ramion i szyi * i chropowata powierzchnia wapiennej skały raniła mu skórę na piersi i plecach, kiedy osuwał się w głąb szczeliny. Czuł, że ramiona trzymające się kurczowo krawędzi przepaści już mu zdrętwiały. Mógł jedynie poruszyć głowę. Rozdziawił usta i wbił zęby w skałę. Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt i Fredric poczuł krew na dziąsłach. Opuścił go wszystkie siły.

I wtedy zdał sobie sprawę, że chyba przestał zsuwać się w dół. Czyżby zdołał powstrzymać upadek? Jak długo to trwa, parę sekund czy może minut? Zamknął oczy i zlizął z twarzy kilka słonych kropli potu. Wisiał nieruchomo, oddychając ostrożnie i nasłuchując. W oddali rozległo się szczekanie psa, niedaleko z suchym trzaskiem pękła gałązka. Pękła gałązka! Czyżby ktoś był w pobliżu? Z ust Fredrica wydobył się chrapliwy krzyk. I w tym samym momencie, kiedy opróżnił płuca z resztek powietrza, spadł.

Fredric Drum tkwił na średniowiecznym rynku St. Emilion, mrużąc oczy w oślepiającym blasku morskiego powietrza znad położonego na południowym zachodzie regionu Medoc. To urocze miasteczko rozpostarte na wzgórzach na północ od rzeki Dordogne było mekką znawców wina. St. Emilion. Sama ta nazwa wywoływała skojarzenia ze składnikami dobrego trunku.

Przyjechał tu przed czterema dniami z zamiarem nabycia dobrego wina dla restauracji w Norwegii, której był współwłaścicielem. „Kasserollen”. „KASSEROLLEN, przytulna restauracja. Tylko sześć stolików. Menu dla znawców. Rezerwacja wyłącznie telefoniczna". Tak brzmiało ogłoszenie zapowiadające otwarcie lokalu. Niemal każdego wieczoru mieli komplet gości. Interes szedł znakomicie.

W St. Emilion zdołał zawrzeć znajomość z wieloma handlarzami, zarówno drobnymi proprietaires, jak i wyniosłymi maitres de chai, strażnikami właściwego dojrzewania i przechowywania trunków. Dziś siedział wśród nich, przy jednym ze stolików rozstawionych wokół dębu na środku rynku. Jesienne światło z południowego zachodu wprawiało go w dobry nastrój.

Przy stolikach toczyły się ożywione rozmowy. Mówiono głośno i z powagą, tubylcy z zapalem gestykulowali. Nie rozmawiano o winie ani piłce nożnej, nawet o polityce. Ponura tragedia spowiła piękne miasteczko St. Emilion.

W sierpniu i wrześniu siedem osób w wieku od dziewięciu do sześćdziesięciu dwóch lat zaginęło bez wieści. Wszystkie pochodziły z St. Emilion i jego okolic.

Wieża średniowiecznego kościoła rzucała na rynek długi i złowrogi cień.

Poruszył się w mroku. Przecież w St. Emilion było jasno. Nie siedzi na rynku? A więc może śnił? W takim razie trzeba się obudzić! Rynek w St. Emilion, stoliki, wokół nich znawcy win, właściciele chdteaux i on. Pogrążeni w rozmowie o winie? Nie, nie o winie, o czymś smutnym. Wystarczy, nic się nie zgadza, tu jest ciemno, twardo i chropowato. Boli go klatka piersiowa, biodro, twarz. Ktoś powiedział, że na tyłach Chateau Frigeac biegnie ścieżka, która skrótem przez las prowadzi do Chateau Cheval Blanc. Miał umówione spotkanie z maitre de

chai w Cheval Blanc. Chodziło o testowanie wina. Śnisz, Fre*dricu, na rynku w St. Emilion jest jasno!

Otrzeźwiał, myśli miał teraz jasne. Spadł do dziury w ziemi. Nie zginął * zapewne nabawił się poważnej kontuzji, ale nie zginął. Na jakiś czas stracił przytomność, a teraz leżąc, wpatrywał się w wąską szczelinę światła w górze. Jak wysoko ponad nim? Upadek musiał spowodować znaczne obrażenia. Czy będzie miał odwagę to sprawdzić?

Miał odwagę. Stwierdził pełną ruchomość wszystkich kończyn. Nieźle. Żadnych złamań? Żadnych. A obrażenia wewnętrzne? Zacharczał i splunął, ale nie poczuł smaku krwi. Wciąż jednak czuł ból biodra, klatki piersiowej i głowy.

Leżał na stosie gałązek i zbutwiałych liści, które złagodziły upadek. Wokół rozlegał się dźwięk miarowo spadających kropli. Kap, kap.

w

Usiadł i ze zdziwieniem zauważył, że ból głowy momentalnie ustąpił. Z biodrem było gorzej, sprawiało ból przy dotknięciu. Z głęboką ulgą skonstatował jednak, że żyje i nie doznał żadnych trwałych uszkodzeń. Tyle tylko, że znalazł się w mrocznej otchłani głęboko pod ziemią.

Natrętna myśl nie dawała mu spokoju, domagała się wyjaśnień: czy właśnie w taki sposób zaginęło w ostatnich miesiącach siedmioro ludzi? Wpadając w rozpadliny w ziemi i znikając na zawsze? To niemożliwe, wszyscy pochodzili stąd i z pewnością wiedzieli o istnieniu podziemnych jaskiń. St. Emilion znane bowiem było nie tylko z wina, ale i niezliczonych pieczar rozsianych po całej okolicy; niemal każde ckdteau posiadało własną grotę, w której składowano wina.

Siedmioro ludzi przepadło bez wieści. Plus jeden Norweg.

Podnosząc się, walnął głową o występ skalny. Przed oczami pojawiły mu się gwiazdy, ale zdołał utrzymać się na nogach. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności * światło sączące się przez szczelinę w górze nie sięgało do dna przepaści. Fre*dric zaczął po omacku badać ściany w poszukiwaniu wyjścia z pułapki.

Potykał się o gałęzie, ślizgał na mokrych kamieniach, aż wreszcie jego stopa natrafiła na jakiś przedmiot, który poturlał się po skale z głuchym łoskotem. Wydrążony kamień? Tknięty przecuciem, Fredric opadł na kolana i zaczął macać ziemię wokół siebie. W końcu znalazł przedmiot, który potracił stopą. Przez kilka sekund trzymał go w dłoniach, po czym wypuścił jak poparzony.

To była ludzka czaszka. A więc ktoś już trafił przed nim w to miejsce. Z gardła Fredrica Drum wydobył się przeciągły jęk.

* Nie, jedź do Medoc, Margaux lub St. Julien. Może mają tam lepsze wino * nalegała Maya Manuella.

* Szkoda czasu na dyskusję * odrzekł Fredric. * Zdecydo*

wałem się już na St. Emilion. Nie chodzi wyłącznie o wino. Tam jest ponoć pięknie, to średniowieczne miasteczko. Jak przyjdzie twoja kolej, możesz pojechać do Medoc. Będziesz przynajmniej miała jakąś odmianę po tych wszystkich podróżach na Madere.

Maya Manuella Gardilleiro pochodziła z Madery, z małej wioski wielorybników o nazwie Canical. Opowiadała, że matka i brat wciąż tam mieszkają. Ojciec przeniósł się do Norwegii, ale Maya go nie widywała. Fredric i Tob nie wypytywali jej o szczegóły; domyślali się, że za tą obojętnością kryją się jakieś rodzinne niesnaski. Maya mieszkała w ich ojczyźnie od wielu lat i dobrze mówiła po norwesku.

Ciągnęli losy, by rozstrzygnąć, kto pierwszy wyruszy w podróż, i padło na Fredrica. Ich plan przewidywał, że raz w roku jedno z nich wyruszy do znanych regionów winiarskich, by testować wina i sprowadzać je na potrzeby restauracji, rzecz jasna za pośrednictwem państwowego monopolu. Cała trójka była zgodna, że wykwinne jedzenie wymaga dobrego wina. Wyjątkowo dobrego wina.

* Uważam, że głupio postępujesz i będziesz żałować *stwierdziła Maya, pociągając tyk z kieliszka. Siedzieli wszyscy razem przy stoliku właścicieli „Kasserollen”. Mieli miły zwyczaj wypijania po zamknięciu lokalu połowy butelki lepszego trunku.

* Fredric sam zdecyduje * zakończył dyskusję Tob, przecierając grube szkła okrągłych okularów. * Dlaczego nie St. Emi*lion? Jedno z moich ulubionych win pochodzi właśnie stamtąd. Chateau Pavie.

Powinien był posłuchać Mai Manuelli i pojechać do Medoc. Kto jednak mógł przewidzieć, że zdarzy się taki wypadek?

Fredric Drum oparł się o mokrą skałę i mrużąc oczy, spojrzał w kierunku szczeliny. Potem zamruczał coś pod nosem

i sięgnął do kieszeni po przedmiot, z którym nie rozstawał się podczas rozlicznych podróży po świecie. Był to gruby kryształ w kształcie pięcioramiennej gwiazdy wielkości pięciokoro*nówki. Zamówił go kilka lat temu w hucie szkła Hadeland po przeczytaniu książki o tajemniczych właściwościach kryształów i ich znaczeniu w dziejach ludzkości. Fredric Drum nie należał do osób przesądnych, lecz nie wątpił, że ta pięcioramiennea kryształowa gwiazda potrafi nawiązywać z nim kontakt. Wystarczyło jedynie właściwie odczytać barwy, które ukazywały się po przejściu światła przez jej ramiona.

Podniósł gwiazdę w górę. Kryształ rozblysnął żółtawą poświatą. Żółty to kolor bez znaczenia. Fredric rozpoczął serię przedziwnych manewrów. Czołgając się po dnie rozpadliny, przykładając raz po raz kryształową gwiazdę do prawego oka, jednocześnie przymykając lewe. Przy tym cały czas mruzczał pod nosem.

* Żółty, niemal biały, lekko niebieskawy? Spójrzmy jeszcze raz. Znow żółty, do diabła! Czerwonawy blisko tej ściany *uważaj na głowę! * a teraz bardziej czerwony. O, bez wątpienia intensywnie czerwony. Dobrze, zachowaj spokój.

Leżał teraz przyciśnięty do skały nieomal w samym środku rozpadliny i badał jej chropowatą powierzchnię, naciskając ją i opukując palcami. I nagle jeden z kamieni obsunął się, wywołując niewielką lawinę drobnych kamyczków i piasku.

* Voila!* wykrzyknął i kichnął, ocierając twarz z kurzu.

Z dziury w ścianie wydobywał się ciężki zapach zgnilizny. Fredric wcisnął kryształową gwiazdę do kieszeni i wsunął się w niezwykle wąski otwór. Przez jakiś czas musiał się czołgać, ale potem tunel stał się szerszy i mógł już poruszać się na kolanach. Nie na długo jednak, wkrótce przekop ponownie się zwęził.

Fredric zaczerpnął tchu. Dokąd prowadzi ten korytarz? Do środka ziemi? Może to pozostałość po strumieniu lawy? Może czeka go podróż a la Niels Klim?

Pełznął przed siebie, mając wrażenie, że ściany tunelu napierają na niego. Z coraz większym trudem przeciskał się przez zwiężenia, walcząc z napadami klaustrofobicznego lęku. Było gorąco, jego ciało pokryło się potem, uchodziły z niego resztki sił. Naprzód, naprzód! Zmuszał się, by myśleć o przyjemnych rzeczach, o „Kasserollen” * najmniejszej, ale i najlepszej restauracji w Oslo, której jadłospis nie miał sobie równych w całej północnej Europie. Za parę dni zasiądzie przy stoliku w towarzystwie przyjaciół i współwłaścicieli, Toba i Mai Manuelli, by opowiedzieć im o swojej wyprawie do St. Emilion. Będą sączyć dobre wino, podsumowując udany dzień. Będą planować menu na kolejny dzień: pieczone płaty wątroby renifera marynowane w koniaku i podane z migdałowym puree ziemniaczanym z odrobiną musztardy z Dijon.

Myśl, Fredricu, myśl!

Tunel zaczął gwałtownie opadać w dół. Fredric ześlizgiwał się głową do przodu, mając świadomość, że teraz nie ma już odwrotu. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że korytarz będzie coraz szerszy.

Myśl, myśl o czymś innym, Fredricu!

Ile metrów już przebył? Sto, pięćset, cały kilometr? Która jest godzina, ile czasu spędził we wnętrzu ziemi? Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Po raz tysięczny wałnął czołem o skałę i znieruchomiał. Zrobiło się bardzo ciasno i zaczęło brakować powietrza. Zaraz się udusisz, Fredricu!

Wykonał jeszcze kilka ruchów dłońmi, odepchnął się stopami, i udało mu się przesunąć kilka metrów. Kiedy ten tunel zmieni kierunek i zacznie biec w górę?

Przed oczami tańczyły mu czerwone kropki, pod czaszką krążył, migocząc i tnąc boleśnie, rój czerwonych owadów. Fredric zamarł w bezruchu, czując na plecach ciężar tysięcy ton górskiego zbocza.

Kolorowe budynki wokół rynku. Charcuterie. Boucherie. Bo*ulangerie. Przy małych stolikach wokół dębu kłębili się ludzie. W niewielkich dzbankach podawano vin de maison.

Wszyscy mówili jeden przez drugiego. Minęły trzy dni od zniknięcia Jean*Marie

Lascombe'a. Jean*Marie, siedemnastoletni pomocnik w Chateau Beausejour Becot, studiował ampelografię, czyli naukę o winoroślach, i mieszkał wraz z rodzicami w centrum miasteczka.

Tamtego wieczoru jak zwykle skończył pracę o ósmej, lecz nie dotarł do domu. Żaden z przyjaciół go nie widział. Maitre de chai w Chateau Beausejour Becot opuścił posiadłość pół godziny wcześniej i był ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

Czy Jean*Marie Lascombe stał się kolejną ofiarą tajemniczych zniknięć?

Fredric nadstawiał uszu, przypatrując się skupionym twarzom zgromadzonych. Doskonale rozumiał, że to przyjazne winiarskie miasteczko przeżywa tragedię, ale on przybył tutaj w konkretnym celu. Mimo powagi sytuacji musiał zadbać o swoje kontrakty. Tego dnia wybierał się do Chateau Cheval Blanc, obok Chateau Ausone najwspanialszej posiadłości apelacji St. Emilion. Te dwa chdteaux stanowiły klasę same dla siebie i Fredric z góry cieszył się na spotkanie z maitre de chai w Cheval Blanc.

Jak tam dotrzeć? To pytanie postawił wszystkim zgromadzonym przy stolikach i odpowiedzi sprowadzały się do jednego: trzeba iść przez las ścieżką biegnącą na tyłach Chateau Figeac.

Fredric odnalazł ją, jednak w środku lasu dróżka rozwidlała się, a właściwy kierunek wskazywała strzałka z napisem „Chateau Cheval Blanc”. Rzecz jasna ruszył za strzałką, ale po jakimś czasie ścieżka zginęła w morzu paproci. Właśnie zamierzał zawrócić, kiedy dostrzegł zawieszoną na gałęzi żółtą szmatkę. Wyglądało na to, że ktoś celowo ją tam umieścił.

Oddychaj, Fredricu, oddychaj!

Było gorąco i pot spływał strumieniami po jego ciele. Fredric zapadł na chwilę w odrętwienie.

Czy zdoła posunąć się naprzód? Wytężył siły i przesunął się o dziesięć centymetrów. Znalazł oparcie dla nóg i znowu się odepchnął. Tymrazem przemieścił się metr w dół. Wkrótce spadnie w morze kipiącej lawy. Poddaj się, Fredricu, poddaj się!

Nigdy. Fredric Drum nigdy się nie poddaje. Czyż nie raz bywał w opresji? Czyż nie wychodził ze wszystkich tarapatów obronną ręką? O tak, Drum wiele dokonał w swoim krótkim życiu. Poddać się? Nigdy. Charknął, wypluwając drobiny ku*

rzu.

Dokuczał mu ból w palcach otartych do krwi na szorstkiej powierzchni skały, bolało go całe ciało, ale wciąż parł do przodu. Centymetry zamieniały się w metry, i nagle Fredric poczuł na twarzy powiew chłodnego powietrza. To odkrycie dodało mu sił i w krótkim czasie przebył kolejnych kilka metrów.

Temperatura wyraźnie spadała, a tunel był coraz szerszy; już po chwili Fredric posuwał się na czworakach. Podeksycytowany, przestał sprawdzać rękami przestrzeń wokół, i kiedy nieoczekiwanie uderzył głową w coś twardego, po raz kolejny zobaczył gwiazdy przed oczami. Ochłonawszy, zbadał przeszkodę. To była stalowa krata zamykająca korytarz! Obmacał ją, trafiając na płataninę pajęczyn.

Nie posiadając się z radości, kopnął pręty, wkładając w to uderzenie resztkę sił. Krata zniknęła, a po ułamku sekundy rozległ się dźwięczny łoskot, który, jak mu się zdawało, poniósł się echem przez niekończące się pomieszczenia.

Fredric od razu pojął, że tunel, w którym się znajdował, prowadził do jakiejś potężnej groty. Co jednak było przyczyną powstania dźwięku, który przed chwilą dobiegł jego uszu?

Miał przecucie, że zna odpowiedź.

Z dużym trudem obrócił się i wysunął ostrożnie nogi z otworu, po czym opuścił się w dół i stanął na nierównym śliskim

podłożu. Dla pewności kucnął i zbadał je dłońmi. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że znalazł się na stosie butelek wina w ogromnej piwnicy należącej zapewne do jakiegoś cha*teau. Innymi słowy, był uratowany.

Zsunął się z ogromnej sterty butelek i stanął na cementowej posadzce. Zakreśliło mu się w głowie, więc usiadł. Potem położył się na plecach i zaczął wdychać chłodne powietrze.

Wreszcie zaśmiał się głośno, a echo poniosło jego śmiech po korytarzach.

Ciekawe, jak długo to trwało? Ile godzin, może dni, spędził we wnętrzu góry? Nie miał pojęcia. Fredric Drum, przez wielu zwany Pielgrzymem, nigdy nie nosił zegarka.

Jego ciało było jedną wielką raną, ubranie całe w strzępach. Na dodatek czuł ssanie w żołądku. Minęła cała wieczność, odkąd raczył się confit de canard, kaczką po bordosku, w uroczej restauracyjce „Le bon Vigneron” przy Place Bouqueyre w St. Emilion.

Podniósł się i macając wokół rękoma, ruszył wzdłuż rzędów butelek w poszukiwaniu włącznika światła. Miał serdecznie dość ciemności.

Po chwili trafił na solidną stalową bramę z potężnymi zasuwami i zamkami. Przecucie podpowiadało mu, że na zewnątrz panuje noc, więc darował sobie krzyki i stukanie we wrota.

Obok bramy znalazł przełącznik. Przekreślił go i w pomieszczeniu rozblęskło mnóstwo żarówek. Zamrugał gwałtownie, oślepiiony jasnym światłem.

Kiedy jego wzrok przywykł już do jasności, zobaczył nad bramą ozdobny szyld z napisem głoszącym: „Grand Cave de Chateau Cheval Blanc”. A więc w końcu dotarł do Cheval Blanc. Ciekaw, ilu kupców podążało tą drogą, którą on przebył?

Szkoda, że Tob i Maya Manuella nie mogą go teraz zobaczyć! Tob, który zawsze z takim entuzjazmem skakał w kuchni między pachnącymi rondelkami, mieszając w jednym i doprawiając zawartość drugiego. I Maya, niewyczerpane źródło pomysłów i egzotycznych kombinacji. Stanowili zgrany zespół; ubrani w obszerne śnieżnobiałe fartuchy i równie czyste białe koszule, nieustannie zamieniali się rolami, gotując, podając potrawy, doradzając wybór odpowiedniego trunku. W wolnych chwilach zasiadali przy stoliku za półkami z winem, dyskretnie doglądając gości za pomocą zmyślnego systemu luster.

Szkoda, że nie mogą go teraz zobaczyć!

Fredric ruszył na sztywnych nogach na inspekcję ogromnej piwnicy. Wokół piętrzyły się stosy butelek, niektóre pokryte grubszą warstwą kurzu, inne cieńszą. Nad każdym z nich widniała tabliczka z oznaczeniem rocznika. 1978: sporo kurzu. 1976: ogromny stos, zatem kiepski rocznik. 1975: znakomity rocznik, gdyż sterta butelek niewielka.

Zatrzymał się przed niewielką górą butelek. 1961: rocznik nad rocznikami. Żadne czerwone wino wyprodukowane w tym stuleciu nie mogło się z nim równać. Szczęśliwy rok dla winiarzy.

Czy mu wolno?

Oczywiście, że wolno! W tej chwili żaden człowiek na świecie nie zasługiwał bardziej na butelkę dobrego wina niż Fredric Drum. Sięgnął z nabożeństwem po flaszkę i oczyścił ją z kurzu, po czym wrócił do bramy, gdzie wcześniej dostrzegł półkę z kieliszkami pour degustation i korkociągiem.

Otworzył butelkę, wziął kieliszek i wyszukał sobie ustronne miejsce w głębi piwnicy. Tam sklecił z desek i kartonów wygodne siedzisko.

Co za bukiet! Tysiące zapachów, których nie sposób nazwać. Ani śladu taniny. Smak nie ulatniał się po każdym łyku, tylko przez wiele minut utrzymywał się w nozdrzach i na języku. Właśnie tak powinno być.

Fredric opróżnił do połowy butelkę Chateau Cheval Blanc rocznik 1961 i wpadł w błogi nastrój, kiedy nagle poraziła

go myśl: A jeśli to wszystko, co mnie spotkało, nie było przypadkiem?

Na rozwidleniu ścieżki wiodącej przez las była strzałka wskazująca * nieprawidłowo * kierunek do Cheval Blanc. Ktoś mógł obrócić strzałkę i powiesić żółtą wstążkę, by wciągnąć go w pułapkę. Miał wrażenie, brnąc przez paprocie, że podąża ledwie widocznym wydeptanym szlakiem. Ktoś mógł przetrzeć tę drogę przed nim, by poprowadzić go wprost ku wstążce i rozpadlinie.

Puszczasz wodze fantazji, Fredricu, pomyślał. Wprawdzie w ciągu trzydziestu dwóch lat życia zdążyłeś wpłatać się w niejedną kabałę i nie przypadkiem obdarzono cię mianem Pielgrzyma, ale tego już za wiele. To czysta paranoja. I Fredric odtrącił od siebie tę myśl, która bez żadnej przyczyny przyszła mu do głowy.

A jednak im mniej wina było w butelce, tym bardziej utwierdzał się w swoich podejrzeniach.

Wiele osób na rynku słyszało, że wybiera się do Cheval Blanc. Wiele osób wskazało mu drogę. Część z nich znał z imienia i nazwiska, części twarzy w ogóle nie pamiętał.

Było dość czasu, by obrócić strzałkę drogowskazu i zawiesić wstążkę. Tyle że Fredric nie miał żadnych porachunków z Francuzami, zresztą nigdy dotąd nie przebywał w tym kraju. To była jego pierwsza wizyta, i myśl, że ktoś chciałby nastawać na jego życie, wydała mu się absurdalna.

A jednak kiedy dopijał wino, wciąż tkwiła mu w głowie. Nawet wtedy, gdy wstał, by przynieść kolejną butelkę. Tym razem to nie był rocznik 1961 * o nie, miał dość szacunku dla dobrego wina. Wybrał rocznik 1978. Był już mocno podchmielony, ale pełen animuszu.

Przecież wyszedł cało z kolejnej opresji!

Ledwie pociągnął parę łyków z nowej butelki, kiedy przypomniał sobie dźwięk, który usłyszał przed upadkiem w dół: suchy trzask pękającej gałązki. To wiatr mógł złamać gałązkę, tyle że wtedy nie było wiatru. Albo suchy konar mógł sam oderwać się od drzewa. To jest możliwe, chyba że...

* Drum*drum*drum * wybełkotał pod nosem * tram*tram *tram. Naprzód, Drum, tumanie!

Fredric bez Głowy, Fredric Podrapany, Fredric Odarty ze Skóry. Posłuchaj orkiestry dętej, dźwięku werbli: rented a tent a tent a tent, rented a tent, rented a tent a tent a tent. Werbel gra, tratata tam. Drum, drum!

Przewrócił się na bok i przytulił głowę do rozłożonego kartonu. Był pijany, co rzadko się mu zdarzało. W ułamku sekundy zasnął jak kamień.

Obudził się raptownie na dźwięk otwierania bramy, któremu odpowiedziało ciche stukanie tysięcy butelek. Minęło kilka minut, zanim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i jak się tutaj dostał. Ta świadomość nie była przyjemna, a jego ciało przypominało zdeptane winogrono.

Głowa? Głowa tkwiła na miejscu. Nawet za bardzo.

Teraz musi wydostać się na powietrze. Niezauważony.

Podniósł się z ziemi i wyjrzał ostrożnie zza sterty butelek. Nikogo nie dostrzegł, brama była otwarta, droga wolna. Ruszył naprzód, podskakując niezdarnie. Za bramą przykucnął w zaroślach i zaczął badać wzrokiem okolicę.

Posiadłość Cheval Blanc leżała paręset metrów przed nim. Po lewej stronie widział kilka niewielkich zabudowań, po prawej las. Czy to ten sam las? Jakiś pies zaczął ujadać. Przeklećci czworonożni strażnicy winnic!

Fredric wybrał las. Szedł powoli, każdy krok sprawiał mu ból. Gdyby jakiś pracownik tej szacownej posiadłości dostrzegł zakrwawioną postać w poszarpanych resztkach ubrania, z

pewnością przywołałby żandarmów. I oskarżono by go o wypicie butelki drogiego wina.
Bardzo drogiego wina.

Szedł skrajem lasu, aż ujrzał drogowskaz z napisem St. Emi*lion i ścieżkę. Właściwą ścieżkę.
Wzdrygnął się na myśl, że tę samą drogę przebył pod ziemią, godzinami przeciskając się
przez

tunel, cierpiąc i raniąc się boleśnie. Ale dał sobie radę, na miły Bóg, dał sobie radę.

Dróżka była wyraźna i już po kilkuset metrach Fredric znalazł się w miejscu, które bez trudu
rozpoznał: na rozwidleniu, gdzie strzałka drogowskazu wskazywała kierunek do posiadłości
Cheval Blanc.

Ten sam, z którego przyszedł.

Poprzedniego dnia strzałka kierowała wędrowców na inną ścieżkę * prowadzącą do
rozpadliny.

Fredric Drum zadrzał.

Fredric wykonuje street*dance, studiuje kartę win w dyskotecie i nawiązuje pewną znajomość
Fredric walczył z golarką, delikatnie omijając otarcia skóry i zadrapania. Przyglądał się sobie
z niezadowoleniem: trzydzie*stodwulatek, twarz niepozobawiona lekkich zmarszczek i
opalona, teraz oszpecona jasnoczerwonymi skaleczeniami. Niebieskie oczy, szczerze jak u
dziecka, potrafiły ciskać iskry, kiedy ktoś nadepnął mu na odcisk. Z jego twarzy wyczerała
gotowość do żartów i śmiechu. Śmiech był zresztą jedyną bronią Fredrica, którą wygrał
niejeden pojedynek.

Przez wielu nazywany był Pielgrzymem.

Ten przydomek nadano mu po nieszczęsnej historii z Mią Munch, znaną aktorką.

Niedoświadczony żółtodziób w sprawach miłości, Fredric był łatwą zdobyczą. Spotkali się
przypadkiem na jakimś przyjęciu. Kiedy szczerze i bez owijania w bawełnę opowiedział jej o
swym bogatym w niezwykle zdarzenia życiu, dziewczyna oznajmiła głośno i wyraźnie:

„Znalazłam swojego Pielgrzyma”. Jakiś czas potem został wydany na pośmiewisko całej
Norwegii, kiedy w bulwarowej gazecie ukazały się zdjęcia okraszone nagłówkiem: „NOWY
PRZYJACIEL MII MUNCH: PIELGRZYM”, na których z głupawym uśmiechem obejmował
aktorkę. Trzy miesiące później Mia Munch rzuciła się w ramiona innego mężczyzny, ale
przydomek Pielgrzym zdążył już do niego przylgnąć.

Od tamtej pory minęły trzy lata * to zdarzyło się przed powstaniem restauracji „Kasserollen”
* ale wspomnienie tamtych chwil wryło się na zawsze w pamięć Fredrica Drum. W swoich
relacjach z kobietami był bowiem nieśmiały i w głębi serca marzył o czułym romansie.

Droga powrotna do St. Emilion nie była łatwa, ból towarzyszył mu przy każdym kroku. A do
tego spojrzenia przechodniów wyrażające łatwą do odczytania odrazę. Awanturnik nie cieszył
się niczyją sympatią. Wyłączając być może recepcjonistę hotelu Hotel de Plaisance, zapewne
dlatego, że recepcjonista widział go wcześniej, a pięciogwiazdkowy Hotel de Plai*sance nie
miał zwyczaju gościć awanturników.

* Accident? * spytał mężczyzna, unosząc brwi.

* Oui * odpowiedział Fredric * un grand accident. I pospiesznie udał się do swego pokoju.
Wystarczy. Trzeba zapomnieć o tej historii.

Spał wiele godzin. Po przebudzeniu wziął prysznic i założył czyste ubranie. Sprawdził datę i
godzinę: wtorek drugiego października, kwadrans po piątej. Nie miał pojęcia, że to ważny
dzień dla St. Emilion. La datę de vintage. Winne grona dojrzały, rozpoczynał się zbiór. Tę
decyzję eksperci podjęli w najbardziej odpowiednim momencie. Zbiór rozpoczął się dwie doby
za wcześnie oznaczałby katastrofę, dwie doby za późno * nieszczęście.

Fredric zakończył golenie i usiadł przy biurku. Na parę godzin zapomni o winie i zajmie się
swoim hobby. Nic nie przynosi większego ukojenia niż dobre hobby.

Fredric Drum zdobył wykształcenie wojskowe i kiedyś był ekspertem w dziedzinie kryptologii. Od dziecka interesowało go tajne pismo, rozwiązywanie rebusów i zagadek. Kiedy powołano go do armii, zajął się łamaniem kodów militarnych, ale to mu nie dawało satysfakcji. To było zbyt łatwe, zbyt pospolite, a Fredric stawiał sobie ambitniejsze cele. Po kilku latach studiów lingwistycznych na uniwersytecie uznał, że poświęci się deszyfrowaniu nieodczytanych prajęzyków.

Rozpoczął od badania pisma obrazkowego Majów. Eksperci znali jedynie zapis liczebników od jednego do dziesięciu. Z zapalem Champolliona podróżował przez rok po Ameryce Środkowej, studiując i porównując inskrypcje. Napisana w piętnastym stuleciu książka Diego de Landasa „Relación de las cosas de Yucatán” okazała się mało pomocna i w końcu musiał się poddać.

W ciągu minionego roku coraz więcej czasu poświęcał pismu linearnemu B, zapisanemu na setkach glinianych tabliczek, które odnalazł brytyjski archeolog Evans podczas wykopalisk w Knossos na Krecie. Inny Brytyjczyk, Michael Ventris, ogłosił w 1956 roku, że udało mu się odczytać pismo linearne B, lecz jego interpretacja wzbudziła wiele wątpliwości i kontrowersji. Zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy stało się jasne, że budowla w Knossos nie była pałacem króla Minosa, lecz ogromną komorą grobową. Duże gliniane dzbany zwane pi*tosami, które odnaleziono niemal w każdym pomieszczeniu, zawierały ludzkie kości, czasami całe szkielety. Ventris uznał w swej analizie pisma linearnego B, opartej na niezachwianej wierze Evansa w króla Minosa i jego pałac, że owe dzbany służyły do przechowywania płynów i żywności.

Fredric miał wrażenie, że zaczyna rozumieć tajemnice pisma linearnego B, że znalazł właściwy klucz. W swoich podróżach nigdy nie rozstawał się z plikiem fotografii przedstawiających gliniane tabliczki. Zwłaszcza jedna z nich, oznaczona symbolami Py Ta 641, wzbudzała jego żywe zainteresowanie. Tłumaczenie Michaela Ventrisa brzmiało następująco:

„Pitos 3 ... pitos, wielki z czterema rękoma, żyje, pitos, mały (człowiek?) cztery ręce, chmiel, pitos, mały, trzy ręce, zielona oliwa, pitos, mały (w końcu) żadnych rąk”.

Fredric nie dostrzegał w tym zlepku wyrazów cienia logiki, za to pierwsze próby zastosowania jego własnego klucza wypadły obiecująco. Tekst zaczął przybierać sensowną formę.

Spędził dwie godziny nad zdjęciami, pogwizdując wesoło i racząc się bagietką z serem. W końcu udał się do łazienki i ponownie przyjrzał się własnemu odbiciu w lustrze. Miał ochotę wyjść i pobyć wśród ludzi, ale jego twarz nie wyglądała zbyt atrakcyjnie.

I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

Wpadł do apteki tuż przed jej zamknięciem. Nie znał francuskiego słowa oznaczającego maskujący korektor, ale farma*ceutka w lot pojęła, o co mu chodzi.

Po powrocie do hotelu starannie nałożył na twarz warstwy ciemnego kremu i bezbarwnego pudru, aż osiągnął zadowalający efekt. W świetle lampy trudno było dostrzec otarcia i skaleczenia. O resztę ciała nie dbał, bo i tak było skryte pod ubraniem.

Wyszedł na miasto. Z Place du Clocher podążył wąską uliczką na główny rynek, Place du Marche. Usiadł przed la Creperie i zamówił naleśniki z serem i herbatę. Jego spojrzenie powędrowało w stronę rozstawionych wokół dębu stolików.

Wszyscy byli na miejscu.

Proprietaires, handlarze winem * ci wielcy i ci drobni. To musiało być stałe miejsce ich spotkań. Wielu z nich rozpoznał. Czy wprawilby któregoś z nich w zdumienie, gdyby podszedł i zamówił kieliszek primeuri

Odsunął od siebie tę myśl i popijając herbatę, zajął się lekturą gazety, którą kupił. Jego uwagę przykuł olbrzymi nagłówek:

„POLICJA JEST BEZSILNA W SPRAWIE ZAGINIĘĆ W ST. EMILION. Komisarz Dufteur uważa, że w okolicy może grasować seryjny morderca. W St. Emilion pracuje specjalna grupa śledcza z Paryża. Szeroko zakrojone poszukiwania sprawcy można porównać do śledztwa z początku lat osiemdziesiątych, kiedy to wytropiono i zastrzelono słynnego przestępcę Jacques Mesrime”.

Fredric starannie przestudiował wszystkie artykuły. Wbrew swojej woli znalazł się w samym centrum dramatycznych wydarzeń, a przecież wybrał się do Francji po to, by degustować wina i prowadzić miłe pogawędki o zbiorach.

Wsluchiwał się w rozmowy siedzących w pobliżu osób. Wymieniali ściszonymi głosami nazwiska zaginionych, rozglądając się nerwowo wokół. Ani jednym słowem nie wspomniano o najważniejszym wydarzeniu roku: la date de vintage.

Ponownie zajrzał do gazety. W jednym z artykułów znalazł listę nazwisk:

7 sierpnia: Solange Tefflier, 37 lat, gospodyni domowa. 10 sierpnia: Serge Anton Killy, 9 lat, uczeń. 23 sierpnia: Robert Melline, 51 lat, pracownik winnicy. 25 sierpnia: Cyril Glarent, 29 lat, pracownik winnicy. 3 września: Jeannette Moulin, 15 lat, uczennica. 12 września: Grace*Clare Moyere, 63 lata, emerytka. 28 września, Jean*Marie Lascombe, 17 lat, czeladnik.

Osoby obu płci i w różnym wieku. Sprawa nie ma podłoża seksualnego, pomyślał Fredric, złożył gazetę i odsunął ją od siebie. Nie chciał się do tego mieszać.

Doprawdy? Pielgrzym zamierza trzymać się na uboczu?

Rozejrzał się wokół. Z tłumu wyróżniało się kilku siedzących samotnie przy stolikach dobrze ubranych mężczyzn. To śledczy z Paryża, zapewne strategicznie rozrzućeni po całej okolicy.

Rejon St. Emilion nie był duży, ludzie z zewnątrz w oczywisty sposób rzucali się w oczy.

Fredric zapłacił i wstał od stolika. Ruszył wąską uliczką przez Porte de la Cadene do czternastowiecznego klasztoru Le Cordelier. Usiadł na murku przed klasztorem i popatrzył w dół, na ciche i spokojne miasteczko, skąpo oświetlone nielicznymi latarniami. Od ściany klasztoru oderwało się stadko gołębi. Budowla była w ruinie, resztki cel zakonnych porastały chwasty. W każdą wtorkową noc, kiedy zegar na wieży kościelnej wybijał północ, pośród zawałonych ścian słychać było

placz dziecka. Taką opowieścią podzielił się z nim pewien handlarz winem, kiedy siedzieli wieczorem na rynku pod drzewem dębu. Mówił poważnym głosem, a inni bywalcy lokalu kiwali potakująco głowami.

Fredric uśmiechnął się i wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę. Przysunął ją do prawego oka i przymknął lewe. Kolor był najzwyczajniejszy, bladożółty.

Do północy pozostały jeszcze trzy godziny.

W St. Emilion była dyskoteka i Fredric postanowił się tam wybrać. Dobra muzyka pozwoli mu się odprężyć, zmyć z siebie wydarzenia ostatniej doby i oddalić złe myśli. Może nawet przywróci mu ochotę na butelczynę dobrego wina?

Lokal był pełen młodych ludzi, dymu i decybeli. Stroboskopy i efekty świetlne stwarzały psychodeliczny nastrój, bez którego dyskoteka nie jest dyskoteką. Fredric wybrał stolik, przy którym siedziała już jakaś para. Dziewczyna i chłopak w ogóle nie zwrócili na niego uwagi, pochłonięci wymianą namiętnych pocałunków.

Poczuł lekkie ukłucie w sercu. Mia Munch, Fredricu, pamiętasz Mię Munch?

Zamówił piwo i poddał się dźwiękom piosenki Michaela Jacksona. Muzyka przeniosła go w inne miejsce, w inny czas.

Znalazł się na Knossos. Ujrzał taniec byka. Ubrane na białą dziewczęta poruszają się lekko i z gracją przed rozjuszonym zwierzęciem, wykonują zręczne uniki zakończone perfekcyjnym skokiem nad byczym grzbietem i pewnym lądowaniem. Otrzymują same dziesiątki od wszystkich sędziów. A potem szklanicę miodu pitnego i odprężającą kąpiel w marmurowym

basenie... Nie, nie tak. Może tak: szybkie, nerwowe kroki, lęk wypisany na pobladyłych uroczych obliczach. Byk wykonuje pchnięcie i przebija dziewczynę rogami. Śmiertelnie zranione dziewczę leży w kałuży krwi przed szeregiem kapłanów, którzy wprawnym ruchem podnoszą ją i wrzucają głową w dół do ogromnego dzbana. Pitos będzie miejscem jej wiecznego spoczynku.

Archeolog Evans był kłamcą i oszustem.

A Michael Ventris jego wiernym uczniem, który zinterpretował pismo linearne B w duchu mistrza i upiększył kulturę minojską.

Para opuściła stolik i Fredric dłuższą chwilę siedział samotnie. Potem zjawiała się jakaś dziewczyna i zajęła krzesło naprzeciwko niego. Usiłował nie zwracać na nią uwagi, ale z miernym skutkiem. Co rusz jego wzrok omiatał jej postać; dziewczyna wydała mu się nadzwyczaj piękna. Z pewnością czekała na swego adoratora.

Minęło dziesięć minut i kawaler się nie pojawił. Dziewczyna siedziała nieruchomo, obejmując dłonią kieliszek wina i wpatrując się w blat stołu. Fredric chrząknął. Na tyle głośno, że muzyka go nie zagłuszyła.

Dziewczyna podniosła wzrok.

Nawet nie próbuj, mówiło jej spojrzenie.

Wcale nie zamierzam, odpowiedział jej w duchu zawstydzony Fredric i przywołał na usta słaby uśmiech, którego nie mogła nie zauważyć.

Po kolejnych dziesięciu minutach zerwał się gwałtownie, skłonił głęboko i zapytał:

* Voulez*vouz?

Dyskdokej puszczał street*dance * zaraźliwe rytmy, którym trudno się oprzeć; dziewczyna odsunęła kieliszek, wstała i ruszyła za nim na parkiet.

Street*dance! Fredric był sztywny jak kij, a kiedy wykonał pierwszy ruch, obolałe mięśnie zawyły z bólu. Było już jednak za późno, by się wycofać.

Z trudem dotrwał do ostatnich dźwięków. Ona poruszała się lekko jak puch dmuchawca, miękko i zgrabnie. Fredric wykonał parę wyuczonych figur, ale nawet wtedy dziewczyna nie zaszczyciła go spojrzeniem. Traktowała go jak powietrze. Uważaj, jestem bykiem i mam ostre rogi, pomyślał.

Po powrocie do stolika zdążył się przedstawić, zanim muzyka na nowo wybuchła. Fredric Drym.

* Drym? * Spojrzała na niego zdziwiona. * Qu'est*ce que cest Drym?

* Moje nazwisko * odrzekł. * Drum. Francuzi wymawiają je Drym. Jestem Norwegiem.

* A ja Francuzką. Genevieve.

W jej głosie pobrzmiwała ironia, ale tym razem przynajmniej nie unikała jego wzroku.

* Wypijesz ze mną butelkę wina? Jestem sam i mam ochotę z kimś porozmawiać. I nie mam złych zamiarów! * wrzeszczał, by przebić się przez muzykę, choć zdawał sobie sprawę, że wykrzykiwanie takiej propozycji obcej kobiecie nie jest najszcześniejszą metodą zawierania znajomości. Dziewczyna spojrzała na zegarek, zamyśliła się, po czym skinęła głową.

Fredric ruszył do baru i poprosił o kartę win. Karta rocznikowych win w dyskotecce? Taki cud możliwy jest tylko w jednym miejscu na świecie: w St. Emilion.

Wybrał wino ze środka listy * nie chciał przesadzić z hojnością ani wykazać się nadmiernym skapstwem. Małe cha*teau, Grace Dieu, Grand Cru. Apelacja St. Emilion szczyliła się własnym systemem klasyfikacji. Dwanaście najlepszych posiadłości należało do kategorii Premiers Grand Cru Classe. Z tych dwunastu dwie stanowiły klasę same dla siebie: Cha*teau Cheval Blanc i Chateau Ausone; wina tych producentów trzykrotnie przewyższały ceną pozostałe. W kategorii Grand Cru Classe mieściło się przeszło siedemdziesiąt win. Najniżej w klasyfikacji znajdowały się wina Grand Cru wytwarzane w ponad pięciuset chdteaux. Fredric miał jednak świadomość, że w tej grupie można znaleźć trunki wysokiej jakości, zwłaszcza w udanych rocznikach.

Z tego właśnie względu zdecydował się na Grand Cru: Chateau Grace Dieu i starannie wybrał rocznik. 1975. Dobry rok.

Wrócił z butelką i dwoma kieliszkami do stolika. Nalał odrobinę. Dziewczyna podsunęła kieliszek pod nos, po czym spróbowała i kiwnęła głową. Dyskżokej zrobił sobie przerwę, dzięki czemu mogli normalnie porozmawiać.

* Dobrze znasz to wino? * spytała, wskazując butelkę.

* Czy je znam? Nie, pierwszy raz piję Chateau Grace Dieu. * Powąchał zawartość kieliszka i pociągnął mały łyk. * Lekko owocowy bukiet. Bardzo łagodne i jakby trochę powściągliwe w smaku. To niewielka posiadłość?

* Dziwne * odpowiedziała, uciekając wzrokiem. * Dziwne * powtórzyła.

* Co w tym dziwnego? * spytał.

Wbiła w niego spojrzenie dużych brązowych oczu * niezbyt natarczywie, gdyż wciąż była jakby nieco nieobecna.

* Mieszkam w Chateau Grace Dieu * wyjaśniła. * Nawet się tam urodziłam. Mój ojciec jest vigneron i niedługo zostanie samodzielny właścicielem, proprietaire.

Wielkie nieba, pomyślał Fredric, co za spotkanie. Zacisnął palce na kryształowej gwieździe. Że też wybrałem właśnie to wino! Głośno zaś powiedział:

* W takim razie jestem pewien, że wino z Grace Dieu awansuje do kategorii Grand Cru Classe, kiedy twój ojciec zostanie proprietaire. Wypijmy za to! * I uniósł kieliszek.

Dziewczyna uśmiechnęła się i spełniła toast.

* Pracujesz w posiadłości? Pokręciła głową.

* Studiuję chemię i farmację na uniwersytecie w Bordeaux, a teraz odbywam półroczną praktykę w aptece w St. Emilion. Jest taniej, bo mieszkam w domu.

* A twój fiancP. * wyrwało się Fredricowi. Pytanie było nieco impertynenckie.

Dziewczyna spojrziała przed siebie i pociągnęła parę łyków.

* Mój chłopak jest maitre de chai w Chateau Ausone. *W jej głosie nie było cienia czułości. Cudownie, pomyślał Fredric. Masz nie byle jakie towarzystwo.

* Powinien był zjawić się godzinę temu. Teraz już pewnie nie przyjdzie, w końcu mamy la date de vintage. Przypuszczam, że wszystkiego dogląda. A przynajmniej powinien.

Wstała i zatrzasnęła zamek torebki. * Merci, monsieur Drym. Dziękuję za wino. Au revoir. Wysła, a Fredric pozostał, sącząc Grace Dieu, którego bukiet zdawał się z każdym łykiem nabierać intensywności. Urodziwa panna, jedna rzecz jest pewna: trzeba znaleźć czas na wizytę w Chateau Grace Dieu. Kilka butelek z lepszych roczników powinno trafić do „Kasserollen”, parę zaś do jego prywatnej piwniczki. Uczucia kojarzone z winem to połowa jakości trunku, pomyślał filozoficznie i uśmiechnął się w duchu.

Mia Munch to już odległa przeszłość, Fredricu. Tak jak i pozostałe kobiety w twoim życiu. Dyskoteka dudniła pełną mocą. Muzyka wysyłała Fredrica w podróż wirówką bez narażania na szkodliwe działanie przyspieszenia grawitacyjnego, odwirowywała go i oczyszczała. Co sekundę eksplodowała galaktyka, co sekundę powstawała kolejna. Miliardy słońc pojawiały się w mgnieniu oka. Towarzyszyły im cudowne myśli.

Wyszedł w spokojną noc. Słabe światło latarni nie przeszkadzało w oglądaniu gwiazd. Fredric wpatrywał się w nie tak długo, aż mu zeszywniał kark.

Potem ruszył Rue Guadet i skręcił w ciasny zaułek o pretensjonalnej nazwie Rue des Girondins. Zegar na wieży średniowiecznego kościoła wskazywał kwadrans przed północą. Tknięty nagłą myślą zawrócił i podążył Rue des Cordeliers do starego klasztoru franciszkanów.

Był wtorek. Zegar za chwilę wybije godzinę dwunastą. To o tej porze zza klasztornej muru ma dochodzić płacz dziecka. Fredric wciąż czuł w sobie ciepło zanego trunku.

Usiadł na murku przed klasztorem i spojrział w dół. Od ulicy dzieliła go znaczna odległość, i choć zakręciło mu się w głowie, tym razem odważył się spuścić nogi poza krawędź murku.

Co powiedział kiedyś Tob, Torbjorn Tinderdal, przyjaciel, filozof i smakosz? „Pustka w tobie jest równie ogromna jak pustka wokół ciebie, a czasami znacznie bardziej natarczywa. I w obu tych przestrzeniach można znaleźć UFO”.

Znali się od wielu lat; ich znajomość zaczęła się w wojsku, gdzie Tob służył jako kucharz. Wyśmienite posiłki, które przyrządzał, stały się tematem ich pierwszej pogawędki. Potem utrzymywali ze sobą kontakt. Plany założenia wspólnej restauracji długo dojrzewały, ale kiedy na horyzoncie pojawiła się Maya Manuella, sprawy nabrały przyspieszenia. Maya tryskała entuzjazmem i pomysłami, które potrafiła wcielać w życie. Znała Toba z obrad grupy zajmującej się sprawami Ameryki Łacińskiej.

„Pustka w tobie”. Fredric Drum musiał uznać siebie za osobę uprzywilejowaną, nie czuł się bowiem pusty. Przestrzeń wokół niego też była wypełniona, czasami nawet ponad miarę. Będąc z natury osobą ciekawską, gruntownie zgłębiał każde zagadnienie. Kierował się zasadą, że życie jest pełne nierozwiązanych zagadek.

Na ulicy w dole nie widział żadnych ludzi. Żadnych samochodów. Ciekawe, czy w St. Emilion zawsze panuje taki spokój, czy też przyczyną jest zaginięcie siedmiorga ludzi. Siedem rodzin czeka w niepewności, oplakując najbliższych.

Zegar na wieży kościelnej zaczął wybijać północ.

Fredric doliczył do ośmiu, kiedy poczuł dotyk na plecach. I nie było to bynajmniej przyjazne klepnięcie. Jakaś dłoń mocno i brutalnie zepchnęła go z krawędzi muru w pustą przestrzeń.

Monsieur le commissaire

zapala cygaro, słucha i częstuje

kieliszkami Chateau Grand*Pontet rocznik 1978

Spadł zaledwie parę metrów w dół, kiedy poczuł silne uderzenie w brzuch. Zdawało mu się, że coś przecina go na pół. Instynktownie złapał za stalową linkę, która służyła za odciąg dla ulicznej lampy. Linka zadrżała gwałtownie, a klosz obluźował się i spadł na ulicę. W lampie pozostała jedynie naga żarówka.

Fredric wisiał, trzymając linkę jedną stopą i dwiema rękami. Bał się poruszyć, czekał, aż kołysanie ustanie. Wtedy ostrożnie obrócił głowę i spojrzał w kierunku muru. Linka była przymocowana do żelaznego haka osadzonego w bloku granitu. Od krawędzi muru, na którym siedział, dzieliły go jakieś dwa metry. Nie uda mu się dostać na górę. Pod nim zaś otwierała się przepaść * ulica leżała piętnaście, może dwadzieścia metrów niżej.

Odwrócił głowę w drugą stronę. Drugi koniec linki przymocowano do ściany domu mieszkalnego. Jakies pół metra poniżej mocowania znajdował się mały pochyły występ szerokości dwóch dachówek, który ciągnął się wzdłuż całej ściany pod rzędem okien.

Fredric zamknął oczy i zacisnął zęby, by utrzymać w ryzach lęk przed otchłanią, która zdawała się go wciągać w siebie, przed zetknięciem z brukiem ulicy.

Występ. Czy zdoła do niego dotrzeć? Czy linka wytrzyma, czy uchwyty są wystarczająco solidne? Oszacował odległość do ściany * siedem, może osiem metrów.

Dlaczego nie krzyczy, nie wzywa pomocy, nie budzi mieszkańców St. Emilion ze snu? Wiele można by zarzucić Fredricowi Drum, ale nie brak logiki. Zdawał sobie sprawę, że zanim policja, straż pożarna czy pogotowie energetyczne zdążą sklecić urządzenie, którym można by go stąd wyciągnąć, jego nogi i ramiona zdążą zdętwieć i spadnie.

Nie patrzył w dół; gorączkowo zastanawiał się nad właściwą techniką. Mógłby opuścić nogę i na ramionach posuwać się naprzód. Ale czy jest wystarczająco sprawny? Musiałby zawiesić cały ciężar ciała * ponad siedemdziesiąt kilogramów * tylko na jednym ramieniu. Czy nie byłoby bezpieczniej poruszać się do tyłu z nogą zaczepioną o linkę? W ten sposób najpierw dotknąłby muru nogami.

Nie miał czasu na takie rozważania. Czuł, że linka wrzyna się w uda i barki, tamuje dopływ krwi. Trzeba działać.

Ostrożnie uwolnił nogę, opierając się górną częścią ciała na linie, po czym opuścił się w dół i zawisł na wyciągniętych ramionach. Linka ponownie zakołysała się i Fredric ujrzał na asfalcie swój chybotliwy cień.

Posuwanie się naprzód było trudnym zadaniem; musiał precyzyjnie, a zarazem błyskawicznie zmieniać uchwyt. Żeby chociaż ta przekłeta linka była sztywniejsza!

Dotarł do połowy drogi. Poruszał się teraz ruchem wahadłowym, rytmicznie przekładając ręce. Od ściany dzieliły go jeszcze trzy metry. Dwa metry. Jeden metr! Wdrapał się na występ i uklęknął, wciąż trzymając się linki.

Ogromny wysiłek wywołał natychmiastową reakcję. Poczuł, jak kwas żołądkowy przesuwając się do gardła, a potem strumyk żółci spłynął mu po podbródku na brązowe dachówki.

Paniczny lęk z wolna ustępował.

Przyjrzał się badawczo występowi, dość stromemu i niezbyt szerokiemu. Czy można się po nim poruszać? Uznał, że to możliwe; do najbliższego okna nie było daleko, tyle że zasłaniały je solidne okiennice. Drugie także, dopiero w trzecim okiennicy były otwarte, ale Fredrica dzieliło od niego co najmniej dziesięć metrów.

Wstał, przywarł do ściany i odważył się puścić linkę. Śliskie dachówki ruszały się pod jego stopami. Musiał zachować najwyższą ostrożność.

Odwrócony twarzą do ściany, przesuwając się krok po kroku, starannie rozkładając ciężar ciała na całej stopie. W ten sposób dotarł do pierwszego okna, gdzie znalazł solidne uchwyty dla rąk.

Zegar kościelny wybił jedno uderzenie. Pół do pierwszej.

Żeby tylko nie dostrzegł go jakiś nocny przechodzień; mógłby krzykiem wytrącić go z równowagi. Ulica jednak była opustoszała, linka i żarówka przestały się chybotać, cienie znieruchomiały.

Dotarł do kolejnego okna. Dachówki, po których stąpał, głośno stukały. Jeśli ten dom jest zamieszkały, jego lokatorzy już dawno powinni byli go usłyszeć. Dlaczego nikt nie reaguje? Fredric nie miał jednak czasu na spekulacje, kolejne okno znajdowało się zaledwie kilka metrów od niego i nie zasłaniały go okiennice! A więc dostanie się do środka, nikt go nie powstrzyma.

Nie wolno się podniecać, upomniał samego siebie. Jeden nieostrożny ruch i sorti pour monsieur Drum. Opanował nerwy.

Wreszcie zacisnął dłoń na okiennicy, a sekundę później uczepił się futryny i zajrzał do środka. W pomieszczeniu panowała ciemność i niczego nie było widać. Zastukał w szybę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Puknął mocniej, lecz i tym razem nie było odzewu. Do diabła z uprzejmością, pomyślał i rąbnął pięścią w szybę. Szkło rozprysło się na kawałki, lekko raniąc mu rękę. Fredric zliznął krew, wsunął dłoń do środka i przekręcił klamkę. Skrzydła okienne otworzyły się do środka.

Przelazł przez parapet i stanął zadyszany, usiłując przebić wzrokiem mrok.

W pokoju było gorąco. Czuł ciepło ludzkiego ciała.

Potknął się o jakieś krzesło, kiedy wyciągniętymi rękoma macał ścianę. Szafa. Drzwi.

Wyłącznik. Kiedy rozbłysło światło, rozległ się stłumiony krzyk.

Widok, który ukazał się jego oczom, był przejmujący, ale Fredric nie mógł opanować śmiechu. Przyczyną tego nagłego ataku niestosownej wesołości był zapewne fakt, że przed chwilą cudem uniknął śmierci.

Środek pokoju zajmowało ogromne łóżko. Dwoje ludzi tuliło się do siebie pod cienkim prześcieradłem, oboje bladzi z przerażenia. Nigdy przedtem Fredric nie widział bardziej wyrazistych objawów strachu niż na obliczach tej pary. Spoglądali na niego tak, jakby był stworem z obcej planety. Co mogło być zgodne z prawdą, jaka bowiem istota byłaby w stanie w środku nocy wejść do ich sypialni przez okno zawieszane wiele metrów nad ulicą?

Fredric chrząknął i skłonił się głęboko, ale ten gest sprawił, że tych dwoje jeszcze mocniej przywarło do siebie.

* Proszę mi wybaczyć, madame et monsieur, ale miałem wypadek. O mały włos nie spadłem i się nie zabiłem. * Wyciągnął przed siebie dłonie i z zakłopotaniem stwierdził, że są pokryte rdzawymi pręgami.

* A więc * chrząknął jeszcze raz * nie ma czego się obawiać. Jestem Norwegiem * dodał, jakby to była okoliczność łagodząca.

Mężczyzna, może pięćdziesięcioletni, uniósł nieco prześcieradło. Chciał odpowiedzieć, ale tylko bezgłośnie poruszył ustami.

* Oczywiście zapłacę za zbitą szybę * ciągnął Fredric. * Jeśli zechce pan wstać i podejść ze mną do okna, to wyjaśnię całe zdarzenie. To cud, że jeszcze żyję. * Sam zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Tak, to naprawdę był cud.

Mężczyzna nie zareagował i znów skrył się pod prześcieradłem. Fredric powtórzył swą opowieść, lecz na próżno. Para

w łóżku nie odzywała się, oboje wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami. W końcu machnął ręką, wyjął banknot pięćdziesięciofrankowy i położył go na nocnym stoliku.

* To za szybę * powiedział. * Bonne nuit.

Otworzył drzwi i wyszedł na ciemną klatkę schodową. Tutaj zatrzymał się i odetchnął głęboko, przywołując myśli do porządku. Ta małżeńska para była śmiertelnie przerażona; zapewne uznali, że chciał ich wywabić z łóżka i zaprowadzić do okna, za którym zaparkował swój pojazd, by wywieźć ich w zaświaty. Tak jak uczynił z pozostałą siódmką zaginionych w St. Emilion. Powinien był znów się roześmiać, ale nie było mu już do śmiechu. Odsunął zasuwę w bramie i wyszedł na ulicę.

Spojrzał w górę.

Zobaczył mur i kołyszącą się na cienkiej linie żarówkę. I poczuł lodowaty dreszcz na plecach w jednym ściśle określonym miejscu * tam, gdzie tajemnicza Dłoń dotykała go przez ułamek sekundy.

Ruszył szybkim krokiem środkiem ulicy, skręcił w lewo w Rue des Girondins i znalazł się w hotelu. Na jego widok recepcjonista skinął głową.

* Petit accident?

Fredric rzucił okiem na swoje jasne spodnie, które też pokrywały plamy rdzy.

* Petit accident* odpowiedział, wziął klucz i wbiegł na górę do swego pokoju. Tam osunął się w głęboki fotel.

To idiotyczne, pomyślał, to bez sensu. Czyste szaleństwo! Dlaczego ktoś usiłuje go zabić? Kto miałby powód, by nastawić na jego życie? Nie znał tu nikogo przed przybyciem do St. Emilion, a z ludźmi, których spotkał na miejscu, dyskutował wyłącznie o winie. Nikogo nie obraził, nie wypowiadał żadnych kontrowersyjnych poglądów.

A jednak był to niezbity fakt, że dokonano dwóch zamachów na jego życie. Ktoś śledził jego poczynania, znał miejsca,

w których bywał. Dłoń pojawiła się znienacka, kiedy huczał dzwon na wieży kościelnej. Kim albo czym była tajemnicza Dłoń?

Wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę, która rozbłysła niebieskawą poświatą.

Wstał z fotela i zrzucił z siebie spodnie oraz koszulę. Pobyt w St. Emilion mocno nadwerżył jego garderobę. Oprócz otarć i zadrapań nabawił się teraz sinęcej pręgi, która przecinała skosem jego brzuch. To ślad po zetknięciu ze stalową linką, która uratowała mu życie. Czy Dłoń to widziała? Z pewnością. A zatem Dłoń ma świadomość, że Fredric Drum nie zginął, i na pewno podejmie kolejną próbę.

To absurd. Ludzie zginęli bez śladu, a sprawcą zapewne był zboczeniec mający perwersyjną potrzebę zabijania i ukrywania ciał. Są tacy ludzie na tym świecie. Ataki na niego, zwłaszcza

ten ostatni, nie pasowały jednak do tego scenariusza. Ktoś chciał go zabić, pozorując wypadek. Tych dwóch spraw nic nie łączyło.

Może powinien zgłosić się na policję? Nie, nie widział powodu, zresztą wątpił, by ktokolwiek dał wiarę jego zeznaniom. A jeśli nawet, jakie kroki miałyby podjąć policja? Przydzielić mu ochroniarza? Zamknąć w jakimś bezpiecznym miejscu? Policja ma inne sprawy na głowie niż urojenia jakiegoś Norwega. Nie, wizyta na posterunku mija się z celem.

Krażył po pokoju między łóżkiem a łazienką, wypijając duże ilości wody; zawsze tak robił, kiedy był podniecony lub podekscytowany. Nawet nie usiłował zasnąć.

Czy to możliwe, że sobie wymyślił tę Dłoń? Może miał chwilę słabości, może wyobraźnia spletała mu figla? Zaraz jednak odrzucił takie przypuszczenia. Jeśli będzie próbował zracjonalizować albo zbagatelizować te zdarzenia, stanie się łatwym łupem dla Dłoni, kiedy ta ponownie uderzy.

* Nie masz żadnych wrogów we Francji, Fredricu Drum, nigdzie na świecie nie masz wrogów * powiedział głośno do własnego odbicia w lustrze.

Noc kontynuowała swą wędrówkę ku świtowi, a Fredric nie mógł zaznać spokoju.

Wielokrotnie sprawdzał zamki u drzwi i okna, choć jedynie jakaś skrzydlata istota mogłaby dostać się przez okno. Czy Dłoń ma skrzydła?

O szóstej padł na łóżko i wbił wzrok we wzór na tapecie. Przynajmniej ten miał jakiś sens: splecione ze sobą zielone wianuszki kwiatów i upstrzone różowymi pąkami. Maniola acido*sa. Jeden z najpiękniejszych kwiatów świata, rosnący w Andach na granicy z dżunglą. Kontakt z nim był niebezpieczny, gdyż płatki zawierały wyjątkowo silną truciznę. Co dziwne, trucizna nie działała na owady.

Kwiatki na tapecie to nie były maniola acidosa.

* Osiemnaście miejsc * oznajmił Tob. * Trzy czteroosobowe stoliki i trzy dwuosobowe. Przy obłożeniu wynoszącym nieco ponad sześćdziesiąt procent, co oznacza około dwunastu gości dziennie, powinniśmy dać sobie radę. Zakładając, że każdy gość zostawi co najmniej dwieście koron.

* A przy założeniu, że sala jest pełna, a przeciętny rachunek wyniesie, powiedzmy, dwieście pięćdziesiąt koron? * Podekscytowany Fredric przyglądał się rachunkom Toba.

* Wtedy * odrzekł Tob, pucując okulary * będzie cię stać na podróże do odległych zakątków tego świata, by zabawić się odczytywaniem egzotycznych kulfonów i religijnych rebusów. A ja wynajmę najlepsze atelier w mieście. * Tob zajmował się malarstwem. * A ty, Mayu? Maya Manuella zacisnęła wargi.

* Możecie sobie zgadywać, ale i tak się nie dowiecie * odrzekła z prawdziwie ognistym uśmiechem z Madery. * Powiem wam jedno: to, co zrobię, przyniesie zadowolenie wielu ludziom. Szczególnie w małym miasteczku Canical.

Mniej więcej rok temu Maya Manuella, Tob i Fredric powzięli zamiar założenia restauracji „Kasserollen”. Dostali ofertę wynajęcia niewielkiego lokalu na Frognerveien. Czysz był astronomiczny, lecz obliczenia Toba wskazywały, że może się udać. I udało się.

Spał długo. Kiedy się obudził, promienie słońca zalewały pokój. Elektroniczny zegar nad łóżkiem wskazywał pół do dwunastej.

Wziął prysznic i opatrzył rany, szczególną uwagę poświęcając makijażowi twarzy, co wcale nie było proste: zadrapania pokryły się strupami, a guzy na głowie powiększyły się. Potem zamówił posiłek do pokoju.

Chrupiąc rogalik, jedząc jajko i popijając małymi łykami sok pomidorowy, zamyślił się. Co teraz, Fredricu Drum? Uciekniesz do Norwegii czy może... Wciąż jest tyle wina do spróbowania, tyle chateaux, które zamierzał odwiedzić. I...

No właśnie, i jeszcze ta jego bezgraniczna ciekawość, nieprzeparta chęć mierzenia się z tajemnicami, przedziwna skłonność do wikłania się w sprawy, które tak naprawdę go nie dotyczą. W Gwatemali sprowadził na siebie gniew kościoła katolickiego, który przyznał sobie

wyłączne prawo interpretacji pewnych znalezisk archeologicznych. Potem był Juka*tan i szaleni Amerykanie oraz miejscowe gangi systematycznie okradające groby. Fredric podjął wyzwanie, wdając się w kłótnie i utarczki. Tak po prostu było. Podróżował po świecie i co rusz wpadał w jakieś tarapaty. Tym razem ktoś nastawał na jego życie, na dodatek z niepojętych dla niego powodów.

Dłoń?

Fredric podjął decyzję. To oczywiste, że musi znaleźć rozwiązanie. Jeśli teraz wróci do Norwegii, ta zagadka nie da mu spokoju przez resztę życia..

Podszedł do okna i podniósł kryształową gwiazdę do światła, usiłując odgadnąć grę barw. Czasami kryształ ukazywał kombinacje kolorów, które niełatwo było zinterpretować. Tej, która ukazała się jego oczom, nigdy dotąd nie widział.

Usiadł przy biurku i wyciągnął notatki dotyczące pisma linearnego B. Odprężenie, przejrzysty umysł, logiczny ciąg myśli * oto czego potrzebował. Należy zmusić szare komórki do otwarcia kanałów, które pozostają zamknięte.

Symbole T. To one powodowały, że jego klucz do odczytania pisma nie działał. Według interpretacji Ventrisa symbole T przedstawiały się następująco:

TA = H, TE =*, PTE =t*?, TI = A, TO =T", TU.

Po raz setny przeczytał tłumaczenie tabliczki Py Ta 641:

„Pitos 3 ... pitos, wielki z czterema rękoma, żyje, pitos, mały (człowiek?) cztery ręce, chmiel, pitos, mały, trzy ręce, zielona oliwa, pitos, mały (w końcu) żadnych rąk”.

Potem użył jednego ze swoich tłumaczeń, podstawiając Ventrisową wersję symboli T:

„Pitos 3 biały byk, podnoszony przez czworo żywych pitos kurczy kobietę, raczej miód, pitos mniej (nic) trochę oliwy pitos ma trochę człowieka”.

Tekst sprawiał wrażenie bardziej sensownego. Fredric sprawdził działanie klucza na innych fragmentach, których treść była bardziej zrozumiała. Symbole T nie pasowały w odniesieniu do wyrazów „ręce”, „oliwa” i „człowiek”. Wybrał zdjęcia czterech innych tabliczek, przeprowadził na nich podobną analizę i powrócił do tekstu z Py Ta 641. Stworzył kolejne wersje tłumaczenia, z których jedna wydała mu się zastanawiająca.

Nagle zerwał się z miejsca.

Konkurs degustacji win w hotelu KNA! Ślepa próba, osiem różnych trunków: dwa z Medoc, dwa z St. Emilion, dwa z rejonu Roja w Hiszpanii i dwa Chianti Classico. Wziął udział w zawodach i zajął drugie miejsce, myląc się tylko w dwóch przypadkach. Każdy z winnych rejonów miał swojego przedstawiciela; St. Emilion przysłał pana Valette z Union Produc*teurs de St. Emilion. Monsieur Valette zasiadał pod dębem na rynku. Nie poznał Fredrica, kiedy mu się przedstawił i przypomniał o konkursie, który odbył się przed paroma tygodniami w Norwegii. Chyba zrobił to celowo, był chłodny i nieprzystępny.

A więc jednak zna kogoś w St. Emilion. Istnieje jakaś nić, która łączy go z tym miasteczkiem. Fredric okazał surowość w ocenie win z St. Emilion, które podano w hotelu KNA. „Zbyt owocowe”, „cytrynowy bukiet”, „kwaśna końcówka”. Wciąż pamiętał niektóre ze s fo r m uło wań.

Minęła pierwsza, kiedy odłożył notatki. Słońce wciąż świeciło. Trzeba wyjść, posiedzieć na rynku z ekspertami od wina, posłuchać, poobserwować, a może nawet zastawić się. Od tej chwili musi być czujny, a luźna rozmowa nie będzie już luźną rozmową. Między nieznanymi twarzami przy stoliczkach pod drzewem dębu może być Dłoń.

Rynek był jak zwykle zatłoczony. Pogwizdując z udawanym spokojem, Fredric rozejrzał się wokół, pokiwał głową znajomym, rzucił zwyczajowe bon jour, pochwalił pogodę i przysiadł się do stolika petitproprietaire, którego wcześniej poznał. Według powszechnie głoszonej opinii pan Charmaque, drobny sympatyczny staruszek, zarządzał swą posiadłością ze znanstwem i wielką troską. Fredric próbował jego wina i trunek przypadł mu do gustu. Zdażył już nawet zamówić trzy skrzynki rocznika 1982, ponoć wyjątkowego.

Przy sąsiednim stoliku siedział Jean*Luc Lilly, maitre de chai w Chateau Cardinal Villemaurine, młody człowiek, który ukończył z wyróżnieniem wydział enologiczny w Bordeaux. Enologia to nauka o produkcji wina. Degustując jego wyrób, Fredric doznał jednak rozczarowania * ostry smak, bukiet przypominający sherry * dlatego nie złożył zamówienia.

Przy kolejnym stoliku tkwiło dwóch kupców, panowie Lec*lu i Bossnier. Kłócili się o coś zawzięcie, jak zwykle zresztą. Rywalizowali nie tylko w handlu winem, ale również obaj mieli skłonność do przedstawiania swoich poglądów jako jedynie słuszne. Obu jegomościom nie zamykały się usta, ramiona nieustannie przecinały powietrze.

Ukryty za drzewem dębu siedział monsieur Cardille, właściciel posiadłości Leo*Ponet, zaliczanej do kategorii Grand Cru. Sądząc z wyglądu, nie miał jeszcze czterdziestki. Przed paroma laty doznał w wypadku samochodowym kontuzji kręgosłupa i stracił władzę w nogach; od tej chwili poruszał się na wózku inwalidzkim. Podczas partyjki szachów zwierzył się Fredricowi, że lubi bywać w tym miejscu. Chateau Leo*Ponet znalazło się na liście winnic, które Fredric zamierzał odwiedzić.

Monsieur Gruy*Lichine chował się za gazetą i z nikim nie rozmawiał. Był ponoć spokrewniony z wielkim Alexisem Li*chie, właścicielem Prieure Lichine w Margaux. Pan Gruy*Lichine był vigneron w niewielkiej posiadłości Grand Cru, której nazwy Fredric nie zapamiętał. Kiedy zapytał go o możliwość degustacji jego wina, spotkał się z kwaśnym komentarzem, w którym monsieur Gruy*Lichine wyraził wątpliwość, czy Norweg może się znać na winach.

A inni znajomi? Valette. Wąsaty pan Valette rozglądał się wokół z wyższością. Fredric nie czuł żadnej potrzeby, by ponownie roztrząsać z nim kwestię konkursu, w którym uczestniczył. Nie potrafił jedynie zrozumieć, dlaczego pan Valette tak bardzo wziął sobie jego opinię do serca.

W ciągu paru minut Fredric zdążył dyskretnie przyjrzeć się wszystkim twarzom, szukając oznak nerwowości lub niepokoju. Nie znalazł ich, Dłoń pozostała niewidzialna.

Pan Charmaque głośno wyrażał swoje nadzieje wobec rocznika 1983; przewidywał, że dorówna on nadzwyczajnemu rocznikowi 1982. Fredric słuchał jednym uchem, zajęty rozwiązywaniem szarad.

Uważał, że ludzkie działania, sposób bycia, gesty w określonym odcinku czasu można porównać do fryzu pokrytego pismem obrazkowym. Wystarczy znaleźć klucz, by dotrzeć do motywów i ukrytej treści. Połączenie mowy, gestykulacji, mimiki i ruchów gałki ocznej jest cienką maską, którą większość ludzi przykrywa właściwy sens ich zachowania. Dobrzy aktorzy przywdziewają grubsze maski, przez co zniekształcają możliwość odbioru.

W ciągu pół godziny Fredric Drum poddał wnikliwej de*szyfracji każdą z osób zasiadających wokół dębu.

* Policja uzyskała wsparcie oddziałów wojskowych, by przeczesać każdy metr kwadratowy w miasteczku i okolicy. Takich sił nie użyto od czasów Jacquesa Mesrine'a. Wiedział pan o tym, Norwegu? * Monsieur Charmaque uderzył kieliszkiem w stół, aby dodać wagi swoim słowom i zwrócić uwagę Fredrica.

* Biedny Jacques Mesrine * odrzekł szczerze Fredric. Mesrine był współczesną wersją Gjesta Baardsena, dżentelmena złodzieja. Wodził policję za nos, za co publika biła mu brawo, a policja odpowiedziała ostrą amunicją. Jacques Mesrine skończył życie z jedenastoma kulami w brzuchu.

* Poza tym * ciągnął niezrażony Charmaque * sprawdzają dom po domu. Każdy mieszkaniec miasteczka i okolic jest przesłuchiwany.

Jakiś mężczyzna podszedł do stolika i wymienił uścisk dłoni z panem Charmakiem. Potem skinął głową Fredricowi, usiadł i przedstawił się: Nigeł Merlot.

* Od nazwy słynnego szczepu * dodał z uśmiechem. Miał elegancko przystrzyżony wąsik, około pięćdziesiątki,

ładne regularne rysy twarzy i nieco chrapliwy nosowy głos.

Był współwłaścicielem restauracji „Le Theleme” przy Rue de la Cadene oraz głównym akcjonariuszem winnej spółdzielni „La Cave Rouge”.

* Norweg * stwierdził pan Merlot z zainteresowaniem. *Rzadko spotykam Norwegów. Czy miałby pan coś przeciwko temu, bym zbadał pańską głowę od karku aż po sam czubek? Jestem frenologiem, pasjonuje mnie porównywanie kształtu czaszki z innymi zewnętrznymi cechami ludzkiego ciała. Słyszał pan zapewne o znanym doktorze Brocer

Zanim Fredric zdążył zaprotestować, palce mężczyzny zaczęły przebiegać po jego skroniach, ciemieniu i karku. Przez te niezliczone guzy, których nabawiłem się podczas upadku i przeprawy przez podziemny tunel, monsieur Merlot będzie miał ciężki orzech do zgryzienia, pomyślał. Fredric słyszał o frenologii i znał poglądy doktora Broki, który usiłował dowieść związków między właściwościami ducha i inteligencją a kształtem kości i czaszki. W drodze do St. Emilion odwiedził nawet „Musee de l'homme” w Paryżu, w którym doktor zajmował poczesne miejsce. Teorie Broki nie znalazły uznania, ale frenologia zdobyła mnóstwo zwolenników; Fredric pamiętał, że był wśród nich radykalny pisarz południowoamerykański Mario Vargas Llosa.

To wstrętne. Coś na kształt teorii rasowej.

Pan Merlot zakończył badanie i pokiwał zadowolony głową.

* Ciekawe * podsumował zwięźle. Zapewne miał na myśli guzy.

Dobry z niego aktor, pomyślał Fredric. A może jego entuzjazm nie jest udawany? Postanowił zadać mu kilka pytań.

* Zna pan jakąś dyskotekę w St. Emilion? Wino i taniec pasują do siebie.

* Dyskotekę? Oui, monsieur. Mamy doskonałą dyskotekę w naszym miasteczku, tak przynajmniej twierdzą młodzi ludzie. Znajduje się w wąskiej uliczce za restauracją „La Palais Cardinal”, niedaleko stacji benzynowej. Zna pan to miejsce? Fredric skinął głową.

* Tak, byłem tam * rzucił. * Byłem w tej dyskotece. Czyżby dostrzegł zmieszanie we wzroku pana Nigela Merlota? Fredric nie mógł znaleźć odpowiedniego klucza. Fryz nie dawał się odczytać.

Podziękował więc i pożegnał się, po czym obszedł lokal i umówił się na degustację wina z właścicielami mniejszych posiadłości. W końcu ruszył przez rynek w kierunku Porte de la Cadene. Od jednego ze stolików oderwała się jakaś postać i podążyła za nim.

Mężczyzna dogonił go pod bramą pamiętającą czasy Rzymu. Fredric zdawał sobie sprawę, że jest śledzony, więc się nie spieszył. Mężczyzna zrównał się z nim i chwycił go za ramię, wyciągając jakąś legitymację z wewnętrznej kieszeni marynarki.

* Policja * powiedział. * Pan jest Norwegiem. * Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie. * Proszę wziąć swój paszport i udać się ze mną na komisariat. Monsieur le commis*saire chce z panem porozmawiać.

* Ze mną? Mais pourquoi? Dlaczego? * Zdziwienie Fredri*ca nie było udawane.

Policjant w cywilnym ubraniu wruszył tylko ramionami. Doszli razem do hotelu i Fredric udał się do swego pokoju po dokumenty. Mężczyzna nie opuszczał go ani o krok, jakby się obawiał, że cudzoziemiec zechce rzucić się do ucieczki.

W komisariacie panował ruch, umundurowani funkcjonariusze i policjanci po cywilnemu wpadali i wypadali przez drzwi. Pojawienie się Fredrica wprowadziło pewne uspokojenie; ze wzroku wpatrujących się w niego ludzi można było wyczytać, że Wielkie Polowanie dobiegło końca. Bestia znalazła się w potrzasku.

Przeszli długim korytarzem do wnętrza budynku. Towarzysz Fredrica zapukał do jakichś drzwi.

* Jest ten Norweg, monsieur le commissaire * oznajmił, kładąc nacisk na każde słowo.

* Merci. Entrez sil vousplait. Dziękuję. Może pan odejść. * Komisarz odprawił podwładnego władczy gestem dłoni i wskazał Fredricowi krzesło. Potem z uśmiechem poprosił go o dokumenty i opadł ciężko na skórzany fotel skryty za biurkiem, na którym pośród sterty papierzysk stały trzy aparaty telefoniczne. Przejrzenie paszportu zabrało mu dobre pięć minut, w końcu z westchnieniem odrzucił go na blat; zapewne zdążył nauczyć się jego zawartości na pamięć. Potem wziął do ręki gazetę, lokalną popołudniówkę „Sud Ouest”, i podał ją Fredricowi.

* Za godzinę * wycedził * ta gazeta zostanie dostarczona do wszystkich domostw w St. Emilion. Uznaliśmy, że powinniśmy z panem porozmawiać, zanim to nastąpi. Fredric chwycił gazetę.

Połowę pierwszej strony zdołało zdobić zdjęcie przerażonej pary w średnim wieku i artykuł opatrzone nagłówkiem: „NIEPRZYJEMNA NOCNA WIZYTA. Jakiś osobnik zjawia się znikąd, wybija szybę i włamuje się do sypialni państwa Piros”. Potem następował długi i szczegółowy opis stanu psychicznego owego małżeństwa oraz wyjaśnienie, że do okna nie można się dostać bez pomocy długiej drabiny lub dźwigu. Włamywacz nie użył jednak ani drabiny, ani dźwigu. Wyglądał na desperata, mówił dobrą francuszczyzną, choć z obcym akcentem, i twierdził, że jest Norwegiem. Poniżej znajdował się opis osobnika, który z grubszą pasował do Fredrica. Artykuł kończył się inkwizytorskim oskarżeniem: „Może istnieć związek między tym zdarzeniem a tajemniczym zniknięciem siedmiu osób. Policja intensywnie pracuje nad tą sprawą”. Ani słowem nie wspomniano o banknocie pięćdziesięciofrankowym, który zostawił na stoliku nocnym.

Fredric rzucił gazetę na podłogę i zaniósł się śmiechem. Komizm tej sytuacji graniczył ze śmiertelnym tragizmem. Śmiech był w takim przypadku doskonałą bronią, czego Fredric nieraz doświadczył.

Komisarz zmarszczył czoło i podłubał w nosie; wyglądał na zakłopotanego. Potem wstał, podszedł do szafy i wrócił z małą butelką wina i dwoma kieliszkami. Wyjął cygaro z kieszeni na piersi i zapalił. Zdążył wypuścić dwa kłęby dymu, kiedy jego gość wreszcie przestał się śmiać.

* Kieliszek wina, monsieur? * zapytał. * I może mi pan wytłumaczy, co wywołało tę niepohamowaną wesołość?

Fredric przyjął kieliszek i w przelocie zerknął na etykietkę: Chateau Grand*Pontet 1978. Dobre wino. Pociągnął parę łyków i zaczął mówić.

Zeznał, że wypił w pokoju hotelowym pół butelki whisky, po czym udał się do dyskoteki, gdzie spożył piwo i butelkę wina. W drodze powrotnej przyszła mu ochota, by przyjrzeć się miastu nocną porą, usiadł więc na murze przy Cloitre le Cordelier, machając nogami w powietrzu. Nie był zbyt trzeźwy, dlatego stracił równowagę, spadł i zawisł na linie od lampy ulicznej. Potem zaś dzięki swej sprawności fizycznej i przytomności umysłu dotarł do występu na ścianie domu. Balansując wzdłuż gzymsu, doszedł do okna. Zakończenie historii le com*missaire zna, opisano je wszak w artykule. I Fredric wskazał gazetę.

* Wszystko się zgadza, poza jednym faktem * podsumował. * Na stoliku nocnym w sypialni tej pary zostawiłem pieniądze na wprawienie nowej szyby. Pięćdziesiąt franków.

Wstał i wziął swój paszport z biurka, zanim komisarz zdążył zaprotestować.

* Proszę udać się ze mną * machnął dłonią. * Le Cordelier leży w pobliżu. Pokażę panu, jak to się stało. * Ruszył do drzwi, a komisarz podążył za nim wraz z dwoma mundurowymi, którzy mieli uczestniczyć w wizji lokalnej. We wzroku mijanych osób widać było zdumienie, że Norweg wychodzi z komisariatu, nie mając dłoni skutych kajdankami.

Fredric wychylił się poza krawędź muru i wzdrygnął się. Widok ulicy nie sprawił mu przyjemności. Pokazując ręką, powtórzył całą historię, po czym uchylił koszulę i zaprezentował policjantom siną pręgę przecinającą brzuch tuż ponad pępkiem.

To rozwiało wszelkie wątpliwości. Komisarz podszedł bliżej i potrząsnął jego dłonią, gratulując mu szczęścia, odwagi i siły. Dodał jedynie, że picie alkoholu wymaga większej rozwagi. Ale Fredric jednak miał jeszcze coś do powiedzenia.

* Żądam * oznajmił, pozwalając sobie na władczy ton * by w „Sud Ouest” ukazało się wyjaśnienie i przeprosiny za to niesłuszne i obraźliwe oskarżenie mojej osoby. Przyjechałem tutaj, by dokonać zakupu wina, i czeka mnie zadanie do wykonania. Zrozumiano? Nastąpiły kolejne uściski dłoni i zapewnienia. Bien sur. Nieporozumienie zostanie wyjaśnione.

Fredric odwrócił się i odszedł, nie ukrywając zadowolenia. Artykuły w gazecie mogą mu ułatwić rozwiązanie zagadki. Fryz stanie się wyraźniejszy, maski cieńsze.

Dłoni trudno będzie pozostać w ukryciu.

Przebiegł Rue Guadet, wszedł do sklepu z pamiątkami i kupił kartkę pocztową. Zaraz przy ladzie napisał krótki tekst, w którym informował Toba i Mayę, że wszystko przebiega zgodnie z planem, lecz zamierza przedłużyć pobyt o tydzień. Wrzucił kartkę do skrzynki i ruszył w stronę Place du Clocher. Tam znalazł pustą ławkę pod ścianą kościoła i usiadł w popołudniowym słońcu.

Zastanawiał go całkowity brak logicznego motywu. Kto miałby interes w tym, by usunąć go z tego świata? Jediną osobą, która łączyła go z St. Emilion, był monsieur Valette, ale urażona duma tego człowieka chyba nie mogła być wystarczającym powodem. W ostatnich paru latach jego życia nie wydarzyło się nic, co tłumaczyłoby niedawne zdarzenia. A jednak musi być jakaś przyczyna. Czy to ma jakiś związek z tajemniczym zaginięciem siedmiu osób? Fredric zmrużył oczy w promieniach październikowego słońca.

* Byk * wyjaśnił Fredric * odgrywał szczególną rolę w kulturze minojskiej, był elementem ważnego rytuału. Evans i jego następcy usiłowali pomniejszyć jego znaczenie, uznając zwierzę jedynie za obiekt rozrywki. Byk jednak był niebezpieczny, dla niektórych stanowił śmiertelne zagrożenie.

* Takie wyciągasz konkluzje z analizy pisma linearnego B? * spytał Tob. W restauracji było tylko dwoje gości, którym przed chwilą podano kawę.

* Częściowo. Pismo wciąż kryje wiele tajemnic. Opieram się na teoriach opublikowanych przez nowe pokolenie archeologów. Choćby w tej książce.

Pokazał Tobowi i Mai książkę, która bardzo zaprzętała jego uwagę. Praca rzucała nowe światło na kulturę kreteńską. Czasami długo po wyjściu ostatnich gości siedzieli przy stoliku za regałem z winem. Dyskusje, które toczyli, podążały najprzeróżniejszymi ścieżkami.

Nic nie mógł na to poradzić, że nieustannie uciekał myślami do tych miłych chwil w „Kasserollen”. Chętnie omówiłby z Tobem i Mayą to, co go niedawno spotkało. Ale był sam i musiał jak zwykle samotnie mierzyć się z największymi przeciwnościami w jego życiu. W głębi duszy nienawidził tej samotności, nienawidził przydomka, który mu nadano. Pielgrzym. Rzeczywiście pielgrzymował do dziwnych miejsc; nie miał nawet stałego miejsca zamieszkania. W Oslo przenosił się z pensjonatu do pensjonatu, zwykle raz na miesiąc. Po historii z Mią Munch stało się to wręcz jego zwyczajem. Był zgorzkniały? Nie. Zraniony? Być może.

Zawstydzony * to najwłaściwsze słowo. Ma trzydzieści dwa lata i chyba powinien już mieć dość odwagi, by patrzeć na dziewczęta... i je dotykać. Zacerwienił się. Ale nikt nie zauważył, że siedzący na ławce pod ścianą kościoła Fredric Drum zacerwienił się.

Coś się musi zdarzyć, przyszłość ma mu coś do zaoferowania. Czyż nie jest życiowym optymistą? Tak, kiedyś samotna egzystencja młodzieńca o nazwisku Drum dobiegnie końca. Potarł obolałe miejsca.

Musi udać się do apteki i kupić jakąś maść.

* Bonjour, monsieur. * Głos zza lady brzmiał znajomo. Fredric podniósł wzrok i zobaczył Genevieve, piękność z dyskoteki.

* Bonjour, Grace Dieu * odrzekł z uśmiechem. * Dziękuję za nasze ostatnie spotkanie. Szkoda, że musiałaś wcześniej wyjść. Grali naprawdę dobrą muzykę.

Dziewczyna spuściła wzrok i przetarła dłonią blat.

* Czego pan sobie życzy? * spytała oficjalnym tonem. Wyjaśnił, że potrzebna mu maść na otarcia naskórka.

Dziewczyna przyniosła kilka do wyboru i Fredric zaczął się rozwodzić nad ich właściwościami. W końcu zabrakło mu słów i uznał, że wypada się zdecydować.

* Czy zechciałabyś zostać moją przewodniczką po Chateau Grace Dieu?

* Z przyjemnością, monsieur. Proszę przyjść przed południem. Po południu spędzam w aptece * odparła i uśmiechnęła się.

Naprawdę się uśmiechnęła, pomyślał Fredric. Resztę dnia zamierzał spędzić w hotelu.

* Przyszedł do pana list * oznajmił recepcjonista, podając mu klucz.

Koperta nie była ofrankowana i nosiła napis: „To Mr Fredric Drum, Norway”. Fredric stał przez chwilę, wpatrując się w nią, po czym zapytał:

* Kto go przyniósł?

* Nie wiem, monsieur. List leżał na ladzie, kiedy wróciłem z kuchni. To było może godzinę temu.

* Merci * odrzekł Fredric i ruszył do pokoju.

Doktor enologii wywołuje sensację,

Fredric znajduje ciemną kawiarnię

i widzi coś, czego nie powinien ujrzeć

Fredric usiadł w fotelu i rozerwał kopertę. List napisano po angielsku, lecz styl nie pozostawiał wątpliwości, że spłodził go Francuz. Brzmiał następująco:

„Mr. Fredric Drum,

Twoje niezwykle szczęście już ci nie pomoże. I tak musisz umrzeć. Nieważne, dokąd się udasz, wytropimy cię na całym świecie. Damy ci jednak trochę czasu, byś mógł się nacieszyć dobrym winem. Przecież lubisz dobre wino. Dajemy ci dwa dni. Naciesz się nimi! Nie powinieneś był przyjeżdżać do St. Emilion. Teraz jest już za późno”.

Brak podpisu. List napisano odręcznie wielkimi, pochyłymi literami.

Fredric siedział dłuższą chwilę, trzymając list w dłoni. Tekst był niezdarny i głupi, zdradzał więcej, niż autor chciał wyrazić. Przede wszystkim to, że on, Fredric Drum, stanowi dla kogoś poważne zagrożenie. Że to zagrożenie powstało z chwilą, kiedy pojawił się w St. Emilion, i nie zniknie, gdy stąd wyjedzie. I tak go dopadną, nie okażą łaski. Dwudniowe zawieszenie broni? By dać mu okazję smakowania dobrego wina? O nie, list byłby pozbawiony sensu, gdyby miał jedynie informować go o rychłej śmierci i chwilowej zwłóce w wykonaniu wyroku. To doprawdy niezdarna i głupia, niemal dziecinna pisanina, a prawdziwy zamiar autora należy odczytać między wierszami: chodzi o to, by odwrócić jego uwagę, by na dwa dni stracił

czujność. Wtedy stanie się łatwą zdobyczą, zwłaszcza że Dłoń jest przebiegła i niebezpieczna. Przez te dwa dni musi zachować szczególną ostrożność.

Fredric wypił duszkiem dwie szklanki wody, położył się na łóżku i wbił wzrok w sufit. Czy w hotelu może czuć się bezpieczny? Hotel de Plaisance miał ustaloną renomę i trudno przypuszczać, by ktoś z personelu mógł połasczyć się na łapówkę. Po konsultacji z kryształową gwiazdą Fredric uznał, że może tutaj czuć się bezpieczny.

Dlaczego stał się zagrożeniem dla kogoś po przybyciu do St. Emilion, a nie wcześniej?

Odpowiedź wydała mu się nagle oczywista i niezwykle logiczna. Przyjeżdżając do Francji, dowiedział się o tajemniczych zaginięciach, a Pielgrzym, znany ze swej dociekliwości, musiał

śledzić przebieg tej sprawy z nadzwyczajnym zainteresowaniem. Gdyby wyjechał do jakiegoś innego miejsca, dowiedziałby się o tragediach w St. Emilion jedynie z nagłówków w gazetach.

Wstał, wypił kolejne dwie szklanki wody i zaczął grzebać w stercie lokalnych gazet. Zawsze kupował lokalne gazety podczas podróży, jeśli pisano je w języku, który jako tako rozumiał. Znalazł to, czego szukał: mapę okolic St. Emilion, na której krzyżykami zaznaczono miejsca, gdzie po raz ostatni widziano zaginionych, a kropkowaną linią kierunek, w którym zamierzali się udać. Krzyżyk oznaczający ostatnią z osób, które przepadły bez wieści, a mianowicie Jean*Marie Lascombe'a, znajdował się w okolicach Chateau Beausejour Becot, a linia prowadziła do mieszkania jego rodziców w centrum miasteczka.

Wszystkie krzyżyki mieściły się na niewielkim terenie na zachód i południowy zachód od St. Emilion. Kropkowane linie wybiegały poza ten obszar, ale i tak odległości między krzyżykami były zadziwiająco niewielkie. W trzech przypadkach linie zbiegały się; zaginieni mogli poruszać się tymi samymi drogami. Wewnątrz tego obszaru mieściły się duże i znane posiadłości: Ausone, Blair, Magdelaine i La Gaffeliere oraz mniejsze, kategorii Grand Cru, w tym Chateau Leo*Ponet będące własnością sparaliżowanego monsieur Cardille'a.

Policja z pewnością przeczesała ten teren milimetr po milimetrze. I przesłuchała każdą z przebywających tam osób.

A jednak...

Węszenie wokół chdteaux nie miało większego sensu, choć Fredric nie wątpił, że Dłoń w jakiś sposób jest związana z tym rejonem. Trzeba tylko odkryć to powiązanie. Ale dlaczego, na Boga, on miałby się w to mieszać?

Fredric zabrał się do systematycznej pracy. Kto wiedział o jego zamiarze wyjazdu do St. Emilion i pobycie w miasteczku? Wszyscy przyjaciele oraz nieznana liczba czytelników szpały w gazecie „Dagbladet” poświęconej restauracjom. Opublikowano w niej bardzo pochlebny dla niego artykuł, w którym informowano, iż znawca win Fredric Drum zwany Pielgrzymem, jeden z właścicieli ekskluzywnej restauracji „Kasserol*len”, wybiera się w region Bordeaux, a ściślej mówiąc, do apelacji St. Emilion, celem degustacji i zakupu wybitnej jakości trunków. Liczba Norwegów znających miejsce jego pobytu była więc potencjalnie bardzo duża.

Kto jeszcze? Jego dobry przyjaciel, angielski naukowiec i archeolog, Stephen Pratt. Przed wyjazdem z Oslo odbył z nim rozmowę telefoniczną, w której wspomniał o podróży. A poza nim? Chyba już nikt więcej.

Idźmy dalej: czy miał jakieś wcześniejsze związki z Francją? Otóż w brytyjskim czasopiśmie poświęconym archeologii prowadził ostrą, bardzo polemiczną dyskusję z profesorem Philipem de Moniac na temat menhirów, megalitycznych kamiennych pomników licznie występujących na południowym wybrzeżu Francji. Fredric dowodził, że owe pomniki mogły być pokryte inskrypcjami, które zatarła erozja; na dowód przedstawiał powiększone fotografie fragmentów kamiennych bloków. Philips de Moniac był przeciwnego zdania i twierdził, że pomników nie poddawano żadnej obróbce. Profesor mieszkał blisko hiszpańskiej granicy, niedaleko St. Emilion.

A inne związki? Przypomniał sobie, że parę lat temu wysłał do muzeum archeologicznego w Paryżu prośbę o przysłanie fotografii i rysunków galloromańskich glinianych dzbanów; ich ornamentyka bardzo go zajmowała. Nie dostał jednak żadnej odpowiedzi.

No i wreszcie konkurs degustacji win i monsieur Valette z St. Emilion. To wszystko, co Fredric zdołał wydobyć z pamięci.

Kolejne pytanie brzmiało: w jakie kontrowersyjne sprawy wmieszał się w ciągu ostatnich lat? Fredric pokręcił głową. Było ich mnóstwo, ale czy kiedykolwiek ktoś nastawał na jego życie? Tylko jeden epizod przychodził mu na myśl: w Gwatemali nieomal wdał się w bójkę z trzema amerykańskimi łowcami przygód, gdy zabronili mu wstępu do pewnej świątyni, do której

rościli sobie wyłączne prawo. Stosując chytre sztuczki, Fredric i tak wywiódł ich w pole. W świątyni znajdowały się oryginalne płaskorzeźby będące dowodem, że rdzenni mieszkańcy byli pszczelarzami i zajmowali się uszlachetnianiem miodu. Fredric odrysował te płaskorzeźby i później opublikował rysunki.

Zaczął kręcić się nerwowo po pokoju. Wciąż nie mógł trafić na właściwy trop, nie wiedział, gdzie zacząć.

Frenologia. To słowo raptownie pojawiło się w jego myślach. Monsieur Nigel Merlot, ten od szczepu Merlot, to dziwny osobnik, miał w sobie coś niepokojącego. Jak się nazywała ta spółdzielnia, której był współwłaścicielem? „La Cave Rou*ge”. Ponownie rzucił okiem na mapę. To niesamowite, ta posiadłość leży w samym środku zaznaczonego obszaru, obok Chateau de FHermitage i Chateau Magdelaine.

Frenologia.

To diabelska nauka zajmująca się badaniem kości. Czaszka i kości miałyby zdradzać duchowe właściwości człowieka. W Quintana Roo na półwyspie Jukatan natknął się na maniakalnego frenologa, amerykańskiego zbieracza czaszek. Sam mu opowiadał, że gotów jest zapłacić setki dolarów za preparowane głowy Indian.

Wielu Amerykanów zainwestowało kapitał w miejscowe winnice.

Dość, Fredricu, to dygresje, ślepy trop, pomyślał. Jesteś zmęczony, myśli ci się płaczą. Znowu wypił dwie szklanki wody. Zegar nad łóżkiem wskazywał pół do dziewiątej. Fredric zdecydował się na kolację w hotelowej restauracji.

Gości było niewielu. Zajął miejsce przy stoliku na uboczu, plecami do ściany, twarzą do wejścia. Przez całą kolację nic niezwykłego się nie zdarzyło.

Położył się wcześniej i po przyłożeniu głowy do poduszki natychmiast zasnął.

Obudził się, mając bardzo klarowne i mocne przeświadczenie, że jego prześladowca nie użyje broni palnej, noża ani trucizny. Jego śmierć powinna wyglądać na wypadek i nie zyskać rozgłosu. Paradoksalnie te myśli poprawiły mu humor. Nie ukrywał przed samym sobą, że czuje paniczny lęk, a jednak teraz strach odrobinę zelżał. Jeśli natęży wszystkie zmysły i zachowa czujność, utrudni przeciwnikowi zadanie. Niełatwo będzie zaaranżować śmiertelny wypadek. Dwa dni zwłoki, co za bzdury!

W łazience zaczął już pogwizdywać.

A może by tak dokonać wizji lokalnej? Przespacerować się na miejsce przestępstw w biały dzień? Kto wie, może natknie się na Dłoń i wymieni z nią uścisk dłoni? Fredric wyszczerzył zęby do swego odbicia w lustrze.

Droga prowadząca z St. Emilion w kierunku południowym była wąska i kręta, wieczorami nieoświetlona. To tą drogą mogło podążać troje z zaginionej siódemki osób. Zresztą wszystkie te zdarzenia zaszły po zapadnięciu zmroku.

Przez cały czas mijały go samochody. Obserwował je uważnie, gotowy rzucić się za kamienny murek, gdyby dostrzegł jakiś podejrzany manewr. Śmierć pod kołami samochodu łatwo można uznać za przypadkową.

Koło Chateau La Gaffeliere skręcił w prawo w zwirową ścieżkę, którą obsadzono z obu stron rzędami winorośli przyciętymi równo jak żywopłot. Pomiedzy La Gaffeliere a Magde*laine leżało co najmniej siedem posiadłości Grand Cru. Nie licząc spółdzielni La Cave Rouge. Spółdzielnia winiarska w rejonie obfitującym w ekskluzywne chateaux musiała mieć ciężki żywot. Była poza wszelką klasyfikacją, sprzedawała wino stołowe po osiem franków za butelkę.

Fredric chętnie przyjrzałby się jej bliżej, porozmawiał z maitre de cbaï, ale brama była zamknięta i wokół nie widział żywego ducha.

Miedzy winnicami wiły się ścieżki, które gdzieniegdzie przecinały je w poprzek, a tu i ówdzie rosły niewielkie zagajniki. Łatwo się zgubić.

Jego uwagę zwróciło coś dziwnego; w pierwszej chwili nie zrozumiał, co to za spektakl rozgrywa się przed jego oczami. Przez pola maszerował wolno w makabrycznej procesji długi łańcuch ludzi badających kijami grunt wokół siebie.

Fredric długo odprowadzał ich wzrokiem, czując, jak ziąb przenika jego ciało do szpiku kości. Sprawa była poważna, oczy całej Francji zwrócone były na ten ludzki łańcuch. To żołnierze i ochotnicy szukali siedmiu ludzi. Szukali śladów, odpowiedzi na pytanie, które dręczyło cały naród. Czego więc może dokonać w pojedynkę Fredric Drum z Norwegii? Dlaczego niewidzialne palce wskazały właśnie jego?

Ruszył w przeciwnym kierunku i trafił na drogę, która prowadziła na północ. Rzut oka na mapę wystarczył, żeby potwierdzić, iż ścieżka wiedzie do Chateau Grace Dieu.

Od posiadłości dzieliło go kilka kilometrów. Fredric szedł

wolno między niekończącymi się rzędami winorośli; czas go nie poganiał. Stado wron robiło przeraźliwy hałas nad kępą drzew, drażniąc się z jakimś kotem. Listki zaczynały już żółknąć, tu i ówdzie zwisały smętne kiście. Merlot. W St. Emilion ten szczep dominował * dawał wina o nieco większej zawartości alkoholu niż grona szczepu Cabernet Sauvignon, który sadzono powszechnie w rejonie Medoc na południowym zachodzie.

Zbiorów dokonywano w dwa dni; dawniej praca zajmowała co najmniej tydzień. No cóż, mechanizacja, automatyzacja, maszyny.

Zerwał zapomnianą kiść ciemnych winogron. Były słodkie i soczyste. Wypluł pestki.

Chateau Grace Dieu było uroczą niewielką posiadłością. Fredric minął otwartą bramę.

Wisząca obok tablica informowała o możliwości zakupu wina na miejscu. Ujście psa wywołało z domu jakiegoś mężczyznę; mógł mieć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, Fredric przedstawił się, a mężczyzna uściskał jego dłoń i zaprosił do środka, do pokoju, w którym trzymano butelki wszystkich roczników dostępnych w sprzedaży.

Fredric zapytał, czy ma do czynienia z monsieur de vigneron. Mężczyzna potwierdził z uśmiechem.

* Ale wkrótce zostanę propriétaire. Właściciel winnicy mieszka w Ameryce, produkcja wina go nie interesuje. Piękna posiadłość, nieprawdaż? A wino lepsze z roku na rok.

Fredric pokiwał głową. Gawędząc, rozpoczęli degustację. Niektóre roczniki były znakomite, Fredric zamówił więc pięć skrzynek. Po jakimś czasie napomknął o córce winiarza, którą poznał w dyskotecce. Dziewczyna obiecała oprowadzić go po chateau. Może przypadkiem jest teraz w domu?

Po chwili zjawiała się uśmiechnięta Genevieve.

* Obiecałaś pokazać mi posiadłość.

* Nie wiem, czy odważę się zejść z tobą do ciemnej piwnicy.

Mówią o tobie w całej okolicy. Straszysz ludzi po nocy kuglar*skimi sztuczkami?

Fredric roześmiał się.

* Odpowiedź znajdziesz w popołudniowym wydaniu „Sud Ouest”. To był wypadek, i jestem szczęśliwy, że uszedłem z życiem.

* Nie wyglądasz na niebezpiecznego osobnika. Chcesz zobaczyć naszą wytwórnię?

* Chętnie.

Genevieve pokazała mu cały proces produkcyjny, wyjaśniła zawilosci. Tegoroczne wino znajdowało się w ogromnych kadziach, cuves, gdzie przechodziło fermentację. Potem zlewano je do beczek, a po dwóch latach butelkowano.

Ta wiedza nie była Fredricowi obca, znacznie bardziej interesowały go pozostałe zabudowania posiadłości. Sądząc po stylowych meblach i ręcznie malowanych tapetach, domostwo liczyło wiele lat.

* Dokładnie trzysta pięćdziesiąt * wyjaśniła Genevieve. *Zbudował je Comte de la Brichey, ale cały jego ród stracono w czasach rewolucji. Od tamtej pory majątek przechodził z rąk do

rań; przez ostatnich pięćdziesiąt lat należał do rodziny Montpellier, obecnie osiadłej na Florydzie. Mój ojciec został maitre de chai, będąc młodym chłopakiem. Potem w niewielkim zacisznym ogrodzie wypili herbatę. Fredrica zaskoczyła gościnność i otwartość Genevieve, która w niczym nie przypominała oschłej dziewczyny z dyskoteki i chłodnej farmaceutki z apteki.

* Co słyhać u maitre de chai w Chateau Ausone? Mogłabyś przekazać mu moją prośbę o degustację?

Jej twarz pokryły drobniutkie zmarszczki, które mogły być oznaką irytacji lub rozczarowania.

* Marcel może się utopić w kadzi! Cestfini, to koniec. Odkąd zaczął pić, przestał mówić prawdę. Pije i kłamie. * Dziewczyna odwróciła wzrok.

* To podłe! * wyrwało się Fredricowi.

* Jeśli się nie opamięta, straci posadę w Chateau Ausone. Winiarz alkoholik to gorsze niż cukiernik z cukrzycą. Wcale mi go nie żal! * dodała, potrząsając hardo głową.

Dobra nasza, pomyślał Fredric, a głośno powiedział:

* Jak się nazywa ten Marcel i jak wygląda? Może przemówię mu do rozsądku, jak go spotkam. Nie wie, co traci, i wcale nie mam na myśli posady.

Genevieve zrozumiała zawołany komplement i uśmiechnęła się.

* Nazywa się Marcel Olivet. Mocno zbudowany, ciemnej karnacji, nosi wąsy. Jest mniej więcej w twoim wieku. Rzadko się uśmiecha. Nie musisz jednak aż tak przejmować się moim losem. * Dziewczyna zaczęła sprzątać ze stołu, aby pokryć zmieszanie.

Fredric uznał, że to właściwa pora, by się pożegnać. Dziękując Genevieve za poczęstunek, zebrał się na odwagę i zapytał:

* Czy przyjąłabyś zaproszenie na obiad w Hotel de Plaisance któregoś wieczoru? Kiedy skończysz pracę w aptece? Oczywiście jeśli uznasz moją propozycję za stosowną * dodał niepewnym głosem.

* Dziękuję, nie widzę w niej niczego niestosownego. Czy wszyscy Norwegowie są tacy powściągliwi?

Fredric chrząknął.

* Może jutro po ósmej? Skinęła głową.

Fredric wracał do miasteczka w podskokach. Co chwila musiał przypominać sobie o nakazie czujności, i wtedy rozglądał się na boki. Uwaga na samochody! Czy nikt nie kryje się za tym murkiem? A pod tymi krzakami?

Ale nie przydarzyło mu się żadne nieszczęście. Dotarł do pokoju hotelowego bez ani jednego nowego zadrapania.

Spędził godzinkę nad tabliczkami z pismem linearnym B, potem wypił dwie szklanki wody; nie dlatego, że był spragniony, lecz z przyzwyczajenia. Wreszcie napisał na czystej kartce papieru dwa pytania:

Dlaczego znika siedmioro ludzi?

Dlaczego zabójstwo Fredrica Drum z Norwegii stanowiłoby zagrożenie dla osoby lub osób kryjących się za zaginięciami?

Między tymi dwoma pytaniami był pewien związek, lecz zapewne nie miał nic wspólnego z domysłami, jakie on i policja wcześniej wysnuli: że sprawcą tych przestępstw jest perwersyjny psychopata. Siedmioro przypadkowych ludzi, w różnym wieku, obojga płci?

Zanotował trzecie pytanie:

Kim jest Fredric Drum?

Był z wykształcenia kryptologiem, parę lat spędził na studiach uniwersyteckich. Przez ostatnie cztery lata zajmował się amatorsko analizą dawnych języków. Wykonywał zawody marynarza, robotnika portowego, taksówkarza, a od jakiegoś czasu był współwłaścicielem restauracji i zdobył przyzwoitą wiedzę o winach.

Która z tych właściwości czyni z niego niebezpiecznego osobnika, którego należy usunąć z tego świata? Może chodzi o sensację, jaką mógłby wywołać, rozwiązując tajemnicę mi*nojskiego pisma sprzed trzech tysięcy lat? Ale przecież teksty zapisane na starożytnych glinianych tabliczkach nie zawierały instrukcji, jak spowodować zniknięcie siedmiu osób w St. Emilion w roku 1984. Odczytanie pisma linearnego B byłoby daleko bardziej pospolitym wydarzeniem.

A może chodzi o to, że jest właścicielem restauracji i znawcą win? Tak, te jego role mają jakiś związek z rozwojem wydarzeń. Może chodzi o wino? Oczywiście. To wszystko powinno mieć jakieś odniesienie do wina.

Przejrzał stertę gazet w poszukiwaniu artykułu zawierającego personalia zaginionych osób. Solange Tejflier, 37 lat, gospodyni domowa z Bordeaux, mieszkanka St. Emilion od dwóch lat. Mąż jest pracownikiem poczty. Dwójka dzieci w wieku ośmiu i dziesięciu lat. Odwiedzała przyjaciółkę prowadzącą niewielkie przedsiębiorstwo ogrodnicze niedaleko Chateau La Gaffeliere. Pożegnała się z nią koło dziesiątej wieczorem i poszła w kierunku miasteczka.

Serge Anton Killy, 9 lat. Syn mechanika z Chateau Cios de la Madelaine. Mieszka w posiadłości wraz z rodziną. Wyszedł wieczorem się pobawić i nie wrócił do domu.

Robert Melline, 51 lat, pracownik winnicy. Zatrudniony w Chateau Saint*Georges od szesnastego roku życia. Wyszedł na spacer z psem koło jedenastej wieczorem. Pies wrócił bez właściciela.

Cyril Glarent, 29 lat, także pracownik winnicy. Mieszka na stacji w St. Emilion, pochodzi z Rouen. Kawaler. Wracał z pracy w Chateau Moulin, zjadłszy kolację koło dziewiątej wieczorem. Od tamtej pory go nie widziano. Jeanette Moulin, 15 lat, uczennica. Mieszka z rodzicami w St. Emilion, ojciec jest pracownikiem komunalnym. Odwiedzała przyjaciółkę w Chateau Berliquet, wyszła od niej o ósmej.

Grace*Clare Moyere, 63 lata, emerytka. Wcześniej zatrudniona w fabryce w Libourne. Osoba samotna. Wybierała się na spotkanie religijne u księdza z Vignonet, małej wioski trzy kilometry na południe od St. Emilion. Zamierzała wsiąść do autobusu koło La Gaffeliere. Nigdy nie dotarła na spotkanie, które miało się rozpocząć o dziewiątej.

Jean*Marie Lascombe, 17 lat, czeladnik w Beausejour Bec*ot. Mieszka razem z rodzicami w centrum miasta, ojciec jest policjantem. Zaginał w drodze z miejsca pracy do miasteczka po godzinie ósmej.

Jedynie punkty styczne, jakie Fredric dostrzegął, to fakt, że wszystkie osoby zaginęły po zapadnięciu zmroku, na niewielkim obszarze na południe i południowy zachód od miasta. Wino też odegrało jakąś rolę, ale co miało z nim wspólnego dziewięćdziesięcioletnie dziecko? Oraz gospodyni domowa i emerytka?

Może wszystko to było dziełem przypadku? Może morderca * jeśli prawdziwe jest przypuszczenie, że zaginięci nie żyją * czał się przy drodze i rzucał na pierwszą lepszą ofiarę? W takim razie sprawcą był szaleniec. Szukając jednak związku między zaginięciami a zamachami na jego życie, Fredric musiał odrzucić ten trop.

Zmusił się, by jeszcze raz prześledzić ciąg wydarzeń. Z tym samym rezultatem. Innymi słowy: bez rezultatów.

Upadek w rozpadlinę mógł być przypadkowy, strzałka źle wskazująca kierunek nie musiała niczego oznaczać. Zepchnięcie z muru i list mogły być żartem. Dość makabrycznym żartem. Ale kto spycha człowieka w piętnastometrową przepaść dla zabawy? Chyba francuskie poczucie humoru nie sięga aż tak daleko.

Może powinien pójść między wilki zgromadzone wokół dębu? Rzucił szybkie spojrzenie na zegar: parę minut po czwartej. „Sud Ouest” już się ukazała, wyjaśnienie jego niezwykłego pojawienia się w sypialni obcych ludzi zostało już zapewne przyjęte do wiadomości.

W drodze na rynek kupił egzemplarz gazety. Usiadł na uboczu. Od razu zauważył, że przy stolikach panowała ożywiona atmosfera, słowo „wino” było odmieniane na wszystkie sposoby. Nareszcie więc prowadzono dyskusję na właściwy temat.

Dostrzegł kilka zaciekawionych spojrzeń. A więc relacja o nocnych odwiedzinach została odnotowana.

Rozłożył „Sud Ouest”. Pierwszą stronę zdobiły dwa duże artykuły. Jeden z nich dotyczył doktora enologii, który poddał analizie wino o sensacyjnej zawartości alkoholu * całe osiemnaście procent. Fredric zdziwił się * przecież to niemożliwe. Doktor zapewniał, że ponawianie prób przynosiło ten sam wynik, a wino nie było wzmacniane. Musiało więc chodzić o nową odmianę winogron, krzyżówkę, mutanta. Lecz nawet w takim przypadku osiemnaście procent to za dużo. Takie odkrycie oznaczałoby rewolucję w branży winiarskiej. Jak smakuje? Wyśmienicie, twierdził doktor, dodając jednocześnie, że obowiązek zachowania tajemnicy nie pozwala mu podać nazwy chateau, które dostarczyło tę próbkę.

A więc to dlatego rozmowy przy stole dotyczyły wina. Nic dziwnego.

Osiemnaście procent. Fredric podrapał się po karku. Z tego, co pamiętał, rekord dla wina uzyskiwanego w procesie naturalnej fermentacji wynosił siedemnaście procent z jakimś ułamkiem po przecinku. To był jednak jasny musujący trunek wytwarzany w Niemczech z innych szczepów niż czerwone wina. O tak, ta wiadomość musiała wywołać burzę. Chyba że ktoś zakpił sobie z redaktorów gazety.

W drugim artykule informowano, że policja znalazła ślady krwi w dwóch miejscach przy drodze na południe od St. Emi*lion. Próbki przesłano do laboratorium, by stwierdzić, czy pochodzą one od ludzi. Obu znalezisk dokonano niedaleko La Gaffeliere.

Na samym dole w narożniku umieszczono notatkę, w której wyjaśniano, że nocna wizyta u państwa Piros nie nosiła znamion przestępstwa, lecz była efektem nieszczęśliwego wypadku, któremu uległ pewien norweski kupiec win. Treść notatki usatysfakcjonowała Fredrica.

Krew i wino. Wino i krew.

Przesunął stolik i krzesło pod ścianę lokalu serwującego naleśniki i zamówił dzbanek herbaty. Popijał ją drobnymi łykami, przyglądając się przez lekko przymknięte powieki ludziom zasiadającym pod drzewem dębu. Ponad czterdzieści osób, głównie mężczyźni, niewielu turystów. Wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę i przyłożył ją do prawego oka. Ukazał się mu kolor czerwieni, kolor wina.

Czuł się bezradny. Wiedział, że go obserwowano, nie wiedział jednak jak, i ta niepewność powodowała pewien dyskomfort. Nigdy nie zauważył, by ktoś podążał jego śladem, nie czuł na sobie niczyjego natarczywego wzroku. Gdzie Dłoń ma swój punkt obserwacyjny?

Krew i wino. Klasyczny napój.

Przez godzinę tkwił w cieniu pod ścianą lokalu, wypatrując jakichś znaków, po czym zapłacił, wstał i ruszył wąską uliczką Tertre des Vaillants. Po chwili skręcił gwałtownie w jakąś bramę i zatrzymał się. Nikt się nie pojawił, więc poszedł w kierunku Rue du Clocher i wślizgnął do ciemnych i chłodnych pomieszczeń „Restaurant Germaine”. Na parterze mieścił się bar, sala restauracyjna znajdowała się na piętrze. Oprócz niego w lokalu nikogo nie było. Fredric zbliżył się do kontuaru.

* Dobre wino * rzucił do młodego barmana.

* Drogie czy tanie? * spytał młodzieniec.

* Drogie i ciemne.

Młodzieniec stropił się, ale nic nie powiedział; zniknął na zapleczu i po chwili wrócił z butelką.

* To? * Spojrzał pytająco na Fredrica, a ten pokiwał głową. To było Chateau Pavie rocznik 1970. Premier Grand Cru

Classe. Ciężki, bogaty bukiet, aromaty wiśni, miodu i leśnych grzybów. Mocno czerwone z brunatnym odcieniem przy szkle. Fredric pociągnął kilka drobnych łyków, potem większych. Między łykami łapczywie wdychał zapach, zupełnie jak świnia na tropie truflii.

Ale on nie był na tropie.

Ściany lokalu zawieszono obrazami znanego francuskiego artysty Michela Pourteyrona; ich wyblakłe barwy były ledwie widoczne w ciemnym wnętrzu. Na stole przy wyjściu ustawiono stos makaroników, lokalnego specjału cukierniczego. Fredric spróbował raz i to mu wystarczyło; makaroniki były lepkie i bardzo słodkie. Mógł przez szybę w drzwiach wejściowych obserwować ulicę.

Dwoje turystów zajrzało do środka, ale widząc opustoszałe mroczne wnętrza, szybko się wycofało. Fredric powrócił do metody picia drobnych łyków i zaczął systematycznie opróżniać butelkę. Dlaczego tu siedzi? By uciec przed wzrokiem obserwatora? Możliwe. A poza tym to miejsce pasuje do jego nastroju.

Nagle zastygł i wino, które miał w ustach, trysnęło cienkim strumieniem na podłogę. W szybie drzwi wejściowych pojawiła się twarz * groteskowe oblicze wykrzywione bólem czy może wściekłością * która patrzyła wprost na niego! Fredric poczuł, że włosy stają mu dęba. Ta twarz nie należała do normalnego człowieka.

Po ułamku sekundy zniknęła. Fredric zerwał się z miejsca, podbiegł do drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Nikogo tam nie było. Rzut oka w prawo i lewo potwierdził, że ulica jest pusta.

Król Minos mógł być kanibalem.

Fredric otwiera paczkę i rozwiązuje pewien problem,
posługując się miodem i winem

Siedział na krześle w swoim pokoju, usiłując zapanować nad drżeniem rąk.

Ta twarz to oblicze diabła.

Tym razem wypił cztery szklanki wody. Kiedy przymknął powieki, znów ją zobaczył: blada, ziemista cera, brunatne kręgi wokół oczu, obnażone zęby, grymas bólu i wściekłości. Kto mógłby mieć taką twarz? Nikt, nikt nie jest w stanie krążyć po ulicach z taką twarzą, nie wzbudzając nadzwyczajnego zaciekawienia.

Tylko że na ulicy nikogo nie było. Czy słyszał kroki? Tak, cichy odgłos szybkich, lekkich kroków. Właściciel twarzy mógł zniknąć w jakiejś bramie lub rozpląnąć się w powietrzu * na to samo wychodziło.

Jego prześladowcy mieli niezwykle możliwości i umiejętności. Znali każdy jego ruch. Czyżby posiadali dar jasnowidzenia?

Przydałyby mu się teraz pełne powagi i tajemnicze wyjaśnienia Toba. „Rozum”, oznajmiłby zapewne, „może tworzyć obrazy, których mu potrzeba. Nie wiadomo jednak, czy naszej świadomości te obrazy się podobają”. Lub coś w tym stylu.

Fredric opanował drżenie i wsłuchał się w głos rozsądku. Wszystko ma swoje wytłumaczenie. Wokół rynku i placu, gdzie stoi jego hotel, jest kilkadziesiąt okien z dobrą widocznością * to znakomite punkty obserwacyjne. Z pomocą lornetki mogą śledzić jego wyprawy do winnic. Oni? Czy Dłoń to może Dłonie?

Twarz została stworzona do tego, by siać przerażenie. Ale wystarczy odpowiedni makijaż, to żadna sztuka. Niech sobie

nie myślą, że przestraszy się ucharakteryzowanej twarzy. Niech nie myślą, że Pielgrzym łatwo da się złamać. Mają do czynienia ze starym trzydziestodwulatkiem. Który na dodatek ma umówione spotkanie z uroczą dziewczyną i zamierza do niego dotrzeć w dobrym zdrowiu i wyśmienitym humorze! Wiele *zbyt wiele * czasu upłynęło od jego ostatniej randki.

Myśl o Genevieve Brisson dodała mu otuchy.

Zamknął drzwi na klucz, zasiadł za biurkiem i wyjął notatki. Wbił wzrok w znaki i ich interpretacje. Pozwolił fotografiom starożytnych glinianych tabliczek stłumić nawracające

fale lęku. Wsłuchiwał się w łagodny wiatr historii, który przyjemnym podmuchem owiewał jego twarz.

Inni stosowali w takiej sytuacji valium.

Ostatnia analiza tabliczki Py Ta 641 była szczególnie interesująca; jej treść bez wątpienia musiała dotyczyć minojskich zwyczajów kulinarnych. Może Knossos było komorą grobową, w której umarli byli pożywieniem? Może ułożeni ciasno jak śledzie, fermentowali w olbrzymich dzbanach? Tłumaczenie z użyciem jego własnych wariantów symboli T brzmiało następująco:

„W trzecim dzbanie przez byka złożona ofiara dwóch dziewic
w dzbanie będą kurczyć się i dojrzewać
z mniejszego dzbana trochę oliwy (domieszać?)
dzban (pitos 3) dobre jedzenie/człowiek”.

A zatem może Kreteńczycy byli kanibalami i stanowiło to ważny element ich religii * choć Fredric musiał uznać tę formę ludożerstwa za wyjątkowo wyrafinowaną.

Zbadał teksty na innych tabliczkach i wyobraził sobie następujący obrządek: kapłani wyprowadzają na otwarty plac białego byka, a tam czekają dwie młode wybranki. Dziewczęta mają upudrowane na biało twarze, są nagie pod cienką lnianą szatą. Byk nadziewa je na spiczaste rogi i targa nimi

w powietrzu. Zakrwawione ciała śmiertelnie rannych dziewcząt zostają wrzucone do dzbana, który dopełnia się starannie wybraną oliwą. Dzban umieszcza się na dłuższy czas w osobnym pomieszczeniu, po czym z wyłowionych ciał usuwa się kości i pozostawia wewnątrz naczynia, a mięso jest spożywane przy szczególnych okazjach, zwłaszcza w trakcie ceremonii religijnych.

Co za makabryczny przepis. Nie nadaje się do jadłospisów norweskich restauracji.

Fredric był zadowolony z tłumaczenia. Symbole T idealnie pasowały * chyba nie popełnił większych błędów * choć poszczególne wyrazy lub sylaby wciąż wymagały dopracowania; drobiazgi mogły bowiem wpływać na sens całości. Jego pedantyczna natura nie tolerowała przypadkowych zmiennych we wzorze matematycznym. Interpretacja symboli wymagała żelaznej konsekwencji.

Sprawdził możliwe warianty znaczeń symboli na kolejnych tekstach, także tych zapisanych pismem linearnym A, które w pewnych aspektach było podobne do pisma linearnego B, i odrzucił dwa stare klucze.

Czas mijał niepostrzeżenie i zapadł zmierzch, Fredric zadowolili się suchą bagietką, którą popił kilkoma szklankami wody.

Było cicho i spokojnie.

Gdyby taka mogła być rzeczywistość. Spokojne miasteczko w południowej Francji, gdzie ożywione dyskusje o życiowych drobiazgach stanowią kulminacyjny moment dnia, gdzie w miłym nastroju spożywa się jedzenie i popija wino, gdzie stary średniowieczny kościół jest świadkiem wszystkich wydarzeń, gdzie myśli krążą wokół płomienia świecy i skąd można by słać dobre życzenia do przyjaciół i najbliższych. Gdzie październikowa noc jak ciepły koc otula rzędy winorośli i ludzi.

Ile czasu upłynie, zanim St. Emilion znów stanie się takim miejscem? Fredric zgasił wszystkie światła i rozsunął firanki, by nikt z ulicy nie mógł dostrzec jego sylwetki w oknie. Widok z hotelu otwierał się na kościół. Jego strzelista wysoka wieża wbijała się z impetem w niebo.

Na rynku nie było ludzi, kawiarnie zamknęły już swe podwoje. Fredric usiłował policzyć okna, które wychodziły na hotel, ale szybko zrezygnował * było ich zbyt wiele.

Rozebrał się w ciemności i wślizgnął pod koc. W ostatnim przebłyску świadomości, zanim zapadł w sen, pożałował wyplutego łyka Chateau Pavie i reszty wina z niedopitej butelki.

Padał deszcz. Fredric stał przy oknie i przyglądał się pierwszej jesiennej ulewie. Pogoda ułatwiła mu decyzję * postanowił spędzić cały dzień w pokoju hotelowym, nic nie robiąc, poza rozwiązywaniem lingwistycznych szarad.

Po śniadaniu, które jak zwykle zjadł na gorze, wyskoczył do sklepiku na rogu, by zakupić jakieś francuskie specjalności kulinarne na okrasę leniwego dnia.

Wybrał małą puszczykę gęsiich wątróbek, słoik luksusowego miodu i kilka świeżo upieczonych na grillu kaczych udek. Poza tym słoiczek oliwek, masło i bagietkę. Zdjął z półki z winem butelkę Chateau Ausone rocznik 1978 Wino nie należało do najtańszych. Pospiesznie, lecz z zachowaniem najwyższej ostrożności, wyszedł ze sklepu, przeciął plac przed kościołem i wszedł do hotelu.

* Okropna pogoda * zaczepił go recepcjonista.

* W istocie * odrzekł z ulgą, znalazłszy się na powrót w bezpiecznym miejscu.

Czyżby naprawdę zdołali go przestraszyć? Odpowiedź na to pytanie była niemal twierdząca, choć nie mniejsze znaczenie miała świadomość wieczornego spotkania z Genevieve. Nie zamierzał bowiem wdać się w żadną awanturę, która mogłaby mu pokrzyżować plany.

Umył kryształową gwiazdę pod ciepłą wodą i wytarł ją czystym ręcznikiem. Promienie światła rozszczepiły się w pryzmatach tworzonych przez ramiona gwiazdy i kryształ załśnił setką barw. W Południowej Ameryce kolory przybierały zielonkawe odcienie, tutaj zaś dominowała czerwień. Fredric już dawno zauważył, że działanie kryształu zależy od miejsca, w którym się znajduje. Fotony, miliardy świetlnych cząstek spadało na wypolerowane powierzchnie, a odbicie fal czyniło je widocznymi dla ludzkiego oka. Czy istnieje w świecie coś piękniejszego od barw? A przecież są iluzja, nie istnieją niezależnie od zmysłu widzenia. Nocą wszystkie róże są szare.

Jaka część rzeczywistości jest iluzją? „Tyle, ile sam wybierzesz”, odpowiedziałby Tob. Fredric zauważył z najwyższym zdumieniem, że istnieje zależność między jego myślami a kolorem światła wysyłanym przez gwiazdę. Może powinien poradzić się jakiegoś fizyka, może specyficzny kształt kryształu wyzwała jakieś szczególne jego właściwości? Jaką wcześniej nieznaną moc? Rubin w laserze to wszak też kryształ.

Dzień był szary, ciemny od deszczu, ale Fredric w ogóle się tym nie przejmował. Spędził trochę czasu nad próbkami mi*nojskiego pisma, po czym zabrał się do czytania powieści, która w dość pretensjonalny sposób usiłowała opisać to, co nieprzeniknione. Poświęcił lekturze parę godzin, ale książka nie wzbudziła w nim wielkiego entuzjazmu. Jego wzrok, dochodząc do skrajności, uciekał w bok i bezwiednie muskał wzór tapety na ścianie. Próbował go przeniknąć, ale tapeta i ściana w oczywisty sposób nie były przenikalne. Poza tym nie miał odpowiedniego światła, by zobaczyć to, co kryło się z drugiej strony. A kryształowa gwiazda? Przecież kryształowa gwiazda ma moc przenikania!

Ktoś zapukał do drzwi i Fredric zerwał się z łóżka jak oparzony.

* Kto tam?! * krzyknął.

* Recepcjonista. Przyszła do pana jakaś paczka.

* Paczka? * spytał ze zdziwieniem, otwierając drzwi.

* Oui, monsieur, ici. * Mężczyzna wręczył mu pakunek

wielkości dwulitrowego kartonu mleka. * Ktoś zostawił ją na ladzie, kiedy wyszedłem do kuchni, by zaparzyć sobie kawę.

Recepcjonista odszedł, a Fredric stał bez ruchu w miejscu, trzymając paczkę w dłoniach. Była bardzo lekka. Popatrzył na nią sceptycznie, po czym wniósł do pokoju i bardzo ostrożnie położył na biurku. Usiadł w pewnej odległości, nie odrywając wzroku od pakunku. Ktoś użył maszyny, by napisać adres na naklejce: „Monsieur Fredric Drum, Hotel de Plaisance, St. Emilion”. Poza tym szary papier był oklejony taśmą.

Paczka doprawdy była niezwykle lekka!

Fredric trącił ją palcem wskazującym * z początku delikatnie, potem mocniej. Karton ustąpił pod naciskiem, jakby był pusty w środku. Uniósł go nieco i ostrożnie potrząsnął. Nic. Żadnego dźwięku.

Może to bomba?

Niemożliwe. Bomba musiałaby dużo więcej ważyć. Jaki więc śmiertelny mechanizm kryje się za tym szarym opakowaniem?

Przesiedział dłuższą chwilę, wpatrując się bezradnie w paczkę. Powinien ją otworzyć? Czy może wrzucić do kosza, zapomnieć o niej i zdać się na personel hotelu?

To musi być pułapka, jakieś tajemnicze urządzenie wymyślone przez Dłoni. Fredric zdecydowanym ruchem umieścił paczkę w koszu.

Wypił trzy szklanki wody i rzucił się na łóżko, ale jego wzrok nieustannie podążał w stronę kosza. Wreszcie zerwał się, przemierzył pokój nerwowym krokiem i znów sięgnął po książkę, ale nie potrafił skupić się nad jej treścią. Przeczytał kilkakrotnie tę samą stronę, w końcu poddał się i sięgnął po torbę z zakupami.

Tyle że nie był głodny.

Przeprowadź ślepy test, Fredricu, wyimaginowany ślepy test! Skoncentruj się na dobrych winach: w jaki sposób odróżnić dobrego medoka od wyśmienitego saint*emiliona? Zamknął oczy, usiłując sobie wyobrazić balet aniołów na języku, kiedy toczy się po nim Chateau Margaux, próbując przywołać kryształki słońca zamknięte w każdej kropli Troplong Mon*dot. Na próżno, czuł jedynie smak wody z trzęsawiska, kwaśnej, mętnej wody.

Narastała w nim irytacja. Dlaczego nie próbuje otworzyć paczki, rzecz jasna z zachowaniem największej ostrożności? Tyle że teraz znajdowała się w koszu na śmieci, gdzie było jej miejsce.

Pomyślał o brzytwie do golenia. Mógłby jej użyć, by naciąć papier pakunkowy i zajrzeć przez szparę. Wyjął pakunek z kosza i znów położył na biurku. Usiadł, zrobił nacięcie wzdłuż boku i odchylił płat papieru. Pod spodem był biały karton z niebieskim nadrukiem. Fredric przechylił głowę i przeczytał napis: „Lak Sterilise Demiecreme”. Na miły Bóg, to zwykły karton po mleku!

Zdarł resztki papieru i wrzucił je do kosza. Trzymał w dłoni zwyczajne opakowanie kartonowe, najwyraźniej opróżnione z zawartości. Ale wieczko do zamykania było zaklejone taśmą.

Trucizna, pomyślał. Karton napełniono trującym gazem; wszak nic nie ważył i nie wydawał z siebie żadnych dźwięków. Fredric znów wrzucił go do kosza.

Zegar wskazywał godzinę piątą.

Trucizna? To nie mógł być trujący gaz. Gaz ulotniłby się przez nieszczelności. Poza tym chyba trudno jest napełnić gazem karton po mleku.

Nie potrafił opanować ciekawości. Postawił karton na biurku i obejrzał go ze wszystkich stron, potem przyjrzał się opakowaniu, taśmie i strukturze papieru. Wreszcie powąchał opakowanie; zapach nie wzbudził jego podejrzeń. Komu mogłoby przyjść do głowy, żeby przysłać mu pusty karton po mleku?

Chyba że nie jest pusty. Coś musi być w środku. Coś lekkiego, co nie wydało żadnego dźwięku przy poruszaniu. Może

list, jakaś informacja? W kartonie po mleku? Beznadziejny pomysł. Jakiś głos podpowiadał mu, by dał sobie spokój, by nie otwierał kartonu, bo to kolejny groźny podstęp Dłoni.

Jednocześnie słyszał podszept nienasyconej ciekawości: podejmij wyzwanie.

Wypił dwie szklanki wody.

A potem podważył skrawek taśmy, oderwał powolnym ruchem mały kawałek i powąchał. Zapach był zwyczajny. Usunął resztę taśmy. Pozostało jedynie rozłożyć skrzydełka wieczka i zajrzeć do środka. Czyżby dobiegł go jakiś cichy dźwięk? Przyłożył ucho do pakunku, ale niczego nie usłyszał. Nagłym ruchem otworzył karton i odsunął się.

I wtedy rozległo się gwałtowne bzyczenie. Zanim zdążył zamknąć otwór, ze środka wyleciały cztery ogromne owady. Osy! Jedna usiadła mu na ramieniu, druga na piersi. Dwie pozostałe krążyły rozdrażnione wokół jego głowy.

Fredric siedział jak sparaliżowany. Był pewien, że najmniejszy ruch spowoduje owady do ataku. Szerszenie * to były szerszenie * to najbardziej jadowite z rodziny os. Jedno użądlenie tego długiego na cztery centymetry niebiesko*żółtego rozwścieczonego insekta może zabić człowieka, a dwa to pewna śmierć.

Ten, który siedział na ramieniu, pofrunął w górę, a ten na piersi ruszył w kierunku szyi. Fredric poczuł krople potu na czole; w każdej chwili spodziewał się ukłucia ich żądeł. Jeden z owadów wędrował teraz po jego karku, łaskocząc go małymi owłosionymi nóżkami. Spokojnie, żadnych ruchów, lekki oddech, upomniał samego siebie. Dlaczego trzymają się blisko niego, dlaczego nie lecą do okna? Pewnie przyciąga je zapach, ciepło jego ciała. Dla os to sygnał zagrożenia, stąd są takie czujne.

Zamknął oczy. To Dłoń. Tylko wyrafinowany, wyjątkowo złośliwy umysł mógł to wymyślić. Jeśli zostanie użądłony i umrze, jego śmierć będzie uznana za przypadkową. Szerszenie mogły przecież dostać się do pokoju przez okno; policja na pewno nie powiąże ich obecności z paczką i pustym kartonem po mleku. Dłoń musi znać się na psychologii! Najpierw wystraszyła go i skłoniła do zamknięcia się w pokoju hotelowym * trick z przerażającym obliczem spełnił swoje zadanie * a potem wykorzystwała jego wrodzoną ciekawość, pewna, że nie oprze się pokusie otworzenia paczki.

Dwa dni zwłoki, by mógł raczyć się dobrym winem. Fre*dric trząsał się z wściekłości. Tysiące myśli przebiegało mu przez głowę (myśli nie powinny zirytować owadów). Ten z klatki piersiowej przeniósł się na plecy. Drugi wciąż spacerował po karku, trzeci znalazł sobie wygodne miejsce na jego udzie.

Nie użądła, jeśli będzie siedział w bezruchu, ale jak długo jest w stanie to wytrzymać? Nawet gdyby wszystkie szerszenie zdecydowały się odlecieć w stronę okna, nie odważy się wstać i ruszyć do drzwi. Był przekonany, że taki manewr skłoniłby owady do błyskawicznego ataku. Może były tresowane? Tresowane szerszenie! Lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach. Nie był to właściwy moment, lecz Fredric nie mógł sobie wybaczyć własnej głupoty. Kiedy się wreszcie nauczy?! Kiedy zrozumie, że nie jest statystą w podrzędnym filmie kryminalnym, tylko odgrywa główną rolę w prawdziwym dramacie? Powinien był się domyślić, że zawartość pakunku jest śmiertelnie niebezpieczna.

Wszystkie szerszenie poderwały się do lotu i teraz krążyły po pokoju tak szybko, że nie mógł nadążyć za nimi wzrokiem. Wystarczy drobne poruszenie, a dopadną go w ułamku sekundy. Mimo to podniósł ślimaczym ruchem rękę i oparł ją na biurku. Potem drugą. Jedna z os usiadła mu na ramieniu, ale go nie użądliła. Zbadła powierzchnię skóry i odleciała.

Co ma począć? Zaczął gorączkowo szukać wyjścia z sytuacji. Nie może przecież czekać, aż szerszenie umrą z głodu.

Zaraz! Głód. Co jadają osy? Miód. Miód musi być przysmakiem os. Jego wzrok powędrował w kierunku torby z zakupami * w środku był słoiczek miodu! Jego dłoń dzieliło od torby pół metra. Czy osy uspokoją się i złagodnieją, kiedy najedzą się miodu? To wątpliwe. Raczej nabiorą sił i energii. I rozłuszczą się, bo zechcą wrócić do gniazda z pełnym brzuchem, a nie będą w stanie znaleźć drogi powrotnej.

Wystarczy. Co jeszcze znajdziesz w torbie z zakupami, Fre*dricu? Butelkę wina. Gdyby zmusił osy do spożycia wina, upiłyby się i opadły z sił, a może nawet zdechły. Jak jednak zachęcić szerszenie do spożycia alkoholu?

W jego głowie zaczął powstawać pewien plan: gdyby tak zmieszać wino z miodem? Pomysł znakomity, ale wykonanie trudne: trzeba otworzyć butelkę i słoik, nie drażniąc owadów. I skąd wiadomo, że się zleczą, kiedy zdejmie nakrętkę ze słoika?

Dwie osy siedziały teraz na suficie, jedna przy oknie. Czwarta kręciła szalone kółka po pokoju.

Fredric pochylał się centymetr po centymetrze, aż po kilku minutach dotknął torby i powoli zaczął ciągnąć ją ku sobie. Nie spiesz się! Spokojnie. Dwukrotnie zamierał, kiedy owady podlatywały bliżej. Najwyraźniej miały go pod stałą obserwacją.

Deszcz cały czas bębnił o szyby okienne. Wysunął butelkę z torby i jedna z os natychmiast usiadła na szkle. Przez pięć minut badała powierzchnię, zanim uznała, że butelka nie stanowi żadnego zagrożenia, i znów odleciała. Teraz przyszedł czas na miód. Kiedy słoik pojawił się na blacie, zainteresowały się nim już trzy owady, ale nie znalazłszy miodu, dwie odleciały. Trzecia została chwilę dłużej, ale w końcu ona też przeniosła się na okno.

Jak przeprowadzić cały plan? Korkociąg znajdował się w łazience. Fredric podniósł nieco butelkę i szybkim ruchem opuścił na blat. Szerszenie trzymały się z daleka. Powtórzył tę czynność kilkakrotnie, unosząc butelkę coraz wyżej, by przyzwycząić owady do tego ruchu, i skonstatował z niejakim zdziwieniem, że w ogóle nie zwracają na niego uwagi.

Nabrawszy odwagi, wziął butelkę w obie dłonie, nachylił się i zaczął stukać szyjką o metalową nogę biurka. Najpierw lekko, potem coraz mocniej. W końcu uderzył z taką siłą, że czubek odleciał i potoczył się po podłodze, a strużka wina popłynęła między jego nogami.

Owady momentalnie się zleciały i usiadły na butelce i jego dłoniach. Fredric zadrżał.

Szerszenie trzymały się z dala od kropli, choć okazywały im duże zainteresowanie. Zdawało się, że minęła cała wieczność, zanim znów odleciały.

Odstawił butelkę i odetchnął. Przetrwał już ponad godzinę w towarzystwie os i cudownym trafem żadna z nich jeszcze go nie użądliła.

Rozlał odrobinę wina na blacie i owady znów się pojawiły, wysuwając trąbki, ale nadal unikały cieczy. Ciekawe, jak się zachowają pod wpływem alkoholu. Czy stracą kontrolę nad sobą i wpadną w szal? A może będą kąsać na lewo i prawo? Tego nie wiedział, ale musiał zaryzykować.

Znów odleciały na bezpieczną odległość. Fredric wsunął dyskretnie palec pod wieczko, wygrzebał odrobinę miodu i zamknął słoik, po czym błyskawicznie rozsmarował lepką substancję w plamie wina. Osy rzuciły się w kierunku jego palca. Zapach miodu! Siedział z palcem zanurzonym w mieszaninie miodu i wina, a szerszenie krążyły wokół jego dłoni jak oszalałe. Wreszcie jeden wpadł w tę breję, potem drugi, na koniec wszystkie cztery. Fredric powoli cofnął palec i odchylił się do tyłu.

Osy wsysały miód z dodatkiem alkoholu, a on z napięciem wpatrywał się w ich ruchy.

Działy szybko i skutecznie, ich niebiesko*żółte odwłoki rytmicznie wyginały się i prostowały. W końcu jeden z nich odsunął się na bok i zakręcił kilkakrotnie wokół własnej osi, jakby rozglądał się wokół.

Fredric skonstatował z pełnym przekonaniem, że szerszeń się urznął.

Pozostałe też zaczęły wirować * najwyraźniej podchmielone i dezorientowane * ale nie przerywały posiłku. Zadziałał instynkt, który kazał im opychać się słodkim nektarem aż do sytości, nawet jeśli były z dala od gniazda. Zachowywały się jak roboty zdalnie sterowane przez królową matkę, opętane jedynym życiowym zadaniem: zbiorem nektaru na potrzeby wspólnoty.

Wreszcie jedna z os przewróciła się na grzbiet i Fredric z najwyższym trudem opanował wybuch śmiechu. Wciąż były zdolne do lotu, ale poruszały się teraz dużo wolniej. Kręciły się jak bączki, raz w jedną, raz w drugą stronę.

To był szczególny spektakl, który zmierzał ku dramatycznemu zakończeniu. Wszystkie szerszenie leżały teraz na grzbiecie, machając w powietrzu sześcioma owłosionymi kończynami. Ich długie odrażające żądła były wysunięte z odwłoków. Owady czuły się zagrożone, usiłowały żądlić, ale ich ciosy trafiały w próżnię.

Fredric podniósł się ostrożnie, ale szerszenie nie zareagowały. Klasnął w dłonie i krzyknął:

* Voila, Fredricu Drum, tramtatam. Trzy do zera. Fredric trzy, Dłoń zero!
Chwycił gazetę i na wszelki wypadek zmiażdżył nią owady, po czym zdrapał słodką breję, wrzucił do muszli klozetowej i splukał wodą. Umył blat, złożył karton i wyrzucił do kosza. Ten koszmar trwał prawie dwie godziny. Za sześćdziesiąt minut ma spotkać się z Genevieve Brisson.

Wziął prysznic i poprawił swój wygląd za pomocą kremów, pogwizdując i podśpiewując „Seemann, komm bald wieder”. Potem zlał z rozbitej butelki kieliszek Chateau Ausone rocznik 197. Wino miało nadzwyczajny smak: kryształki słońca w każdej kropli. Usiadł, pęczniąc z dumy. Dokonał wielkich czynów, trzykrotnie wyrwał się ze śmiertelnego uścisku Dłoni. Gra

wchodziła w nową fazę. Kto wie, może zdesperowana Dłoń będzie musiała się ujawnić? Może popełni błąd, oddając mu inicjatywę? Nie ma żartów, kiedy Fredric Drum, Pielgrzym, rusza do ataku. Wielu mogłoby to potwierdzić. Bien sur.

Dochodziła ósma, kiedy zszedł do recepcji i usiadł na sofie w kącie. Oprócz niego i recepcjonisty w hotelowym holu nikogo nie było, lecz w sali restauracyjnej widać było kilkoro gości.

Nie musiał długo czekać. Kiedy zjawiała się Genevieve, przywitał ją wesoło po norwesku.

* Comment? * Odwróciła się ku niemu nieco zaskoczona. * A, tu jesteś. Myślałam, że będę musiała sama wejść do środka. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż „Restau*rant de Plaisance” to jeden z najdroższych i najbardziej ekskluzywnych lokali w całym departamencie Gironde. A to o czymś świadczy.

* Om, mademoiselle Grace Dieu. Fakt ten jest mi dobrze znany. Nie co dzień ma się jednak okazję, by zjeść obiad w towarzystwie najpiękniejszej córki miejscowego właściciela winnicy. * Fredric starał się traktować ją z francuską galanterią, ale nie najlepiej wypadał w tej roli.

Szef sali wskazał im stolik. Fredric już zarezerwował wcześniej miejsca w głębi pomieszczenia, skąd zwrócony plecami do ściany mógł mieć na wszystko baczenie. Genevieve wyglądała prześlicznie. Była w dobrym nastroju, mówiła bez przerwy i nieustannie obrzucała go spojrzeniem dużych brązowych oczu. Fredric też się ożywił, nawet kilkakrotnie zdobył się na cięte riposty, które dziewczyna witała salwami śmiechu. Spoważniał, kiedy Genevieve podzieliła się z nim następującą uwagą:

* Szkoda, że nie widziałeś twarzy Marcela, kiedy oznajmiłam mu, że zamierzam zjeść kolację w „Restaurant de Plaisance” z pewnym Norwegiem. Wybałuszył oczy i bardzo się rozgniewał.

* Rozgniewał się? * Fredric odłożył widelec.

* Tak, był wściekły. Powiedział, że jestem głupia. * Przyłożyła palec wskazujący do skroni.

* Głupia? * Fredric odchylił się w krześle.

* Tak, głupia. Potem spoliczkował mnie i odszedł. Oczywiście był pijany.

* Pijany? * Fredric zamyślił się. * Kiedy to się stało?

* Wczoraj, przed trzecią, kiedy wychodziłam do apteki. Wyglądasz na zaniepokojonego. Pas de danger. * Nałożyła sobie odrobinę foie gras de canard, pasztetu strasburskiego.

* Od jak dawna znasz Marcela Oliveta?

* A dlaczego pytasz? Chcesz od razu wszystko o mnie wiedzieć? Bien. Znamy się niemal rok. Z początku jednak zachowywał się inaczej * westchnęła.

* Zaczął pić? * dopytywał się ostrożnie.

* Oui, kilka miesięcy temu. Pije na umór i wynajduje wymówki, by mnie unikać. Domyślam się, że ma inną, ale dlaczego pije?

* No właśnie * wycedził Fredric, podnosząc widelec.

* Ma alibi na co najmniej dwa wieczory * powiedziała Genevieve i odwróciła wzrok.

A potem zmienili temat rozmowy.

Sala wypełniła się gośćmi. Fredric odnotował dwa niemieckie małżeństwa, grupę elegancko ubranych Francuzów, przypuszczalnie handlarzy wina z Paryża, oraz dwóch samotnych Amerykanów. Przy dalszych stolikach siedziały jakieś starsze pary małżeńskie, lecz nie słysząc było, jakim językiem się posługiwały.

* Skąd masz tyle zadrapań na twarzy? Zauważyłam, że ukrywasz je pod warstwą kremu i pudru. Czy to ślady z zimnej Norwegii po odmrożeniach?

* Ależ skąd. * Fredric roześmiał się. Bardzo się starał, by śmiech zabrzmiał naturalnie. * W drodze do Chateau Cheval Blanc zgubiłem ścieżkę prowadzącą przez las i wpadłem do jakiejś rozpadliny. Poraniłem się o krzaki i gałęzie. Tak bywa, jak się nie zna okolicy.

* Zgubiłeś ścieżkę? Pas possibile. Jest bardzo wyraźna i dobrze oznakowana. Szłam tamtędy wiele razy.

* Tak, to dziwne * mruknął z nosem w talerzu.

Już dawno rozszyfrował Genevieve Brisson. To otwarta i szczerą dziewczyna, nie ma nieczystych zamiarów; za regularnymi i jasnymi rysami jej twarzy nie kryje się żadna mroczna tajemnica. Naszła go ochota, by podzielić się z nią wydarzeniami ostatnich dni, lecz szybko odrzucił tę myśl. Nie zamierzał wciągać ją w to wszystko.

* Genevieve * odezwał się. * Dlaczego zgodziłaś się zjeść ze mną kolację? Dlaczego właśnie ze mną, przypadkowo poznanym cudzoziemcem? Jesteś piękna, mogłabyś przebierać w ofertach * zakończył nieco zażenowany.

Siedziała chwilę, nie odzywając się, tylko patrząc na niego.

* Mam dwadzieścia siedem lat, monsieur * powiedziała w końcu * i wydaje mi się, że zdążyłam poznać się na ludziach. Na mężczyznach. To coś jest w oczach, oczy zdradzają większość z nas. Może nie zdradzają, raczej mówią o naszych słabościach i mocnych stronach, o dobrych i złych skłonnościach. Patrzę w twoje oczy i widzę, że są dobre, zachęcają, by lepiej poznać ich właściciela. * Uśmiechnęła się, też odrobinę zawstydzona, po czym dodała: * Poza tym jesteś dowcipny i ładny!

Ładny? Powiedziała „ładny”? To dość nietypowa charakterystyka.

Czuł ciepło kryształowej gwiazdy w kieszeni i zastanawiał się, jaki kolor by przybrała, gdyby przytrzymał ją przed twarzą Genevieve. Ta myśl wydała mu się zbyt śmiała, niemal niestosowna. Polerowane powierzchnie kryształu zaczęły parzyć mu palce. Cofnął dłoń i położył ją na stole.

* Na zdrowie, Genevieve. * I uśmiechnął się, podnosząc kieliszek.

* Na zdrowie, Fredric * odwzajemniła uśmiech. Dłuższą chwilę jedli w milczeniu.

* Do mojego pokoju wpadła po południu wielka osa. O mały włos mnie nie użądliła.

Genevieve przestała jeść.

* Duża osa? One są bardzo niebezpieczne!

* Słyszałaś o nich?

* Bien sur. To wielka plaga w tej okolicy. Vespa crabro buduje gniazda w winnicach. Znałam chłopca, który został użądłony w zeszłym roku. Ledwie go odratowano. Wiele osób umiera od użądleń. Miałaś szczęście, Fredricu! * Wydawała się szczerze zaniepokojona.

A więc szerszenie występowały tu nagminnie, budowały gniazda wśród winorośli.

Do restauracji weszły cztery osoby i zajęły stolik w pobliżu. Fredric od razu rozpoznał jedną z nich: Nigel Merlot. Trzy pozostałe widział po raz pierwszy. Monsieur Merlot skinął głową w jego kierunku i uśmiechnął się nerwowo. Rozmowa przy stoliku toczyła się po angielsku, goście Merlota byli Amerykanami. Dwóch z nich rzucało zdziwione spojrzenia w ich stronę, rozmawiali ściszymi głosami.

Ich zachowanie obudziło czujność Fredrica. Nachylił się nad stołem i szepnął:

* Nie odwracaj się teraz. Odczekaj chwilę i rzuć za siebie okiem. Chciałbym wiedzieć, czy znasz te cztery osoby, które zajęły stolik po lewej stronie.

Genevieve spełniła jego prośbę. Odwróciła się dyskretnie, nie przerywając jedzenia.

* Jeden z nich to pan Merlot * powiedziała. * Zajmuje się jakimiś podejrzanymi interesami, jest współwłaścicielem małej restauracji „Le Theleme” przy Rue de la Cadene. Ci dwaj to Amerykanie. Często bywają w St. Emilion; zdaje mi się, że chcą przejąć spółdzielnię „La Cave Rouge” i rozwinąć ją w posiadłość kategorii Grand Cru Classe. Czwartą osobę widzę po raz pierwszy w życiu. Mais pourquoi?

* Monsieur Merlot żywo interesował się kształtem mojej czaszki. Jest frenologiem. * Wyjaśnił Genevieve, co to pojęcie oznacza, i dodał: * W każdym razie stwierdził, że nim jest, ale ja mam wątpliwości.

Genevieve zmarszczyła czoło, przechyliła głowę i spojrzała badawczo na Fredrica.

* Bardzo dużo chcesz wiedzieć. Chwilami jesteś ogromnie poważny. Przyjechałeś tu tylko po to, by kupować wino?

* Oczywiście. * Fredric uniósł dwa palce w górę i chrząknął. * Jestem tu wyłącznie po to, by kupować wino. Ale mam ciekawską naturę...

* A w St. Emilion dzieje się sporo ciekawych rzeczy * dokończyła za niego.

Pokiwał głową.

* Co o tym wszystkim sądzisz? * spytał cicho.

* Sama nie wiem. To, co wszyscy. Że wśród nas grasuje jakiś szaleniec.

* Boisz się?

* Tak jak reszta. * Wbiła wzrok w obrus. * Nie mówmy o tym. Poczekajmy, aż policja coś ustali.

* Genevieve. * Fredric mówił teraz wolno i wyraźnie, z pasją. * To nie żaden psychopata. Za zniknięciami kryją się inne, bardziej skomplikowane motywy.

Jej dłoń niosąca kieliszek do ust znieruchomiała.

* Dlaczego tak mówisz? Co ty możesz o tym wiedzieć? Fredric wyjął z kieszeni gwiazdę i położył ją na stole przed

dziewczyną. W blasku świec kryształ rozblysnął wachlarzem barw. Genevieve nachyliła się z zaciekawioną.

* On mówi mi o wszystkim * wyjaśnił. * Ten kryształ wysyła kolory zależnie od okoliczności. Barwa, którą pokazuje

tutaj, w St. Emilion, dowodzi, że sprawcą nie jest jakiś szalony osobnik napadający na przechodniów wieczorną porą i ukrywający ich ciała. Sprawa ma głębsze podłoże, a sprawców jest wielu.

Kłamał; kryształowa gwiazda nie zawierała mu takich sekretów, z gry kolorów nie sposób ich było odczytać. Fredric chciał jedynie zwrócić uwagę Genevieve, że czegoś się domyśla.

Zgaduje, ale nie porusza się całkiem po omacku. Jeśli coś mu się przytrafi, dziewczyna przypomni sobie tę rozmowę.

Genevieve podniosła gwiazdę i chwilę obracała ją w dłoni. Potem roześmiała się.

* Jesteś dziwniejszy, niż przypuszczałam. Mam w to wszystko uwierzyć?

Skinął głową.

* D'accord, monsieur Drym. Umówmy się, że ci wierzę. W każdym razie powiedziałeś to, co chciałeś powiedzieć.

Jest sprytna, pomyślał Fredric, przejrzała mnie na wylot. Wie, że nie mogę wyjawić wszystkiego. Schował kryształ do kieszeni.

Zjedli deser i wypili kawę. Czas mijał szybko * za szybko, uznał Fredric. Opuszczali salę restauracji jako ostatni goście.

Samochód Genevieve stał na placu przed hotelem, pod ścianą kościoła. Fredric odprowadził ją. Deszcz przestał padać.

* A więc spotykamy się jutro? * spytał.

* Jutro * potwierdziła * o drugiej. W tym samym miejscu. * Genevieve obiecała obwieść Fredrica po kilku posiadłościach leżących poza granicami miasteczka. Pochylił się nieznacznie, a dziewczyna lekko musnęła ustami jego policzek. Stał chwilę, machając jej na pożegnanie, po czym ruszył powoli w kierunku hotelu. Za późno usłyszał kroki za sobą. Kiedy zaczął się odwracać, potężny cios spadł na jego kark. Fredric runął na asfalt jak rażony gromem.

6

Dłoń może mieć twarz, Fredric Drum mówi trzykrotnie „aha”, ale wcale nie ma pewności, czy znalazł się na właściwym tropie. Powierzchnia bańki mydlanej: przenikające się kolory, nieustanna zmiana wzorów. Zanurkował w barwy, został wciągnięty w środek wiru, gdzie panuje spokój. Cisza. Kapłani malują twarze i tułowie na czerwono, ustawiają się długim szeregiem przed amfiteatrem. Zbliża się procesja * król, królowa, księżniczki * i zatrzymuje się przed ołtarzem. Wszyscy czynią znaki ku słońcu, przed bramą byka złożono obusieczny topór. Szczupła dziewczyna uszmiękowana na białą klęką przed kapłanami, po czym cofa się o krok i zasłania twarz dłońmi. Niewolnicy wnoszą ogromny dzban. Dziewczyna biegnie raz w jedną, raz w drugą stronę, chce wyrwać się z kręgu. Na próżno. Pojawia się biało*czarny byk; ma naostrzone rogi, oczy nabie*głe krwią. Dziewczyna robi unik, ale już po chwili rozlega się jej krzyk; przebita rogiem turla się po posadzce. Niewolnicy pospiesznie odciągają ciało w stronę dzbana; struga krwi znaczy wypolerowane płyty wapienia. Obusieczny topór zostaje złożony na ołtarzu, rozbrzmiewa hymn do słońca * z początku cichy, narasta rytmicznie i przechodzi w ryk sięgający niebios.

Ciemność.

I głosy. Głosy wokół niego.

Poczuł silnie pulsujący ból karku i otworzył oczy. Zobaczył czubki brązowych butów i zdał sobie sprawę, że leży twarzą na zimnym asfalcie.

* Mam sprowadzić lekarza?

* Czekaj. Chyba dochodzi do siebie, poruszył się.

* Dużo wypił?

* Prawie nic.

Fredric słyszał głosy. Zrazu brzmiały jak z wnętrza blaszanej beczki, potem stały się wyraźniejsze. Rozpoznał kierownika sali i recepcjonistę. Podniósł się ostrożnie i jęknął z bólu.

* Monsieur! Co się stało? Mister Peybroke pana znalazł. Fredric usiadł i zaczął masować kark.

* Zostałem napadnięty. Ktoś mnie uderzył. Proszę mi pomóc wstać. *Wyciągnął ręce i obaj mężczyźni postawili go na nogi. Plac wirował, kościół niebezpiecznie się przechylał.

Fre*dricowi zbierało się na wymioty.

* Portfel, monsieur, niech pan sprawdzi, czy ma pan portfel! Sprawdził. Portfel był na swoim miejscu.

* Życzy pan sobie, byśmy zawiadomili policję? Wezwać lekarza?

Fredric pokręcił głową i omal znów się nie przewrócił. Ruszył w kierunku wejścia, podtrzymywany przez recepcjonistę.

* Mais cest impossible! W St. Emilion nie ma opryszków. Widział go pan? * spytał kierownik sali.

Fredric zaprzeczył. Wyjaśnił, że napastnik zaszedł go od tyłu, i nie pamięta niczego poza uderzeniem. Zegar w recepcji wskazywał za kwadrans jedenastą, a więc przeleżał wiele minut bez przytomności. Podziękował za pomoc i wrócił do pokoju o własnych siłach.

Wypił kilka szklanek wody i rozebrał się. Miejsce po uderzeniu w kark było obrzmiałe i bolesne. Leżąc pod prześcieradłem, usiłował zebrać myśli. Ta brutalna napaść nie pasowała do schematu działania Dłoni. Ktoś zaczął się w cieniu ściany kościoła i najwyraźniej działał w przypływie nagłej wściekłości, a nie z zimnego wyrachowania. Odwracając się, kątem oka dostrzegł zarys postaci: duży, mocno zbudowany mężczyzna, chyba o ciemnej karnacji. Nasuwała się tylko jedna odpowiedź: to Marcel Olivet. Ale czy kierowała nim wyłącznie zazdrość? Dręcząc się tą myślą, Fredric zapadł w sen.

* Skąd bierzesz te pomysły, Mayu? * Fredric nie mógł się nadziwić jej inwencji kulinarnej. Ze zwykłych składników potrafiła wyczarować eleganckie i wyrafinowane sałatki, sosy, marynaty i mieszanki ziół.

* Nie tylko ty masz wyobraźnię, Fredricu, ja też potrafię z niej korzystać. Niech Tob ze swoim kucharskim wykształceniem zdecyduje, ile są warte moje propozycje. Może ci pomóc z pismem linearnym B? Dla mnie takie rebusy to pestka. * Drażniąc się z nim, dotknęła palcem wskazującym jego nosa.

To było tuż przed wieczornym otwarciem restauracji. Fredric zazwyczaj spędzał te chwile nad swoimi notatkami, a Maya droczyła się z nim. Maya Manuella była dwa lata starsza od Toba i Fredrica. Bardzo lubiła przydomek, którym obdarzyli ją przyjaciele: Mama Casa. Kogo innego mieliby tak nazywać?

Dania były gotowe, z kuchni dochodziły smakowite zapachy. I jak co wieczór wszystkie stoliki były zajęte.

Obudził się z okropnym bólem głowy. Leżał, jęcząc głośno. Może powinien spakować walizki i wrócić do domu? Do „Kasserollen”, Mai i Toba? Dowłókł się do łazienki, gdzie połknął dwie pyralginy forte.

Zobaczył swoje odbicie w lustrze. Nieprzyjemny widok: pobladła twarz, przekrwione oczy, strupy i zadrapania.

Bardzo powoli umył się i narzucił na siebie ubranie. Przypomnił sobie list, ten idiotyczny anonim. Grozili mu, że go dopadną, choćby wyjechał na koniec świata. Fredric nie wiedział, jak Dłoń mogłaby go osiągnąć w Oslo, ale podejrzewał, że ma swoje sposoby. Tego przeciwnika nie wolno lekceważyć.

Potem pomyślał o Genevieve Brisson. Chętnie poznałby ją bliżej. Takich kobiet jak ona ze świecą szukać w dzisiejszych czasach.

Środek przeciwbólowy zaczął działać. Fredric ukończył toaletę i jeszcze raz przejrzał się w lustrze. Wygląda na to, że spędzi w St. Emilion jeszcze kilka dni.

Do spotkania z Genevieve brakowało czterech godzin.

Wyszedł z hotelu i zatrzymał się na placu przed kościołem, w miejscu, gdzie go napadnięto. Rozejrzał się wokół, omiółł wzrokiem wnękę w ścianie kościoła, gdzie poprzedniego wieczoru zaczął się napastnik.

Potem obszedł kościół dookoła i widząc otwarte drzwi, wszedł do środka. W mrocznym wnętrzu panował chłód. Promienie słońca przebijały się przez piękne witraże, kładąc barwne smugi na posadzce. Pod figurą Madonny ustawiono stelaż ze świeczkami, obok stało pudło z nowymi świeczkami i puszka. Fredric wrzucił do niej pięć franków.

Postawił świeczkę na statywie i zapalił knot.

Stał długo, wpatrując się w spokojny płomień, po czym wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę. Przyłożył ją do oka i ustawił pod światło. Ultramaryna, ładny kolor.

Wyszedł na rynek. Było wczesne przedpołudnie, lokal pod drzewem dębu świecił pustkami.

Fredric zajął stolik w barze z naleśnikami, usiadł plecami do ściany i zamówił herbatę. Potem wyjął z kieszeni ołówek i kartkę papieru i zapisał na niej dwa nazwiska. Położył kartkę na blacie i kilkakrotnie pokiwał głową.

Na plac wkroczył monsieur Charmaque i usiadł pod dębem. Fredric zapłacił za herbatę i ruszył w jego kierunku. Starszy pan ucieszył się na jego widok * najwyraźniej miał ochotę uciąć sobie z kimś pogawędkę.

* Od początku wiedziałem, że to blef* zaczął.

* Comment?

* Mówię o winie, mocnym winie. Nie można takiego wyprodukować; każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, dobrze

o tym wie. * Wyciągnął z kieszeni złożony wycinek z gazety i podał go Fredricowi.

* Potwierdzono zawartość alkoholu: całe osiemnaście procent. Tyle że to właściwie nie był alkohol, tylko rodzaj derywatu. Enolog z Bordeaux wyjaśnił, używając skomplikowanych terminów, których Fredric nie rozumiał, że między alkoholem a tak zwanym delcyholem jest niewielka różnica. Delcy*hol tworzy cząsteczkę, która w połączeniu z alkoholem nadaje trunkowi osiemnastoprocentową moc. Ekspert ostrzegął, że konsumpcja takiego wina może prowadzić do poważnych uszkodzeń mózgu, i to nawet kilka lat po spożyciu. Substancja jest więc w jakimś sensie groźniejsza od metanolu. Pozostaje zagadką, w jaki sposób uzyskano ten derywat z moszczu winogron, jednak winiarze i właściciele chateaux w rejonie Bordeaux mogą spać spokojnie. Katastrofa została zażegnana.

Fredric pokiwał głową.

* Un grand tricheur, oszust * oznajmił Charmaque, żywo gestykulując * który chciał nas wystraszyć. Zabawił się naszym kosztem.

* Monsieur Charmaque, widzę, że trzyma pan rękę na pulsie. Czy są jakieś postępy w śledztwie? Wykryto coś nowego?

* Tak. * Staruszek nachylił się nad stołem. * To była ludzka krew. Potwierdzono, że plamy powstały w dniach dwóch zaginięć. To smutne, bardzo smutne. Znałem tego biedaka, Roberta Mellinea. Miły chłop, choć niezbyt rozgarnięty. * Charmaque popukał się w głowę. * Poza tym rien, zupełnie nic.

* Może tych ludzi wywieziono z miasta? Może wciąż żyją? *Fredric rozważał bardziej optymistyczny wariant.

* Miejmy nadzieję. Ale plamy krwi to jednak zły znak.

I obaj zamilkli. Pan Charmaque usiłował zapalić połówkę starego cygara, a Fredric zaczął rozglądać się wokół. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, miał jednak pewność, iż Dłoń śledzi każdy jego krok. Zapewne wie, że Fredric gawędzi z panem Charmakiem, lecz nie może znać tematu rozmowy. Pomacał obolałe miejsce na karku. Czy chodziło o zazdrość?

* Dobrze pan zna monsieur Nigela Merlota? * spytał.

* Personne, nikt go dobrze nie zna. * Charmaque machnął zniecierpliwioną ręką. * Monsieur Merlot to śliski typ, niezbyt szczery. Proszę nie robić z nim interesów, Norwegu. To moja dobra rada. Po historii z pszczołami nikt nie darzy go sympatią.

* Z pszczołami? * Fredric wzdrygnął się.

* Tak, jak panu wiadomo, a może nie wiadomo, pszczoły wyrabiają pyszny miód z nektaru zbieranego z kwiatów winorośli. Merlot uzyskał pozwolenie na ustawienie kilku uli na państwowym gruncie wokół winnic. Wielu pracowników ucierpiało z powodu użądleń. Wybuchły protesty i Merlot musiał się wycofać. Nadal jednak zajmuje się pokątnymi interesami.

A więc ten frenolog zna się na pszczołach. Fredric wbił zamyślony wzrok w koronę dębu. Czy istnieje jakiś związek między miodem a frenologią? Być może, choć nie ma to większego znaczenia.

Tymczasem sąsiedni stolik zajął monsieur Gruy*Lichine w towarzystwie młodego, dobrze ubranego mężczyzny. Gruy*Lichine miał jak zwykle wyniosły i cierpki wyraz twarzy.

Char*maque nachylił się do Fredrica i szepnął:

* Niedługo przyjdzie koniec na pana Gruy*Lichine'a. Fini. Jego mała posiadłość kilkakrotnie znalazła się na skraju bankructwa, ale teraz ostatecznie upadnie. Nigdy nie był vigneron z prawdziwego zdarzenia, nie zna się na produkcji wina. Gdyby pan spróbował tego jego sika! Nawet w 78, wyjątkowo udanym roku dla wszystkich winiarzy, trunek GruyLichine'a był tak kwaśny, że zmieniał się w ocet na sam dźwięk tego słowa.

Staruszek roześmiał się serdecznie. Monsieur Gruy*Lichine najwyraźniej nie cieszył się tutaj sympatią.

* Aha * odrzekł Fredric i znów spojrzał w gęstą koronę dębu.

* Natomiast jego towarzysz * ciągnął Charmaque * to nie byle kto. W ciągu ostatnich dwóch lat kupił pięć posiadłości Grand Cru. Nazywa się Philibert Berjal. Mówi się, że stoi za nim zagraniczny kapitał. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce całe Medoc i St. Emilion będą należeć do cudzoziemców. Co za katastrofa dla Francji! * Staruszek tak się podniecił, że wypluł z ust ogryzek cygara.

Philibert Berjal nie poddawał się łatwej deszyfracji. Był to elegancki mężczyzna, zapewne dobrze wykształcony. Jego oczy nie współgrały z mimiką twarzy, w której było coś niepokojącego.

Na rynku zatrzymał się samochód, z którego dwóch mężczyzn wyniosło wózek inwalidzki. Pan Cardille z Chateau Leo *Ponet. Mężczyźni popchnęli wózek w kierunku dębu, a mon*sieur Cardille wskazał stolik Fredrica i pana Charmaque'a. Obaj przywitani się z nim i zrobili mu miejsce.

* Czy pan le Norwegien ma dziś ochotę na partyjkę szachów? Należy się panu rewanż * uśmiechnął się blade Cardille.

* Z przyjemnością.

* Wybierze się pan wkrótce do Chateau Leo*Ponet na małą degustację? Zapewniam, że się pan nie rozczaruje. * Cardille rozstawił figury na szachownicy.

* Może jutro po południu, jeśli to panu odpowiada.

* Naturellement. O piątej? Fredric skinął głową.

W trakcie gry odniósł wrażenie, że musiał już wcześniej poznać pana Cardille'a. Było coś znajomego w rysach jego twarzy, w uśmiechu * urok pomieszany ze słabością, która musiała być wynikiem smutnych kolej losu. Mężczyzna okazywał mu zainteresowanie, nie będąc nachalnym, miał sporą wiedzę, był odczytany.

* Proszę mi wybaczyć wścibstwo, panie Cardille. Czy był pan kiedyś za granicą? * spytał, nie mogąc zapanować nad swoją ciekawością.

Cardille spojrzał na niego smutnym wzrokiem.

* Nigdy. Nie zdążyłem. Zanim dwanaście lat temu przytrafił mi się ten wypadek, snułem wielkie plany, by objechać cały świat, uczyć się i podziwiać. Teraz nawet już o tym nie myślę, wózek jest zbyt wielką przeszkodą. Zrozumiałem jednak, że podróżowanie to również kwestia wyobraźni. W myślach odbywam najdziwniejsze i najbardziej ekscytujące podróże. Dziwią pana moje słowa? Szach. * Wykonał ruch hetmanem.

Fredric pokręcił głową i odparował atak. W takim razie nie spotkałem nigdy dotąd pana Cardille'a, pomyślał. Może kogoś, kto jest do niego podobny.

Tym razem odniósł zwycięstwo. Zegar na wieży kościelnej wskazywał kwadrans po pierwszej. Miał jeszcze trochę czasu do spotkania z Genevieve.

Lokal powoli zapełniał się gośćmi. Fredric bacznie obserwował przybywających. Monsieur Charmaque oddalił się, ustępując miejsca znajomemu Cardille'a; był to Henri Tabo*uy, konserwator maszyn z Chateau La Gaffeliere.

* Przyszły ciężkie czasy na naszego przyjaciela Marcela. Wylali go z Chateau Ausone * zwrócił się przybysz do pana Cardille'a.

Fredric nadstawił uszu.

* To smutne. To zdolny mditre de chai. Partyjkę szachów? * Cardille wskazał na szachownicę.

Tabouy spojrział na niego ze zdziwieniem.

* Przecież wiesz, że nie umiem grać.

* Przepraszam, zapomniałem. * Cardille zaczerwienił się lekko.

* Aha * wtrącił Fredric, a obaj mężczyźni spojrzeli na niego pytająco. * Tam siedzi ten ptak. Usiłowałem zlokalizować źródło dźwięku. * Wyciągnął rękę w kierunku gałęzi, na której mały ptaszek wyśpiewywał trele.

Po chwili wstał i pożegnał się, zapewniając monsieur Cardille'a, że zjawi się w jego posiadłości następnego dnia punktualnie o piątej. Potem udał się do hotelu.

W recepcji czekał na niego list. Angielskie znaczki, stempel pocztowy z Cambridge. Fredric domyślił się od razu, że korespondencja pochodzi od Stephena Pratta, archeologa, z którym współpracował, i jego dobrego przyjaciela. Rozerwał kopertę i zaczął czytać.

Drogi druhu,

Mam dla ciebie ekscytujące nowiny. W okolicach St. Emi*lion, gdzie jak sądzę, wciąż się znajdujesz, odkryto niedawno ślady osadnictwa przedlodowcowego. Miejsce nazywa się Guitres i leży na północ od miasteczka. Chodzi o grotę, w których znaleziono resztki szkieletów i rysunki naskalne. Te rysunki, co cię szczególnie powinno zainteresować, zawierają ponoć symbole przypominające pismo obrazkowe. Jeśli masz czas i możliwość, powinieneś się tam udać. U mnie wszystko po staremu. Czekam niecierpliwie na wyniki twoich studiów nad pismem linearnym B.

Twój przyjaciel Stephen

Fredric ożywił się w miarę czytania. Doniesienia o odkryciu nowego pisma obrazkowego nie pojawiały się codziennie. Wyjął mapę i sprawdził położenie Guitres. Osiem kilometrów od St. Emilion. Momentalnie zdecydował o zmianie planów.

Przed wyjściem z pokoju usiadł na chwilę przy biurku i wbił wzrok w kartkę, na której wcześniej umieścił dwa nazwiska. Jedno z nich wziął w nawias i dopisał dwa nowe. Zmrużył oczy, czekając, aż litery wryją mu się w pamięć. Dłoń musi mieć jakąś Twarz.

Pogwizdując wesoło, spacerował po placyku przed kościołem i wypatrywał kanarkowego Renault.

Genevieve zjawiała się punktualnie o drugiej. Fredric wsiadł do samochodu, a dziewczyna przywitała go pocałunkiem.

* O której musisz być w pracy? * spytał.

* Koło czwartej, ale nic się nie stanie, jeśli się trochę spóźnię. Dlaczego pytasz? Nie wybieramy się daleko.

* Zmiana planu * oznajmił wesoło. * Udajemy się na eksplorację grot koło Guitres.

* Grot? * zdziwiła się.

* Oui, mademoiselle, grot. * Wy tłumaczył Genevieve, o co chodzi.

Ruszyli. Fredric zauważył, że dziewczyna co rusz zerka na niego z ukosa. Zapewne usiłuje stworzyć sobie jakiś obraz mojej osoby i moich dziwnych poczynań, pomyślał. Byleby nie okazał się zbyt negatywny.

* Potrzebuję filmu i lampy błyskowej do aparatu * oznajmił. * I silnej latarki.

Znalazł to, czego potrzebował, w sklepie na stacji benzynowej. Zanim wsiedli na powrót do samochodu, podszedł do Genevieve i położył dłonie na jej ramionach.

* Groty * powiedział * to moja specjalność. Ludzie gromadzili w jaskiniach swoje najcenniejsze skarby i przechowywali największe tajemnice; w trudnych czasach ukrywali się w pieczarach. W mojej głowie jest ich pełno i znajduję w nich przedziwne rzeczy. Czasami chowam się w nich, stając się niewidzialny w całkowitej ciemności.

* Niezły z ciebie dziwak * szepnęła. Ruszyli w dalszą drogę.

Guitres okazało się niewielkim miasteczkiem, mniejszym od St. Emilion. Miejscowi wskazali im drogę do grot. Znajdowały się kilka kilometrów na wschód, na niewielkim wzniesieniu w obrębie dużego majątku o nazwie Cios du Bon Ja*cobine. Niedawno zostały ogrodzone i postawiono tablice informujące o odkryciach. Znaleźli je bez trudu i zaparkowali samochód w pobliskim niewielkim zagajniku.

Ogrodzenie okazało się zwykłą nylonową żyłką obwiązaną wokół drzew i palików. Tablica rzeczywiście informowała o starożytnych znaleziskach. Tekst głosił, że obszar jest pod ochroną, i zakazywał wstępu osobom nieupoważnionym; wchodzącym do jaskiń groziło niebezpieczeństwo.

Pod skalnym nawisem ział ciemny otwór.

Fredric bez wahania ruszył w jego kierunku, a Genevieve niechętnie podążyła za nim.

Zatrzymał się tuż przed wejściem i zaczął odłamywać z drzew suche gałęzie.

* Jesteś szalony * oznajmiła dziewczyna. * Naprawdę masz zamiar wejść do środka?

* To pestka * odrzekł. * Francuskie jaskinie nie są ponoć zbyt skomplikowane. Poczekasz na zewnątrz?

* Non, non. Idę z tobą. Ja też umieram z ciekawości. Weźmiesz mnie za rękę?

Fredric zebrał naręczę gałązek. Wyjaśnił Genevieve, że zamierza ich użyć, jeśli trafią na

labirynt podziemnych komnat; w ten sposób łatwo znajdą drogę powrotną do wyjścia.

Sprawdził aparat i latarkę i podsunął jej ramię. Dziewczyna chwyciła go mocno i schyliwszy się, ruszyli przed siebie.

Już po chwili znaleźli się w obszernej kamiennej sali, do której prowadziło kilka tuneli. Ze ścian i sklepienia spływały strumyki wody, tworząc pośrodku spory staw. Genevieve ślizgała się na mokrych kamieniach, lecz Fredric nie pozwolił jej upaść.

Co jakiś czas zatrzymywał się i badał ściany w poszukiwaniu inskrypcji, ale niczego nie znalazł. Zapewne znajdowały się gdzieś dalej. Kiedy wymieniali ciche uwagi, dźwięki uciekały w głąb i wracały zniekształconym echem. Atmosfera była wprost magiczna.

Wreszcie otworzyły się przed nimi dwa tunele. Fredric oświetlił ziemię latarką i uznał, że więcej śladów prowadzi do prawego korytarza. Skręcili zatem w prawo.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów okazało się, że tunel zwęża się do wielkości ciasnej szczeliny.

* Sądziś, że zdołamy przedostać się na drugą stronę? *szepnął.

* A musimy? * spytała, ściskając go za ramię.

Przećcisnęli się * najpierw Fredric, potem Genevieve * i znaleźli się w rozległej komnacie, której ściany pokrywały fantastyczne nacieki, stalagmity i stalaktyty, abstrakcyjne rzeźby uformowane przez naturę w ciągu tysięcy lat. Koncert na krople był niezwykle oprawą dla tego bajkowego wnętrza.

Fredric porozkładał gałązki od szczeliny w głąb sali, po czym omiótł ściany światłem latarki, ale niczego nie odkrył.

Zbadali kolejne korytarze. Niektóre okazały się nie mieć wyjścia, w jednym odkryli stos kości.

Genevieve zadrzała i objęła Fredrica w pasie.

* Zimno ci? * spytał.

* Troszkę.

Fredric oznaczył teraz starannie oba ślepe korytarze ułożonymi na krzyż gałązkami. Trzeci prowadził do olbrzymiej groty, podziemnej katedry, w której pełno było śladów działalności człowieka.

Wzdłuż ścian stały topornie ociosane siedziska, posadzka była wypolerowana. Tu i ówdzie piętrzyły się stosy kości. Fredric musiał przyznać, że ta sala znacznie różni się od innych jaskiń, w których odkryto naskalne malowidła; tam bowiem poza frapująco pięknymi i

profesjonalnie wykonanymi rysunkami nie znaleziono niczego innego. W tej grocie były dowody na to, że ludzie zajmowali się także obróbką kamienia.

Wolno przesuwając sноп światła po powierzchni ścian, wydobywając z ciemności rysunki: sceny polowań, symbole słońca, obrzędy rytualne. Między nimi umieszczono znaki *abstrakcyjne figury, kropki i kreski. Oboje stali bez ruchu, zafascynowani tym przekazem z odległej przeszłości, świadectwem nieznanego kultury zmiecionej potęgą ostatniej epoki lodowcowej.

* Cest magnifique! * przerwała ciszę Genevieve.

* Tak. Wiele bym dał, by być świadkiem zdarzeń, które zaszły tutaj przed tysiącami lat * odrzekł cicho, po czym wyjął aparat i zaczął fotografować.

Przy każdym błysku lampy ściany zdawały się zbliżać ku nim, jakby w rysunkach kryła się jakaś potężna moc; barwy ożywały, obrazy przemawiały własnym językiem.

* To trochę przerażające * szepnęła Genevieve. * Mam wrażenie, jakby ci ludzie byli wśród nas, niewidzialni. Jakbyśmy zakłócili ich spokój, szargali świętość tego miejsca. Pospiesz się! Fredric dokładnie obfotografował wnętrze, zużywając kilka rolek filmu. Kończył już, kiedy coś zwróciło jego uwagę.

* Słyszałaś?

Oboje nadstawili uszu. Był to odgłos kroków * ktoś się zbliżał.

* Szybko, Genevieve, tutaj! * Pociągnął ją za ogromne kwadratowe bloki skalne. Zgasił latarkę i przytulił dziewczynę do siebie.

* Nie powinni nas tutaj znaleźć * szepnął. * Mogę mieć z tego powodu nieprzyjemności.

Władze z pewnością nie przejmą się faktem, że interesuję się wymarłymi językami.

Kroki stały się wyraźniej sze, lecz głośne echo nie pozwalało ocenić liczby zbliżających się osób. Po chwili ujrzeni światło latarki i usłyszeli głosy. Blask przesuwając się, rzucając na ściany dwa groteskowe cienie.

Genevieve przytuliła się do Fredrica, a on ją objął; czuł bicie jej serca i ciepły oddech. Ta niespodziewana bliskość nie była spowodowana wyłącznie strachem.

* lej, mister Fergus * usłyszeli zblazowany głos.

* You think these bones are from human beings?

* Yes, but they are probably not more than five hundred years old. I don't know how they got there.

Fredric od razu rozpoznał głos Francuza: to był Nigel Merlot.

* Beautiful for my collection! * Amerykanin był wyraźnie zachwycony. Chrapliwy śmiech Merlota poniósł się echem po skalnym wnętrzu. Mężczyźni zaczęli grzebać w stosie kości. Genevieve podniosła głowę i przysunęła twarz do policzka Fredrica. Stali przytuleni, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku.

W końcu Merlot i Amerykanin wycofali się, wynosząc kości w plastikowych torbach. Światło latarki oddaliło się i w jaskini na powrót zapanowała ciemność.

Fredric i Genevieve jeszcze przez chwilę stali nieruchomo, wsłuchując się w oddalające się kroki. Czuł ciepło ciała dziewczyny. Jakie to miłe, pomyślał. Genevieve najwyraźniej wyczuła jego nastrój i jej usta poszukały jego warg.

Wracali wolno, chcąc uniknąć spotkania z dwójką mężczyzn. Nie musieli korzystać z pozostawionych znaków, droga powrotna okazała się łatwiejsza, niż Fredric przypuszczał.

* Wygląda na to, że monsieur Merlot nas prześladuje * stwierdziła Genevieve. * Nie przypuszczałam, że jest pospolitą hieną cmentarną.

* Aha * odrzekł Fredric.

Przystanąli jeszcze na chwilę, zanim wyszli na światło dzienne. Z oddali dobiegł ich warkot silnika.

* Voila * powiedział Fredric, zajmując miejsce w samochodzie. * Muszę szybko wywołać te zdjęcia. Wydaje mi się, że niektóre znaki przypominają słynne pismo rongo*rongo. Słyszałaś

zapewne o Thorze Heyerdahlu, moim krajanie? On też przemierzał na czworakach ciasne jaskinie na Wyspie Wielkanocnej, gdzie znalazł drewniane tablice z tajemniczymi inskrypcjami.

* Wy, Norwegowie, jesteście szaleni. Ale i interesujący *dodała zaraz. * Sama nigdy bym się nie dowiedziała o istnieniu tych grot, a już na pewno nie wybrałabym się do nich. Nigdy nie zapomnę tych pięknych rysunków. I barw, które wyglądały tak świeżo. Merci, Fredric Drym! * zakończyła zachwycona.

Ponieważ Genevieve nie musiała punktualnie stawić się w pracy, zaproponowała lunch w przytulnej restauracyjce w Guitres. Fredric nie protestował.

Zamówili plat du jour, którym okazała się kaczka w pomarańczach. Wybór wina pozostawił Genevieve; zdecydowała się na Chateau Figeac rocznik 1982. Premier Grand Cru Classe. Lekkie i łagodne, z owocowym bukietem. Bardzo eleganckie.

Genevieve Brisson. Fredric przyglądał się tej francuskiej piękności, z którą jadł lunch i która w ostatnich dniach stała się bardzo mu bliska. Co może się zdarzyć? Wino, śmierć i miłość: wszystko to trafi do garnka druidów. Wystarczy zamieszać i oto proszę: Fredric Drum w nowej postaci. A może Całkowite Zniszczenie? Mgła wokół St. Emilion gęstniała, ale wciąż rozróżniał twarze. Twarz Genevieve Brisson.

* Gdzie błądzisz myślami? Na zimnej Północy? * Zmarszczyła czoło i uśmiechnęła się.

* Wręcz przeciwnie, całkiem blisko * odrzekł. * Dokładnie metr ode mnie. * Zmierzył wzrokiem blat stołu.

Może powinien opowiedzieć Genevieve o swoich przygodach? Czy nie jest jej tego winien?

A jeśli coś jej się stanie? Nie zrozumie dlaczego albo zrozumie opacznie. Dłoń już się dowiedziała, że się spotykają, że coś ich łączy, i przypuszcza, że dziewczyna o wszystkim wie. A jednak czy powinien?

* Czy Marcel Olivet był o ciebie zazdrosny? * spytał. * Zachowywał się brutalnie?

Roześmiała się.

* Boisz się? Nie, Marcel nie był zazdrosny. Nie cenił mnie tak wysoko, by się o mnie niepokoić. Zresztą ja nie lubię zazdrośników. Brutalny? Tak, chwilami bywał brutalny, wdawał się w bójki. W ostatnich miesiącach unikał jednak kłopotów; sądę, że alkohol przytępił mu zmysły. Zresztą ma zapewne inną dziewczynę, która zajmuje jego myśli. Często wspominał,

że chce wynieść się z Francji na południe, kupić dom i wylegiwać się w słońcu. Ale kto wie, może to tylko wytwór jego pijackich fantazji.

* Wylali go z Chateau Ausone. Słyszałem plotki na rynku. * Fredric napełnił kieliszki.

* Wcale mnie to nie dziwi. Ale jeśli tylko zechce, znajdzie sobie nową pracę. To zdolny winiarz, każda posiadłość przyjmie go z otwartymi ramionami. Posada mditre de chat w Chateau Ausone wzbudza szacunek. Dlaczego tak interesujesz się Marcelem Olivet?

Fredric chrząknął.

* Wczoraj wieczorem, kiedy odjechałaś, ktoś napadł na mnie przed hotelem, uderzył z tyłu w kark. Jeden cios i Fredric Drum znalazł się w objęciach ciemności.

Omam nie wypuściła kieliszka z dłoni. Potem wstała, obeszła stół i usiadła przy nim. Objęła go ramionami za szyję i zajrzała prosto w oczy.

* Żartujesz sobie ze mnie? Nie, mówisz poważnie. Mais po*urquooi Fredricu?

Odetchnął głęboko, po czym chwycił jej dłoń i zaczął opowiadać. Nie przerywała mu, ale z każdym kolejnym zdaniem bladła i coraz mocniej wbijała paznokcie w jego skórę.

* Cała ta historia jest absurdalna * zakończył. * Nie mam śmiertelnych wrogów. Dlaczego ja? Czy istnieje jakiś związek między zamachami na moje życie a zniknięciami mieszkańców miasteczka?

W restauracji panowała cisza, nie słychać było odgłosów z ulicy ani żadnych dźwięków z kuchni, oni też milczeli. Potem rozległ się ryk motocykla pozbawionego tłumika.

Nie było odpowiedzi na jego pytania. Żadnych czytelnych znaków na niebie.

* Fredric, Fredric * szepnęła. * To niemożliwe. Pokiwał tylko wolno głową.

Zapłacili rachunek i wyszli. Stojąc po obu stronach samochodu, spojrzeli na siebie. W końcu Fredric wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

W drodze do miasteczka niewiele mówili. Genevieve zaparkowała samochód przy aptece, przekreśliła kluczyk w stacyjce i nachyliła się do niego.

* Pewnie się boisz, ale w ogóle tego nie okazujesz. Drogi Fredricu, możesz mi coś obiecać? Idź do pokoju, zamknij drzwi na klucz i nie wychodź. Przyjdę do ciebie po pracy.

Obiecujesz? Co dwie głowy, to nie jedna * uśmiechnęła się blado.

Obiecał.

Wyznanie przyniosło mu ulgę. Już nie czuł się taki samotny.

Przed wejściem do hotelu został zatrzymany przez dwóch mundurowych, którzy zażądali okazania dokumentów oraz wyjawienia celu wizyty we Francji. Rutynowa kontrola, wyjaśnili, wszyscy jej podlegają. Zapytali, gdzie spędził przedpołudnie, a Fredric odpowiedział zgodnie z prawdą. Czy zamierza resztę dnia przebywać w hotelu? Tak. Zanotowali jego nazwisko i godzinę.

To dobrze, pomyślał, siadając na łóżku, dobrze, że zwiększają środki ostrożności. I że policjanci strzegą wejścia do hotelu.

Znalazł kartkę z czterema nazwiskami, chwycił długopis i starannie przekreślił jedno z nich. Dedukcja: Z najdrobniejszej prawdy można wywieść łańcuch prawd, które obejmą cały byt. Jepense doneje suis. Indukcja: z całości bytu wywieść można wzór i sprowadzić do punktu wyjścia, pierwszej przesłanki. Regressus ad infinitum. Ciąg w nieskończoność.

Ale filozofia nie pomagała. Tob powiedziała by: „Spójrz na byt jak na kostkę cukru, a ty jesteś koniem. Kiedy połkasz kostkę cukru, ty i byt stajecie się nierozłączni. Tak musi być. Ruch kostka cukru*koń jest nieuchronny. Przez całą wieczność". Tak właśnie Tob mógłby się wyrazić.

A czy on wykrył jakiś wzór? Tylko fragmenty, zresztą sprzeczne ze sobą. Jednej tylko rzeczy był pewien: widział już Dłoń lub

jej pomocników. Fryz zawierał jednak niejednoznaczny symbolikę, trudną do zinterpretowania.

* To cholernie niesprawiedliwe, Fredricu Drum, że w chwili, gdy spotykasz tak niezwykłą osobę jak Genevieve Brisson, wikłasz się w sieć splecioną z cienkich, lecz mocnych nitek, które mogą pozbawić cię głowy. Ciach, i Fredric Drum ściany! * przemawiał do własnego odbicia w lustrze, jak to miał w zwyczaju. * A cóż bezgłowy Drum pocnie z piękną dziewczyną? Jaki pożytek będzie miał bezgłowy Drum z rolek filmu, na których uwiecznił fascynujący obraz nieznannej kultury?

Wciąż jednak miał głowę na karku.

Przez chwilę zajmował się kreteńskim pismem, potem zajął się winiarskiej biblii autorstwa Davida Peppercorna, poświęconej regionowi Bordeaux. W końcu znów powrócił myślami do wydarzeń w St. Emilion.

W okolicy było mnóstwo rozpadlin i grot. Dla mordercy znającego ten teren ukrycie siedmiu ciał nie stanowiłoby żadnego problemu. Weźmy choćby szczelinę, w którą on sam wpadł w drodze do Chateau Cheval Blanc. Ile podobnych nieznanymi pułapek kryje ta ziemia?

Tyraliery ludzi z kijami, badających grunt pod nogami, na nic się nie zdadzą.

Policjanci dobrze o tym wiedzą, dlatego pewnie ryją teraz podziemne korytarze jak krety.

Minęła ósma, zaraz zjawi się Genevieve. Nasłuchiwał jej lekkich kroków na korytarzu.

O wpół do dziewiątej zaczął odczuwać niepokój, ale wytłumaczył sobie, że dziewczyna mogła spotkać jakichś znajomych lub załatwia ważne sprawy. A może najpierw zajął się do domu?

O dziewiątej zszedł do recepcji i poprosił o numer do Chateau Grace Dieu.

Słuchawkę podniósł ojciec dziewczyny. Nie, nie wróciła jeszcze do domu. Dzwoniła jednak wcześniej, by go poinformować, że po pracy spotka się z przyjacielem.

Z przyjacielem. Po pracy. Pewnie chodzi o niego.

Siedział, śledząc ruch wskazówek na zegarze nad łóżkiem. Kiedy słyszał jakieś kroki na korytarzu, zrywał się z miejsca. Kroki ani razu nie zatrzymały się przed jego drzwiami.

Minęła jedenasta. Fredric tkwił za biurkiem, wspierając podbródek na dłoniach, pogrążony w apatii. Przymknął oczy.

Dlaczego się nie zjawiała?

O wpół do pierwszej wślizgnął się pod prześcieradło, ale nie mógł zasnąć. Zaczynał myśleć, że Genevieve Brisson przytrafiło się coś złego.

Gąsior szczypie z całych sił, Fredric wymierza

potężny cios i zdecydowanie odmawia

Chateau Trottevieille rocznik 1977

Wyskoczył z łóżka i wziął szybki prysznic. Było po dziewiątej. Zasnął ciężkim snem dopiero nad ranem. Nie czuł jednak zmęczenia, kiedy w niezapiętej koszuli zbiegał do recepcji, by zadzwonić do posiadłości Grace Dieu.

W słuchawce usłyszał zaniepokojony głos ojca. Genevieve nie wróciła do domu.

Fredric odpowiadał z szybkością karabinu maszynowego, ustanawiając prywatny rekord szybkości posługiwania się językiem francuskim. Wyznał ojcu dziewczyny, że to z nim Genevieve miała się spotkać tutaj, w hotelu. Czekał na nią cały wieczór. Trzeba natychmiast zawiadomić policję. Chyba nietrudno znaleźć Renault kanarkowego koloru?

Wróciwszy do pokoju, nieco ochłonął. Czy to kolejny brutalny atak Dłoni? A może Genevieve Brisson została ósmą ofiarą?

Fredric Drum w desperacji, Pielgrzym wytracony z równowagi staje się łatwą ofiarą. Czy o to chodzi Dłoni? Kto się za tym kryje? Musisz wreszcie zacząć dostrzegać zależności, pomyślał, przestać dreptać w miejscu jak nafaszerowany kokainą Sherlock Holmes. Pokaż, na co cię stać!

Usiadł za biurkiem i jęknął. Genevieve. Musi ją odnaleźć.

Narzucił na siebie sweter * za oknem gęstniała poranna mgła. W drzwiach wyjściowych znów zatrzymali go policjanci. Nazwisko, powód wyjścia, godzina powrotu. Wszystko zostało zanotowane.

Znakomicie, pomyślał. Przynajmniej wiedzę, że całą noc spędziłem w pokoju.

Szedł środkiem ulicy Rue Guadet do Place Marcadier, przy której mieścił się komisariat policji. Uznał, że najrozsądniej będzie opowiedzieć śledczym o tym, jak spędził poprzedni dzień, i o wizycie, która nie doszła do skutku.

Nie ma czasu do stracenia.

W komisariacie panowała gorączkowa atmosfera. Ojciec Genevieve zdążył już zawiadomić o zniknięciu córki, bo kiedy Fredric wymienił jej nazwisko, natychmiast skierowano go do dyżurnego inspektora.

Opowiedział mu o swojej znajomości z dziewczyną, zdał relację z wydarzeń poprzedniego dnia i podzielił się niepokojem, który go ogarnął, kiedy Genevieve nie stawiała się na spotkanie.

* Jest pan ekspertem od vin rougei * spytał inspektor. Zaprzeczył. Raczej connaisseur, miłośnikiem i znawcą.

* A co pan wie o nowym mocnym winie, które parę dni temu przesłano pewnemu doktorowi enologii z Bordeaux?

* Nic poza tym, co wyczytałem w gazetach. Że to pochodna alkoholu, zwana decyholem, jeśli dobrze pamiętam.

Inspektor wbił palec wskazujący w blat stołu.

* Wie pan, jak się wytwarza ten derywat?

* Nie mam pojęcia * odrzekł zdumiony Fredric. Co to ma wspólnego z Genevieve? *

Samochód * dodał. * Musicie znaleźć jej samochód. Cytrynowożółty.

* Je sais: Oczywiście, że poszukamy samochodu. Bien sur. Niech pan się o to nie martwi.

Rozmowa dobiegła końca i Fredric był wolny. Zobowiązano go, by zgłosił się na policję, jeśli pojawią się jakieś nowe okoliczności.

Wrócił do hotelu, ponownie meldując się u wartowników przed wejściem. Z trudem przełknął śniadanie, rogalik nie chciał mu przejść przez gardło.

* A teraz, Fredricu Drum * mruknął do siebie * rozpoczyna się Wielka Gra. Będą ci potrzebne wszystkie kody, które

znasz. * Dłoń czeka na jeden fałszywy ruch. I Dłoń ma teraz najlepszą przynętę, by go zwabić.

Zniknięcie Genevieve różniło się od poprzednich tym, że dziewczyna poruszała się samochodem. Uprowadzono ją w zupełnie innym celu. Po co jednak porwano pozostałych siedem osób. Gdzie się teraz znajdują?

Usiadł i zrobił kilka notatek: zapisał parę nazwisk i znaków zapytania, słów, które wywoływały skojarzenia. I własne cechy charakteru. Połączył wyrazy przerywanymi liniami, tworząc pajęczynę znaczeń. Nie znalazł jednak cieniutkiej nitki, która wiodła od pająka do tarantuli.

Jeszcze raz zadzwonił do Grace Dieu i dowiedział się, że policja odnalazła samochód.

Zaparkowany przy poboczu drogi, siedem kilometrów na południe od St. Emilion, i zamknięty na klucz. Głos ojca dziewczyny łamał się.

Fredric pokręcił się nerwowo po pokoju, potem wszedł do łazienki i napił się wody. Dość tego, musi wyjść i zacząć poszukiwania.

Nie, nie może zrobić tego, czego Dłoń od niego oczekuje. Musi przedsięwziąć coś zupełnie innego.

Pogwizdując, wyszedł z hotelu, i opowiedziawszy się wartownikom, ruszył na rynek. Udając obojętność, pokręcił się koło stolików pod dębem. Gości było niewiele; żadnego z nich nie znał, nikt nie zaszczycił go spojrzeniem. Usiadł więc i czekał.

Widząc idącego w jego kierunku konserwatora maszyn z La Gaffeliere, monsieur Tabouy'a, którego poznał poprzedniego dnia, zaprosił go ruchem dłoni do stolika.

* Może kieliszeczek primeuń

* Merci, monsieur.

Fredric zagaił rozmowę. Wspomniał o Norwegii i braku kultury winiarskiej na dalekiej Północy, potem zaczął się rozwódzić o dobrych francuskich regionach, a zakończył na St. Emilion.

* La Gaffeliere to Premier Grand Cru Classe!

* Oui, bien sur, monsieur.

* Czy w takiej posiadłości stawia się maitre de chai wysokie wymagania?

* Bardzo wysokie, monsieur. W dzisiejszych czasach niezbędne jest gruntowne wykształcenie. Chemia, enologia, mikrobiologia, ampelografia. * Monsieur Tabouy rozkoszował się zawartością kieliszka.

* Czy wielu młodych maitres de chai w St. Emilion ma takie kwalifikacje?

* Niewiele, monsieur, zaledwie kilku. Starsi mają za to doświadczenie.

Fredric pokiwał głową. Omiótł wzrokiem plac, domy, okna. Gdzie się ukryłeś, obserwatorze, pomyślał. Głośno zaś zapytał:

* Zna pan tych młodych wykształconych ludzi? Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o zasadach leżakowania wina.

* Hmm. * Monsieur Tabouy podrapał się za uchem. *Więc tak, mamy młodego Jeana Traveau w Chateau Canon. Słyszałem, że jest świetnie wykształcony. Potem monsieur

Oli*vet z Chateau Ausone, choć zdaje mi się, że już tam nie pracuje. On chyba posiadał najgłębszą wiedzę.

* Wie pan, gdzie go mogę znaleźć? * Fredric wstrzymał na parę sekund oddech.

* Przypuszczam, że wciąż mieszka w małym domku na terenie posiadłości. U nas nie wyrzuca się ludzi na bruk z dnia na dzień. Bo chyba wie pan, że stracił posadę? Zaczął pić własne wino! * Pan Tabouy nie posiadał się z oburzenia.

* Merci, monsieur.

A więc Marcel Olivet mieszka w małym domku w Chateau Ausone. Jaka szkoda, że nie wypytał Genevieve o byłego narzeczonego! Olivet ma mocne alibi na kilka wieczorów, kiedy dokonano uprowadzeń, lecz to wcale nie znaczy, że nie posiada istotnych informacji na ten temat. Poza tym jeśli oczyści Oliveta z podejrzeń, przekona się, iż ma do czynienia z niegroźnym zazdrośnikiem i pijaczną o agresywnych skłonnościach, i może ujrzy Dłoń w wyraźniejszym świetle. Teraz wszystko spowija mgła niepewności.

Zapłacił za dwa kieliszki primeur i pożegnał się z panem Tabouy.

Następne posunięcie wymagało starannych przygotowań.

Wszedł do sklepu odzieżowego i kazał sobie pokazać odzież roboczą. Wybrał porządny niebieski kombinezon, czapkę z daszkiem i parę kaloszy, i poprosił ekspedientkę o zapakowanie zakupów. Potem udał się do perfumerii, gdzie nabył krem brązujący i tusz do rzęs. Ruszył powoli Rue de la Cadene w kierunku placu przed hotelem i kościołem. Tam zatrzymał się na dłuższą chwilę, co rusz udając, że spogląda na zegarek, i okazując zdenerwowanie.

Potem skierował się do małej „Restaurant Germaine”, tej samej, w której parę dni temu musiał wypluć łyk Chateau Pa*vie. Bar był równie pusty jak wtedy.

Zamówił coca*colę.

Po dziesięciu minutach przywołał młodego barmana.

* Dam ci dziesięć franków, jeśli pokażesz mi tylne wyjście. Chcę komuś zrobić kawał.

* D'accord. * Chłopak nawet się nie zawahał.

Fredric wyszedł na podwórze i ukrył się za kubłami na śmieci. Tam rozerwał pakunek z ubraniami i naciągnął na siebie obszerny kombinezon oraz zamienił buty na kalosze.

Następnie wysmarował twarz kremem i tuszem, tak by wyglądała na ubrudzoną ziemią, i naciągnął czapkę na uszy. Z rękami wciśniętymi w kieszenie kombinezonu wyszedł na ulicę. Wyglądał teraz jak zwykły pracownik winnicy.

Przejrzał się w oknie wystawowym, poprawił nieco charakterystycję i zadowolony skinął głową. Ruszył drogą, która prowadziła z miasteczka w kierunku południowym.

* Nie jesteś nią trochę zafascynowany? * Fredric próbował sosu, który przyrządził Tob.

* Kim? * Tob udawał, że nie rozumie.

* Mayą oczywiście, Mayą Manuellą, naszą drogą Mama Casa.

* Zafascynowany? Jasne, że jestem. Ty zresztą też. Jeśli jednak chodzi ci o to, czy jestem w niej zakochany, to zaprzeczam. Za wysokie progi dla mnie. W roli przyjaciółki i współpracownicy sprawdza się jednak znakomicie.

Z początku obaj przyjaciele wzajemnie siebie pilnowali. Maya była wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną, ale też zdeklarowaną zwolenniczką niezależności. Z tego, co wiedzieli, nie była w żadnym stałym związku. Poza tym jednak niczym się od nich nie różniła: ceniła przyjaźń i pracę, która im wszystkim dawała pieniądze i satysfakcję.

* Ja na swój sposób kocham Mayę Manuellę, a ona o tym wie * zakończył Fredric.

Ja na swój sposób kocham Mayę Manuellę, przypomniał sobie, idąc drogą w przebraniu pracownika winnicy. Oczywiście, że tak, ale to inna dziewczyna sprawiała teraz, że jego serce przyspieszało bieg: Genevieve Brisson. Między uczuciami do niej a oddaniem dla Mai Manuelli była głęboka przepaść, i musiał się do tego przyznać.

Ludzie, których napotykał, pozdrawiali go skinieniem głowy. Dwukrotnie minął go radiowóz. Ogromna posiadłość Chateau Ausone leżała przed nim, po prawej stronie drogi. Między rzędami winorośli ciągnęła się droga dla traktorów, prowadząca wprost do zabudowań na niewielkim wzniesieniu. U jego podnóża Fredric dostrzegł grupę skał. Po chwili zboczył z drogi i usiadł w cieniu głązów. Stąd miał dogodny punkt obserwacyjny, sam zaś pozostawał niezauważony.

Do przerwy na posiłek zostało jeszcze pół godziny. W posiadłości trwały prace przy tłoczeniu gron oraz opróżnianiu i czyszczeniu ogromnych betonowych cuves. O tej porze roku na polach nie było nic do roboty.

Mgła uniosła się, słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Fredric siedział wygodnie i rozmyślał. Wreszcie wkroczył do akcji. Wprawdzie działał na oślep, ale jednak działał, przechodził do ofensywy. I nie spocznie, póki nie odnajdzie pęknięcia w murze. Użyje wszystkich sił, by wdrzeć się do środka, zdobyć właściwy klucz. Każdym krokiem, który zrobi, będzie kierować żelazna logika, a każdym posunięciem powinien pomieszać szyki Dłoni.

Najważniejsze pytanie brzmi: co przytrafiło się Genevieve? Gdzie się znajduje? Rozsądek podpowiadał mu, że po opuszczeniu apteki musiała spotkać znajomą osobę. Kto wie, może nawet wpuściła ją do samochodu? Ciekawe, czy rozumowanie śledczych podąża tą samą drogą. Marcel Olivet już dawno powinien zostać poddany gruntownemu przesłuchaniu. Wstał i ruszył wolno w górę zbocza, w kierunku głównego budynku, rozglądając się na boki, aby zapamiętać układ zabudowań i drózek.

Przed budynkiem jakiś ogrodnik grabił liście.

* Pardon, monsieur, gdzie mogę znaleźć mditre de chat, pana Marcela Oliveta?

* Już tutaj nie pracuje, ale wciąż mieszka w małym domku za stajnią. * Orodnik wskazał grabiami kierunek.

* Merci, monsieur.

Poszedł w kierunku stajni i już po chwili doleciał go zapach zwierząt; w większości dużych posiadłości trzymano konie. Okrążył budynek i trafił na żwirową ścieżkę okoloną starym kamiennym murkiem. Domek leżał w idyllicznym otoczeniu.

Okienne na parterze nie były zamknięte, co oznaczało, że ktoś jest w środku. Fredric zwrócił uwagę na to, że Francuzi nigdy nie wychodzą z domu, nie zamknawszy uprzednio zasuw na oknach i drzwiach. Budynek, w którym nie było jego właścicieli, wyglądał jak kasa pancerna.

Wejście znajdowało się na tyłach domku. Fredric pchnął furtkę i wszedł do zaniedbanego ogródka. Nagle dobiegł go wściekły syk. To potężny gąsior rzucił się w jego kierunku, wbił dziób w jego udo i z całych sił uszczypnął. Fredric zacisnął zęby, by nie krzyknąć, po czym kopnął ptaszysko, aż poleciały pióra. Gąsior narobił straszliwego wrzasku.

W drzwiach pojawił się wysoki, silnie zbudowany mężczyzna.

Marcel Olivet nie był starszy od Fredrica, ale co najmniej o głowę wyższy; musiał mieć ze dwa metry wzrostu, Fredric nigdy wcześniej go nie spotkał. Był przystojny, o regularnych rysach twarzy, przenikliwych oczach i gęstych włosach. Trudno się dziwić Genevieve, pomyślał.

* Qu'est*ce que vous voulez, monsieur! * Głos brzmiał nie*przyjaźnie, a wzrok mężczyzny nie zdradzał, że rozpoznaje przybysza.

* Monsieur Marcel Olivet?

* Oui, moi. A kim pan jest?

Olivet wyszedł przed dom, oparł się o murek i bacznie obserwował Fredrica stojącego przy furtce. Gąsior zdążył schować się w szopie.

* Mam dla pana pozdrowienia od Genevieve Brisson. Spotkałem ją parę godzin temu.

* Dzisiaj?

Pytanie padło zbyt szybko, pobrzmiwało w nim zdumienie i niedowierzenie. Olivet szybko zreflektował się i dodał:

* A więc się odnalazła. Zgłoszono jej zaginięcie. Jaką wiadomość ma pan dla mnie? *

Podszedł nieco bliżej, nie odrywając dłoni od murku.

Fryz był wyraźny. Fredric nie miał żadnych trudności, by go właściwie zinterpretować.

* Że pewien Norweg, monsieur Fredric Drum, zamierza przemówić panu do rozsądku.

W Olivecie zaszła gwałtowna zmiana. Już nie był fryzem, raczej neonem, na którym rozbłyskują ogromne i wyraźne litery. Marcel Olivet rozpoznał Fredrica Drum, ale nie był on mężczyzną, który odebrał mu narzeczoną; Fredric Drum był człowiekiem, który sprytnie uniknął wszystkich śmiertelnych pułapek zastawionych przez Marcela Oliveta.

* Cios w kark w ciemności na Place du Clocher nie był zaplanowany, nieprawdaż? To raczej spontaniczny wyraz wściekłości wywołanej niepowodzeniami poprzednich prób i irytacji, że spędzam miło czas z Genevieve Brisson. Kto za tym wszystkim stoi, Marcelu Olivet?

Olivet oddychał ciężko, a jego przenikliwe oczy pokryły się mgiełką. Pod zaciśniętą na murku dłonią Fredric dostrzegł jakiś błysk. Natychmiast schylił się; nóż świsnął kilka centymetrów od jego policzka i wbił się z głuchym odgłosem w ścianę domu. Olivet rzucił się na niego. Fredric zanurkował na spotkanie potężnego ciała, zacisnął pięści i zaczął okładać brzuch napastnika.

Marcel zwinął się wół, z jego ust popłynęła strużka śliny. Potężny podbródkowy Fredrica odrzucił go do tyłu. Mężczyzna uderzył głową w murek i opadł bezwładnie jak worek ziemniaków. Znieruchomiał w półsiedzącej pozycji, oparty plecami o kamienie. Oczy miał szeroko otwarte, szkliste, wargi rozchylone.

Fredric stał jak sparaliżowany. Marcel Olivet nie żył. Był martwy jak głaz.

I nie mógł już powiedzieć ani jednego słowa.

Fredric nachylił się nad nim i pociągając za kosmyk włosów, pochylił głowę mężczyzny do przodu. Bulgot dochodzący z brzucha przedarł się przez martwe gardło, niosąc z sobą odór czerwonego wina. Olivet miał ogromnego guza na karku, włosy sklezione krwią. Zginął w chwili zderzenia z murem.

Olivet zamierzał go zabić, tymczasem to on go zabił w obronie własnej. Miał dużo szczęścia. Osunął się na ziemię, zebrało mu się na mdłości. Zabił Marcela Oliveta, zanim ten zdążył cokolwiek wyznać. Nie zamierzał tego zrobić. Ciosy, które wymierzał na oślepa, miały mu dać przewagę, miały unieszkodliwić Marcela i zmusić go do mówienia. Fredric nie okazałby mu litości, usiadłby na nim okrakiem, wsadziłby mu palce w oczy, by zmusić go do mówienia. Ale by go nie zabił! Nie potrafił zabijać z premedytacją.

A jeśli się pomylił? Jeśli Marcel Olivet był niewinny? Ta myśl wydała mu się nieprawdopodobna. Wszystko wskazywało na to, że to Marcel był Dłonią. To on wciągnął go w zasadzkę koło Chateau Figeac i zepchnął w przepaść. To on zapewne wysłał mu szerszenie. I to on w akcie beznadziejnej głupoty zaatakował go na ulicy. A na koniec zamierzał dziabnąć go nożem.

Nie ma żadnych wątpliwości.

Zdradziła go nocna napaść przed hotelem. Tylko on wiedział, że Fredric zamierza zjeść obiad z Genevieve Brisson; dziewczyna sama mu o tym powiedziała. I jak na to zareagował? Nie skrzywił się ironicznie, nie wzruszył ramionami *a przecież tego można było się spodziewać po kimś, kto nie czuje zazdrości i zabawia się z inną dziewczyną. O nie, on zareagował wściekłością, obrzucił dziewczynę epitetami i ją uderzył. Za tym wybuchem musiała się kryć frustracja spowodowana bezowocnymi próbami zabicia Norwega. Atak pod mroczną ścianą kościoła był kolejnym objawem tej frustracji, jeszcze jednym dowodem jego brutalności.

Aktem beznadziejnej głupoty.

Marcel Olivet był Dłonią. Wyraz jego twarzy, zanim przystąpił do ataku, tylko utwierdził Fredrica w tym przekonaniu.

Ale za Dłonią kryje się Twarz. Kim jest Twarz? Olivet odegrał rolę pomocnika, człowieka od brudnej roboty. A może kierowały nim bardziej skomplikowane motywy? Fredric nie miał pewności. Nie wiedział też, w którą stronę się udać, by ujrzeć choć niejasny zarys Twarzy. Co dalej? Znalazł się w trudnej sytuacji. Stał się zabójcą, w brutalny sposób zgasił czyjeś życie. Przez chwilę przyglądał się martwemu ciału Oliveta.

Potem złapał je za stopy i wciągnął do domu. Przeprowadził szybką inspekcję wnętrza. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to walkie*talkie leżące na komodzie. A więc w ten sposób się komunikowali. Na stole kuchennym stała pusta butelka po winie i druga, ledwie napoczęta. Rozejrzał się po pokojach, znalazł drzwi do piwnicy. Zszedł na dół. Olivet miał w podziemiu prywatną kolekcję win.

I wtedy zaświtał mu pewien pomysł.

Pociągnął ciało po kamiennych schodach i zostawił je w pozycji, która wskazywała na przypadkowy upadek, po czym wyrwał zakrwawiony kosmyk włosów z miejsca, w którym czaszka uległa wgnieceniu, i potarł nim krawędź stopnia. Wszystko wyglądało naturalnie, prawdziwie. Z pedantyczną dokładnością stworzył aranżację z plam krwi i włosów, jakby całe życie nie robił niczego innego.

Potem przyniósł pełną butelkę wina i rozbił ją o schody. Szyjkę wcisnął w prawą dłoń Oliveta. Kolejną butelkę zaniósł do kuchni i opróżnił jej zawartość do zlewu, potem to samo zrobił z napoczętą flaszką z kuchennego stołu. Spłukał dokładnie zlewozmywak i ustawił baterię butelek na blacie.

Wszystko to miało wskazywać na następujący bieg wydarzeń: Marcel Olivet wypił trzy butelki wina i kompletnie pijany ruszył do piwnicy po kolejną. Wracając, poślizgnął się na schodach, upadł i uderzył głową w krawędź schodka, ginąc na miejscu.

Potem Fredric pozamykał okiennice, starannie pousuwał ślady swojej obecności i startł szmatką odciski palców.

Klucz tkwił w zamku po wewnętrznej stronie drzwi. Zostawił go tam, ale zamknął również drewnianą żaluzję. Dom miał sprawiać wrażenie opuszczonego. Jeśli ktoś przypadkiem zajrzy do środka, uzna, że Olivet zamknął się od wewnątrz, by w samotności zapijać smutki: utratę pracy w Cha*teau Ausone i zerwanie z narzeczoną. A potem znajdzie ciało na schodach.

Równie drobiazgową pracę Fredric wykonał na podwórzu. Znalazł grabie i starannie oczyścił zwirową ścieżkę z plam krwi * na murze nie było śladów * a potem wyrwał nóż ze ściany domu i wrzucił go na dach. Nikt nie będzie tam zaglądać.

Ruszył do miasta inną drogą.

Gruntowne zbadanie miejsca zdarzenia i ciała musiałyby doprowadzić do konkluzji, że śmierć Oliveta nie była przypadkowa. Wystarczyłoby pobrać próbkę jego krwi, by stwierdzić, że nie wypił trzech butelek wina. Fredric wątpił jednak, czy policja będzie marnować czas i środki na przeprowadzenie szczegółowego śledztwa. W każdym razie minie wiele dni, zanim coś się zdarzy, zanim ktoś go znajdzie. Nikt nie będzie szukać Marcela Oliveta.

Poza Twarzą.

Czy jednak Twarz uderzy na alarm? Żeby skierować na siebie światła reflektorów?

Zanim doszedł do St. Emilion, rozważył wszystkie możliwości i doszedł do wniosku, że zostały mu dwa dni. W ciągu tych dwóch dni musi znaleźć właściwy klucz.

I Genevieve. Na myśl o Genevieve zrobiło mu się słabo.

Wślizgnął się przez furtkę na zaplecze „Restaurant Germa*ine”. Tam za tymi samymi kubłami na śmieci zrzucił z siebie kombinezon i kalosze i wcisnął je pod stertę śmieci. Potem założył buty, które tu zostawił, wszedł kuchennym wejściem do restauracji i niezauważony ruszył do toalety. Umył się dokładnie, usuwając z twarzy krem i tusz.

Chłopak za barem zdziwił się na jego widok.

* Merci beaucoup * powiedział Fredric z udawanym angielskim akcentem. * Very grand tricheur je suis. Moi przyjaciele byli bardzo zaskoczeni. Proszę podać mi colę. Chłopak uśmiechnął się.

Siedział zaledwie chwilę, kiedy w barze zjawili się dwóch ludzi: Philibert Berjal i wszędobylski Nigel Merlot.

Melot i Berjal razem? Cóż to za sojusz? Nie zdążył dojść do żadnej konkluzji, bo zauważywszy go, obaj mężczyźni podeszli bliżej.

* Czy da się pan zaprosić na degustację wybornego wina? * usłyszał zblazowany głos pana Merlota. * To jest monsieur Berjal, mój przyjaciel. Postanowiliśmy spróbować Chateau Trottevieille rocznik 1977. Mówi się, że to jedna z niewielu posiadłości, której udało się wyprodukować dobre wino tamtej jesieni.

Fredric odmówił grzecznie, lecz zdecydowanie. Wyjaśnił, że jego żołądek jest niedysponowany wskutek wypicia znacznie większej ilości alkoholu, niż to miał w zwyczaju w Norwegii. Szkoda marnować tak dobry trunek.

* Innym razem skorzystam z przyjemnością, panie Merlot * zakończył, wstał i wyszedł. Policjanci przy wejściu do hotelu po raz kolejny wypytali go, jak spędził dzień. Fredric wskazał restaurację. Funkcjonariusze sporządzili notatkę i podziękowali mu.

Zadzwoił z recepcji do Chateau Grace Dieu, ale nie dowiedział się niczego nowego.

Zegar nad łóżkiem wskazywał godzinę czwartą. Przypomniawszy sobie, że o piątej obiecał złożyć wizytę panu Cardille'owi w jego niewielkiej posiadłości Grand Cru. Może powinien odwołać spotkanie? Postanowił posilić się nieco i przemyśleć sprawę.

Skorzystał z zakupionych poprzedniego dnia wiktuałów: gęsich wątróbek i oliwek. Oraz miodu na suchej bagietce. Wszystko smakowało wyśmienicie.

Wizyta w Chateau Leo*Ponet nie wchodziła w grę. Fre*dric ponownie zszedł do recepcji, by zadzwonić i usprawiedliwić swoją nieobecność. Przy okazji kupił egzemplarz lokalnej gazety. Całą pierwszą stronę poświęcono Genevieve Brisson; było nawet jej zdjęcie i fotografia samochodu. Fredric poczuł dławienie w gardle.

O nim też wspomniano w artykule. O tym, że był z Genevieve w Guitres, by podziwiać odkrycia archeologiczne. O umówionym spotkaniu w Hotel la Plaisance, na które dziewczyna się nie stawiała. „Monsieur le Nowegien jest poza * wszelkim podejrzeniem w tej sprawie”, napisano. Recepcjonista i policjanci przed wejściem do hotelu mogli potwierdzić, że przez całą noc nie opuścił swojego pokoju.

Nikt nie widział Genevieve Brisson od momentu, gdy wyszła z apteki parę minut po ósmej. Żaden świadek nie zauważył, jak wsiada do samochodu, włącza silnik i odjeżdża.

Poza tym gazeta zamieściła wywiad z le commissaire. Komisarz informował, że policja ma nowy trop, a śledztwo wchodzi w decydującą fazę.

Nowy trop.

Rzecz jasna nie lekcewał umiejętności francuskiej policji, ale miał co do nich wątpliwości. Trzeba wielkiej wyobraźni, by pojąć motyw Twarzy, zrozumieć, jakie moce skłoniły ją do tych bestialskich działań.

Zadrzał.

Może chodzi o grupę przestępczą? A może sprawcą jest jeden człowiek działający poprzez sówicie opłacanych pomocników, którzy w ogóle nie wiedzą, o co chodzi? O co chodzi? Czy w tych zdarzeniach można doszukać się jakiegokolwiek sensu? Wydają się raczej jakimś absurdalnym koszmarem.

Położył się na łóżku. Co dziwne, nie zaprzętał sobie głowy faktem, że pozbawił kogoś życia; myślał raczej o tym, że uwolnił St. Emilion od śmiertelnego zagrożenia. Dla niego Marcel Olivet stanowił bowiem śmiertelne zagrożenie. On sam był o włos od śmierci, ale się wywinął. Kolejny raz.

Maniola acidosa.

Król Minos kochał grzyby,
dzwon kościelny wybija złą godzinę, a Fredric
uznaje siebie za kompletnego idiotę
W sobotni wieczór Fredric stał przy oknie i spoglądał na miasteczko. W pokoju panował półmrok. Ulicą Rue des Ec*oles przejechał samochód policyjny. Nie dostrzegł żadnych przechodniów.

Odbiło mu się gęsią wątróbką.

Minęła doba od zniknięcia Genevieve. Czy wciąż oddycha? Co widzą jej piękne oczy? Prześlij mi jakiś sygnał, Genevieve! Wyjął kryształową gwiazdę i przyłożył ją do oka, potem obrócił wolno głowę ze wschodu na południe, z południa na zachód i z powrotem. Na wschodzie była żółta, lekko czerwonawa barwa, na południu głęboki błękit, a na zachodzie ponownie czerwień.

Na południu głęboki błękit.

Chateau Ausone leżało na wschodzie, tak jak Chateau La Gaffeliere i Chateau Magdalaine. I spółdzielnia „La Cave Rou*ge”. Wiele posiadłości Grand Cru. Chateau Leo*Ponet. Winnica pana Gruy*Lichine, której nazwy nie pamiętał. Na południu * tam, gdzie przeważał głęboki błękit * było tysiące kryjówek.

Trzymali byki w oddzielnych zagrodach, a wysokie kamienne ogrodzenia sprawiały, że zwierzęta nie mogły siebie nawzajem widzieć. Za to słyszały ryki i stukot racic o ziemię. Te z licznymi białymi plamami na ciele otaczano szczególną opieką, karmiono je kilka razy dziennie mlekiem z dodatkiem miodu. Rogi poddawano starannym zabiegom: szlifowano je, polerowano i malowano ciemnoczerwoną farbą. Rogi były świadectwem dbałości opiekuna o zwierzęta. Przed uroczystością byki pozbawiano jedzenia i drażniono uderzeniami włóczni. Oczy zwierząt nabiegały krwią, ich ryk stawał się coraz głębszy. Były przygotowane do ataku.

Córy słońca nacierały jej zgrabne szczupłe ciało olejkami kamforowymi, pokrywały opaloną skórę białym pudrem. Była bezwolna, odrętwiała. Zawsze wybierano najładniejsze, by napój nabrał odpowiedniej mocy i wywoływał dobre wizje, wiele słońc na niebie. Słyszała ryk byka i drżała. Za godzinę, za minutę, za sekundę drzwi się otworzą.

Rozwarł powieki i wyparł z pamięci ten ponury obraz. Żaden byk nie przebiję Genevieve rogami.

Zmusił się, by usiąść przy biurku. Musi się wyłączyć, oczyścić myśli i zacząć od nowa.

Wykonał kolejne tłumaczenie próbek pisma linearnego B, zrobił kolejne drobne poprawki. Tabliczka PyTa 641 objawiała nowe niuanse znaczeniowe, kiedy podstawiał sylaby i wymieniał poszczególne wyrazy, kiedy zmieniał nic nie*znaczące kombinacje liter. Wreszcie osiągnął cel. Wszystko się zgadzało. Miał przed oczami wyraźny i logiczny klucz do odczytania symboli T. Tekst na tabliczce brzmiał następująco:

„W pitosie od dwóch byków * trzy dziewczęta, miód
w pitosie znikną i dojrzeją
z pitosu (małego) wlewa się i miesza oliwę
w dużym pitosie dobre grzyby dla człowieka (napój)”.

Siedział dłuższą chwilę, wpatrując się w kartkę. Jedli grzyby? Minojczycy byli miłośnikami grzybów? Nie zamierzał już niczego zmieniać, miał głębokie przekonanie, że złamał tajemnicę kreteńskiego pisma. Klucz pasował do innych tabliczek.

Knossos nie było królewskim pałacem.

Położył się na łóżku, wsunął dłonie pod kark i zagapił się w sufit. O co chodzi w tym tekście? Nagle zerwał się jak oparzony. Przyszła mu do głowy szalona myśl.

Poszedł do łazienki i wypił trzy szklanki wody jedną po drugiej. Czy to właśnie jest związek, którego szuka? Nie, to zbyt absurdalna, szalona, groteskowa myśl!

Napisał pospiesznie kilka zdań na arkuszu papieru, potem wykreślił je i dopisał kolejne.

Spojrzał na zegar. Wpół do dziesiątej, jeszcze nie jest za późno.

Zbiegł do recepcji i zamówił rozmowę telefoniczną z Wielką Brytanią, ze Stephenem Pratem. Połączono go. Musiał kilkakrotnie powtarzać swoją prośbę, zanim Stephen zrozumiał. Obiecał przesłać wyczerpującą odpowiedź listem ekspresowym. Fredric mógł się go spodziewać następnego dnia przed południem.

Wróciwszy do pokoju, usiłował zapanować nad nerwami, ale to nie było proste; co rusz wychodził do łazienki, by napić się wody.

Genevieve, biedna Genevieve! Chyba ją to nie spotkało. Nie, to nie mogło się jej przytrafić.

Marcel Olivet nie żył, usunął więc ze swojej drogi jedną przeszkodę. Jakich diabelskich sztuczek użyje teraz Twarz? Czy może liczyć na większą swobodę działania, czy też sytuacja ulegnie pogorszeniu? Uznał tę drugą ewentualność za bardziej prawdopodobną.

Niedziela. O dziwo, dobrze przespał noc, nic mu się nie śniło. Rogalik, kawa i do boju, Fredricu Drum, postanowił.

Zapytał policjantów przed wejściem do hotelu o nowe okoliczności sprawy Genevieve Brisson. Okazało się, że żadnych nowych okoliczności nie ma. Odpowiedzi towarzyszyło bezradne potrząsanie głowami. Fredric wyjaśnił, że udaje się do Chateau Leo*Ponet na degustację win.

Ruszył tą samą drogą na południe. Ile razy już ją przemierzył? Niedzielny spokój ogarnął winnice, bramy większości posiadłości były pozamykane. Towarzyszył mu jedynie jazgot szczekających psów. Szczerze nienawidził psów strzegących chateaux.

Doszedł do La Gaffeliere i skręcił w prawo w żwirową ścieżkę. Tym razem na polach nie było ludzi poszukujący zaginionych, pośród milionów czerwonych liści winorośli hulał jesienny wiatr. Niedługo liście żółkną i opadną.

Brama do spółdzielni „La Cave Rouge” była otwarta, w środku stał jakiś samochód. Fredric kucnął za kamiennym murkiem i zaczął nasłuchiwać, ale żadne głosy do niego nie dochodziły. Może warto sprawdzić, co się tam dzieje? Rzucił okiem ponad krawędzią muru. Między głównym budynkiem a wejściem stało kilka szop. Nie dostrzegł żadnych psów, więc przeskoczył murek, podbiegł do pierwszej szopy i przywarł do pozbawionej okien ściany. Potem ostrożnie obszedł narożnik i trafił na zamknięte na haczyk drzwi. Otworzył je i wszedł do środka.

Minęła dłuższa chwila, zanim jego wzrok przyzwyczał się do półmroku.

I wtedy stanął z rozdziawionymi ustami: wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy półek, na których leżały różnej wielkości i kształtu ludzkie czaszki. Było ich co najmniej kilkaset. W ciemności ten widok sprawiał niesamowite wrażenie. Niektóre były brązowe, inne poszarzałe, a jeszcze inne białe, jakby zupełnie świeże.

Zupełnie świeże ludzkie czaszki! Fredric wzdrygnął się. „La Cave Rouge”, ładna mi spółdzielnia winiarska! Ciekawe, ile wina produkują.

Podszedł do jednej z półek i zdjął z niej niewielką czaszkę kremowej barwy. Należała do dziecka, nie mogła być stara. Żuchwę w profesjonalny sposób przymocowano do kości czaszki. W jej środkowej części widać było wgniecenie, które zapewne spowodowało śmierć dziecka. Fredric odłożył ją szybko na miejsce.

Ile lat mogą liczyć te szczątki? Nie sposób odgadnąć.

Na stole pośrodku szopy leżał stos kości; ich układ wskazywał na to, że ktoś usiłował je posortować. Fredric wycofał się do drzwi. Już dość się napatrzył.

Obszedł kolejny narożnik i ujrzał główny budynek, przed którym stał zaparkowany niebieski citroen. W tej samej chwili dało się słyszeć skrzypienie drzwi. Fredric cofnął się.

- * Musisz być bardzo ostrożny. Zwłaszcza teraz, kiedy moment jest niedogodny.
- * Oczywiście. Ale nasi partnerzy już się niecierpliwią. Chcą jak najszybciej stąd wyjechać.
- * D'accord. Tylko pamiętaj, bez zbędnego ryzyka.

Trzasnęły drzwi samochodu i citroen ruszył. Fredric rozpoznał oba głosy: to Nigel Merlot, rzecz jasna, i Philibert Berjal. Cofnął się, przeskoczył murek i ruszył dalej zwirową ścieżką. Minął trzy posiadłości: Cios du Capet, Moulin Blair i Vieux Trianon; przy ostatniej się zatrzymał. Jak większość bram wjazdowych do winnic, ta też ozdobiona była tarczą herbową. Ale o dziwo, był na niej rysunek pszczoły i dzbana. Kto jest właścicielem Chateau Vieux Trianon? Pan Gruy**Lichine, przypomniał sobie. Posiadłość wyglądała na zadbaną. Dotarł do niewielkiego zagajnika. Z tego, co pamiętał, zabudowania Leo*Ponet stoją wśród drzew, otoczone zewsząd polami winorośli.

Trafił na wąską drogę dojazdową obsadzoną topolami. Las wokół był gęsty i wilgotny. Dlaczego go nie wycięto, by przeznaczyć ziemię pod uprawę? Może las jest niezbędny dla zachowania równowagi ekologicznej? Winorośl też ma swoje wymagania.

Jakiś pies zaczął ujadać. No tak, nie mogło być inaczej.

Wreszcie zobaczył zabudowania. Nie był to zbyt budujący widok: stare mury, odpadające płyty cementu, krzywe dachówki, powyginane rynny. Tylko jeden budynek * maison de cuves, gdzie wino poddawano fermentacji w ogromnych betonowych kadziach * został wyremontowany.

Zatrzymał się dwadzieścia metrów przed wejściem. Pies, ogromny kundel niewiadomego pochodzenia, jazgotał, szcze*rząc kły. Nie wyglądał na przyjaciela człowieka, więc Fredric nie odważył się podejść bliżej.

Otworzyły się drzwi i wytoczył się z nich wózek inwalidzki, zakręcił zrećnie na rampie przed wejściem i zjechał parę metrów po drewnianym podejściu.

* Hector, ici! Tais*toi! * Pies podkulił ogon i wbiegł do domu. Gospodarz był nieco zaskoczony, ujrzawszy Fredrica.

* Bonjour, monsieur Cardille, mam nadzieję, że nie zjawiam się w nieodpowiednim momencie?

* Ależ skąd, monsieur Drum. Bardzo mi miło. Niedziele są okropne, strasznie się nudzę. Kawiarnia na rynku jest zamknięta, a moi ludzie mają wolny dzień. Może usiądziemy w moim skromnym pokoju do degustacji? To niedaleko.

Okружиł budynek i znaleźli się przed przybudówką otoczoną wypielęgowanym ogrodem. Podwójne drzwi zapraszały do środka, gdzie mieścił się kominek, stół i wygodne krzesła. Półki na ścianach zastawione były butelkami, różnymi rocznikami Leo*Ponet. Najstarsza pochodziła z roku 1947jakimś płynem i podpalił.

* Ogień wydobywa blask i barwę wina * wyjaśnił z uśmiechem.

Fredric pokiwał głową.

* Jak się dzisiaj miewa pański żołądek? Przyjmie odrobinę wina?

* Oczywiście * odparł. * Czuję się znacznie lepiej. * Bacznie obserwował pana Cardille'a, który zdawał się szczerze ucieszony jego wizytą. Na jego twarzy pojawił się nawet słaby rumieniec.

* Grand Cru * zaczął Fredric. * Między setkami posiadłości tej kategorii musi się toczyć zażarta walka o rynek?

* Istotnie. * Cardille rozłożył ręce. * To ciężka praca. Widział pan budynki? Nie remontujemy ich, gdyż wszystkie środki, cały zysk wkładamy w ulepszenie produkcji. Jeśli mogą sobie pozwolić na drobną przechwałkę: w ciągu tych piętnastu lat, odkąd zostałem właścicielem Leo*Ponet, moje wino bardzo się poprawiło. Możemy mieć nadzieję na awans do kategorii Grand Cru Classe.

? * Zatrudnia pan wielu ludzi?

* Na stałe tylko jednego, mojego mditre de chai, señor Ri*beirę z Hiszpanii. To znakomity mistrz produkcji, zdobył wiedzę i doświadczenie w Torres Bodegas w Villafranca del Penedes na południe od Barcelony, jeśli to coś panu mówi. Podczas zbiorów i innych cięższych prac zatrudniamy robotników sezonowych.

* Oczywiście. * Fredric wskazał palcem butelkę z rocznika 1970. * To wino powstało w pierwszym roku pana pracy. Czy ma pan coś przeciwko temu, byśmy zaczęli od niego? Cardille postawił na tacy osiem kieliszków oraz butelki z roczników 1970, 1975, 1978 i 1982. Doskonale, pomyślał Fredric. Tak należy to robić, zna się na swoim fachu. Cardille otworzył wszystkie butelki, ustawił kieliszki w równym rzędku i do każdego nalał odrobinę trunku z poszczególnych butelek. W ten sposób można było dokładnie porównać jakość wina. W podobny sposób napełnił swoje kieliszki.

Długo siedzieli w milczeniu, słyhać było jedynie trzask płonących polan i odgłosy przełykania. Smakując kolejne próbki, Fredric wyczuwał wyraźną poprawę jakości. To były świetne wina jak na Grand Cru.

*To dla mnie wielka przyjemność, monsieur Cardille * powiedział w końcu. * Zamawiam pięć skrzynek rocznika 1975 i dziesięć skrzynek rocznika 1982.

Cardille uśmiechnął się i wyjął niezbędne papiery. Po załatwieniu formalności zakorkował trzy butelki, zostawiając rocznik 1970 na stole.* Czy tu pod ziemią jest dużo grot? * spytał nagle Fredric.

* Nic mi o tym nie wiadomo. Nasza piwnica nie jest naturalną jaskinią, została wykopana. Maispourquoi?

* Policja o to nie pytała?

* Wielokrotnie. * Twarz Cardille'a przybrała smutny wyraz. *To wielka tragedia. Co się stało z tymi ludźmi? Tak, policja przeczesala każdy centymetr tego lasu, pytali też o groty. Zresztą nie tylko oni. Monsieur Merlot zadał mi to samo pytanie.

* Ach tak * zdziwił się Fredric. * Dlaczego?

* Twierdzi, że szuka ludzkich szczątków. Jest frenologiem.

* Słyszałem o tym. * Fredric pociągnął łyk z kieliszka. Dłuższą chwilę milczał.

* A jak się miewa pańska mała restauracyjka na dalekiej Północy?

* Całkiem niezłe. Moi rodacy zaczynają doceniać jakość dobrych potraw i trunków.

Cardille dołożył kilka bierwion do ognia. Przypadkiem uderzył wózkami w nogę Fredrica.

* Desculpe * powiedział. * Nie chciałem. * I z nagłą gorliwością zajął się ogniem.

* Zostałbym dłużej, monsieur Cardille, ale mam jeszcze kilka umówionych spotkań. Pewnie zagramy jeszcze niejedną partyjkę szachów na rynku. Wyjeżdżam z St. Emilion dopiero za kilka dni. * Fredric wstał i uściśnił dłoń gospodarza.

* Au revoir.

Ruszył topolową aleją. Coś tu się nie zgadzało, coś było nie tak. Targał nim jakiś wewnętrzny niepokój, ale nie potrafił dostrzec konkretnej przyczyny. Szedł z półprzymkniętymi powiekami; częściowo widział drogę, częściowo zaś uśmiechniętą twarz Genevieve. Mrugała dużymi brązowymi oczami.

Dlaczego Genevieve? Czy ze względu na niego? Czego Twarz od niego chce? Co ma uczynić? To, co zrobił przed chwilą? Może nagła i gwałtowna śmierć Marcela Oliveta pokrzyżowała Twarzy szyki. Tego Twarz na pewno się nie spodziewała. On zresztą też nie, zamierzał jedynie zmusić Oliveta do mówienia, ale los nie dał mu tej szansy. Fredric uśmiechnął się krzywo.

I znów zatrzymano go przed hotelem. W recepcji czekał na niego list z Cambridge, od Stephena Pratta.

Położył się na łóżku i rozerwał kopertę. List był krótki, przeczytał go kilkakrotnie.

„Drogi przyjacielu,

Wypytałem fachowców. Chemicy mówią, że delcyhol jest pochodną alkoholu, którą trudno uzyskać bez skomplikowanej aparatury. Ta ciecz ma niewielkie zastosowanie, więc rzadko się ją wytwarza. Dla celów badawczych produkuje się ją syntetycznie poprzez stopniową rozbudowę struktury cząsteczkowej wokół składników COOH. Ponoć można delcyhol uzyskać w sposób naturalny, ale to trudne i ze względów etycznych nie jest stosowane. Delcyhol ma działanie podobne do alkoholu i taki sam smak, ale nie zaleca się go pić w dużych ilościach, bo powoduje uszkodzenia kory mózgowej, które ujawniają się dopiero po upływie wielu lat. Wśród następstw wymienia się przedwczesny uwiąd starczy oraz pewne formy chorób psychicznych. Uszkodzenia są nieodwracalne. Zmianom może również ulec struktura genetyczna organizmu, rzecz jasna z przykrymi konsekwencjami dla przyszłych pokoleń. Eksperymenty przeprowadza się na szczurach i małpkach sajmiri. Mam nadzieję, że raczysz się czerwonym winem, a nie del*cyholem. Stephen".

Fredric wbił wzrok w tapetę. Do diabła, musi wiedzieć więcej! „...ze względów etycznych nie jest stosowane”. Jakich względów etycznych?

Zerwał się, usiadł przy biurku i nabazgrał kilka linijek telegramu. Jest niedziela, ale musi zakłócić Stephenowi spokój. Nadał telegram przez telefon w recepcji.

Omiótł spojrzeniem policjantów stojących przed wejściem. Może oni coś wiedzą?

* Przepraszam * zwrócił się do jednego z nich. * Jak panowie pewnie słyszeli, jestem kupcem win z Norwegii. Słyszałem o tej historii z mocnym winem, w gazetach pisano o doktorze enologii z Bordeaux.

Jeden z policjantów roześmiał się, drugi wzruszył ramionami i powiedział:

* Pas d'alcool, to był jakiś inny związek. Wielkie oszustwo.

* Skąd pochodziła próbka? * dopytywał się dalej. * Policja powinna być tym żywo zainteresowana. Ten napój jest chyba niebezpieczny dla zdrowia?

* Próbka była anonimowa. * Policjant zamachał rękami. *Doktora obowiązuje tajemnica zawodowa, ale my i tak wiemy, że przesyłki nie oznakowano. Zresztą mamy inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Fredric podziękował i wrócił do pokoju.

Dochodziła druga. Fredric poświęcił chwilę na porównanie poszczególnych tabliczek z pismem kreteńskim. Klucz doskonale się sprawdzał.

A więc zrobiłeś krok w dobrym kierunku, Fredricu. Ruszaj dalej! Jego myśli zdawały się rozsadzać ramy pokoju. Znow użył kryształu * na południu barwa była intensywnie niebieska. Ktoś zastukał do drzwi.

* Telefon do pana w recepcji, monsieur. * To był głos recepcjonisty.

Zbiegł na dół. Odpowiedź od Stephena? Tak szybko? Podniósł słuchawkę.

* Oui. Fredric Drum.

Usłyszał szybki oddech i słaby głos: „Fredric, wieża kościelna, stary kościół, nad dzwonem”. Rozległ się trzask i połączenie urwało się.

To był głos Genevieve! Genevieve żyje!

Odłożył powoli słuchawkę na widełki.

* Monsieur! * krzyknął. Recepcjonista wyszedł z pokoiku na zapleczu. * Monsieur, czy można sprawdzić, skąd łączono tę rozmowę?

* To niemożliwe. Wszystkie połączenia we Francji są automatyczne. Mais pourquoi?

Fredric nie raczył nawet odpowiedzieć. Pobiegł na górę do swojego pokoju.

Głos Genevieve wciąż brzmiał mu w uszach. Tak, to był jej głos; nie miał żadnych wątpliwości. „Fredric, wieża kościelna, stary kościół, nad dzwonem”. Ledwie ją słyszał * mówiła cicho, była zalekniona i nerwowo oddychała. Twarz zmusiła ją do tego telefonu po to, by wciągnąć go w zasadzkę. Czyżby uważali go za kompletnego idiotę? Gdzie ją trzymają?

Podszedł do okna. Stary kościół wznosił się po przeciwnej stronie Place du Clocher. Na tyłach strzelistej wieży znajdowało się wejście. Świątynia była miejscową atrakcją turystyczną. Zamierzają zwabić go do wieży? Co go tam czeka?

Wypił dwie szklanki wody i zaczął krążyć między łazienką a oknem. Dzwon był widoczny, ale ponad nim nie dostrzegł żadnych okien. Czy nad dzwonem jest jakieś pomieszczenie? Jak ma odnaleźć Genevieve?

Policja. Powinien bezzwłocznie zawiadomić policję. To zupełnie nowa okoliczność: jedna z uprowadzonych osób

daje znak życia. Co jednak może oznaczać, że uprowadzenie Genevieve ma inny charakter. Jak wytłumaczy policji swoją rolę w tym dramacie? Będą zadawać pytania, może nawet go tymczasowo aresztują. Nie, za wcześnie na wizytę na komisariacie.

Co go czeka w wieży?

Coś muszę przedsięwziąć, skarcił samego siebie. Nie uratuję Genevieve, gadając do ścian. Trzy razy cudem uniknąłem śmierci. Czy uda się za czwartym razem?

Dłuższą chwilę wpatrywał się w kryształ, lecz tym razem gwiazda nie udzieliła mu jednoznacznej odpowiedzi.

Wyszedł więc na plac i zbadał wieżę ze wszystkich stron, po czym zbliżył się do wejścia. Zobaczył tylko grupki turystów podążających w obu kierunkach, żadnych policjantów nie było.

Wszedł do środka. Było tu kilka starszych pań pogrążonych w modlitwie i amerykańskie małżeństwo w średnim wieku. Z Teksasu * Amerykanie nie potrafili zniżyć głosów do szeptu. Z tyłu ołtarza Fredric znalazł drzwiczki prowadzące na wieżę. Tablica informowała, że tylko pierwszy poziom jest dostępny dla zwiedzających.

Wyszedł z kościoła.

Czy zdoła skłonić jednego z policjantów trzymających straż przed hotelem, by mu towarzyszył? Warto spróbować.

* Przepraszam, monsieur, to znowu ja * zwrócił się do tego bardziej rozmownego. * Czy w tych okolicach mieszka sporo dowcipnisiów?

* Pourquoi? * Policjant natychmiast spoważniał.

* Bo przed chwilą jakiś anonimowy rozmówca kazał mi poinformować policję, że w pomieszczeniu nad dzwonem kościelnym leży nieboszczyk.

Policjanci popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

* Nieboszczyk?

* Oui, tak powiedziano. To przypuszczalnie makabryczny żart, przecież ten ktoś mógł zadzwonić prosto do was. Niektórzy lubią sobie drwić z turystów.

* Fredric wzruszył ramionami.

Podziałało. Podrzędni funkcjonariusze policji, którym zlecono nudne zadanie, nie mogą zmarnować takiej szansy. Zaczęli rozmawiać ze sobą z szybkością karabinu maszynowego, ustalając, który z nich zostanie na straży. Gadatliwy chyba wyszedł zwycięsko z tego pojedynku, bo oddał swój notatnik koledze * ten przyjął go ze wzruszeniem ramion * i ruszył w kierunku kościoła.

A Fredric podążył za nim. W pewnej odległości, jakby był tą sprawą tylko trochę zainteresowany. Policjant musiał tu być nie po raz pierwszy, bo skierował się prosto do wejścia ukrytego za ołtarzem. Fredric słyszał jego kroki nad sobą.

Kiepska pułapka, pomyślał Twarz musiała zdawać sobie sprawę, że Fredric Drum nie wejdzie sam na wieżę. Policjant szedł przed nim i z pewnością... Nagła myśl kazała Fredricowi przyspieszyć kroku. Co będzie, jeśli przedstawiciel prawa wejdzie w przygotowaną dla niego śmiertelną pułapkę? Wtedy zainteresowanie Fredrikiem Drum gwałtownie wzrośnie i policja nie wypuści go z rąk.

Przeskakiwał teraz co drugi stopień * schody wiły się, było ciasno i nisko * z trudem oddychając. Dotarł na pierwszy poziom oświetlony światłem wpadającym przez otwory okienne. Widział nogi idącego przed nim mężczyzny.

* Proszę się zatrzymać, nie tak szybko, to może być niebezpieczne! * wyrzucił z siebie. Policjant odwrócił się, prychnął i nie przerwał wspinaczki. Po chwili znalazł się na drugim podeście.

Fredric ruszył za nim, ale zwolnił nieco tempo. Nie był w stanie dogonić sprawnego i energicznego funkcjonariusza prawa.

Pośrodku drugiego podeśtu wisiał ogromny spiżowy dzwon. Zakończone ostrymi łukami otwory w ścianach sięgały aż do posadzki, by dzwon był widoczny z placu. Cierpiący na lęk wysokości Fredric nie odważył się podejść do krawędzi. Długa drabina po prawej stronie dzwonu prowadziła do klapy w suficie. Policjant wspinał się już po szczeblach.

* Proszę uważać! * ostrzegł go Fredric.

Upadek drabiny zakończyłby się na pierwszym podeście, bo pod nią ział otwór, przez który kiedyś prowadzono liny.

Policjant zniknął w otworze. Fredric stał, czekając w napięciu. Na co? Na krzyk, odgłos uderzeń. Może na strzał.

Nic takiego nie nastąpiło, na górze panowała cisza.

Właśnie chciał się odezwać, kiedy w otworze pojawiła się noga policjanta. Fredric odetchnął z ulgą.

* Personne * warknął policjant, ocierając pot z czoła. Był poirytowany, szansa awansu uciekła mu sprzed nosa. * Mer*de! Głupi turyści. * I popędził w dół, zostawiając Fredrica samego.

Fredric spojrział w kierunku klapy w suficie. Co to ma znaczyć? Czy Genevieve w jakiś sposób... Czy przekazała mu jakąś tajną wiadomość?

Ostrożnie postawił stopę na szczeblu drabiny, choć nie miał się czego obawiać: skoro wytrzymała ciężar potężnie zbudowanego policjanta, jego też uniesie. Wkrótce znalazł się w pobliżu potężnej drewnianej klapy przytrzymywanej sznurem. Wystawił głowę ponad krawędź, lecz niewiele zobaczył; w pomieszczeniu bez okien panował mrok. Zbadał dłońmi podłogę wokół klapy, ale odkrył tylko grubą warstwę kurzu. W końcu podciągnął się w górę i kucnął obok otworu. Pomieszczenie było niewielkie, widział zarysy ścian. Ze środka podłogi wystawały metalowe uchwyty, zapewne mocowanie znajdującego się poniżej dzwonu.

Podczołgał się głębiej, macając dłońmi wokół siebie, szukając jakiegoś znaku, wiadomości.

Ale poza kurzem nie natrafił na nic godnego uwagi. I za późno dostrzegł niebezpieczeństwo: sznur przymocowany do

klapy napiął się, ciężka płyta wolno się przechyliła i opadła z głuchym łoskotem. Kurz wzbił się w powietrze i zapadła ciemność.

Fredric kichnął trzy razy. Dźwięk powrócił do niego echem.

* Idioto, idioto, idioto! * krzyknął do samego siebie.

To takie proste: ktoś ukrył się na podeście pod spodem, widział policjanta i Fredrica. A potem zobaczył, że policjant zawraca, a Fredric wspina się na górę. Ruszył za nim i szarpnął za sznur.

* Idioto, idioto, idioto * powtórzył, waląc pięściami w kamienną posadzkę.

Nagle rozległy się trzy uderzenia, które wstrząsnęły ścianami i podłogą. To dzwon pod nim wybił trzy razy. Pomieszczenie, w którym się znajdował, działało jak pudło rezonansowe, i Fredric chwycił się za głowę * miał wrażenie, że błona bębnowa w jego uszach zapadła się w głąb. Po chwili dobiegł go inny słaby dźwięk, jakby jakiś przedmiot otarł się o powierzchnię dzwonu.

Drabina, pomyślał. Ktoś odstawił drabinę.

Podczołgał się do kłapy i przeciągnął palcami wzdłuż czworokątnej szczeliny. Kłapa przylegała szczelnie do otworu w kamiennej posadzce, można ją było otworzyć wyłącznie od dołu. Wpadł jak gronostaj w sidła.

Z rozpaczą zatopił paznokcie w twardym drewnie i pociągnął. Paznokcie złamały się, a on skulił się z bólu. Kłapa ani drgnęła.

Potem zaczął krzyczeć. Grube na metr mury tłumiły jego krzyki, dźwięki odbijały się od sufitu i podłogi jak kule z waty. Gdyby ktoś znalazł się przypadkiem w pobliżu dzwonu, i tak by go nie usłyszał. A zresztą jak często ktokolwiek zapuszcza się aż na górę? Pewnie nieczęsto. A pomieszczenie nad dzwonem? Miną lata, zanim ktoś tutaj zajrzy.

To genialna pułapka, jeśli zwierzę zdecyduje się w nią wejść.

Usiadł, opierając się o ścianę. Wąziutka smuga światła wpadała do środka przez pęknięcie w murze, zbyt drobne, by mógł przez nie zawołać o pomoc. Podniósł dłonie i zobaczył krople krwi ściekające z połamanych paznokci.

Ogarnęła go apatia, z której wyrwało go kolejne uderzenie dzwonu: pół do czwartej.

Zanim minie doba, potworne wibracje sprawią, że ogłuchnie. Sto osiemdziesiąt uderzeń, obliczył. Nie zginie z głodu ani z pragnienia, zabiją go dźwięki.

Zaczął czołgać się, badając każdy milimetr posadzki. Gdyby znalazł jakiś ostry przedmiot, mógłby podważyć nim kłapę. Przestrzeń wokół mocowania dzwonu wydała mu się szczególnie obiecująca: stalowe belki, ogromne nity i przerdzewiałe nakrętki. Przesunął palcami po żelastwie, lecz nie znalazł żadnych luźnych elementów. Wsunął dłoń pod dwa pręty i natrafił na coś śliskiego. Butelka! Pełna butelka i mała karteczka. Podniósł oba te przedmioty do światła. Butelka wina: Cha*teau Belair rocznik 1982. Tekst na karteczce, napisany na maszynie, głosił:

„Racz się ostatnim winem w swoim życiu, wypij je drobnymi łykami. Od jutra turyści nie mają wstępu do kościoła. Koniec sezonu”.

Z wściekłością zmiął karteluszek i cisnął go przed siebie. Zamierzał to samo uczynić z butelką, ale się opamiętał. Cha*teau Belair rocznik 1982. Premier Grand Cru Classe. Po co pogarszać sytuację, pomyślał, i wepchnął korek do środka. Strużka wina trysnęła mu na ubranie. Powąchał trunek, pociągnął mały łyk i mlasnął, po czym nabrał oddechu i duszkiem wypił pół butelki. Zrobił krótką przerwę i wlał w siebie resztę.

Żadnych drobnych łyków.

Monsieur la commissaire gubi guzik,
a Fredric Drum przypomina sobie nagle
kieliszek wina, który wypił w Oslo

Z baraním uśmiechem przewrócił się na plecy i w okamgnieniu zasnął.

Cztery uderzenia dzwonu wyrwały go z otchłani, ale zaraz znów się w nią zapadł. Pięć uderzeń przeszło go do szpiku kości, lecz dalej spał. Kiedy sześć uderzeń eksplodowało w jego uszach, wstał niezdarńie i kichnął.

Krótkie otępienie alkoholowe ustępowało, Fredric był rozdygotany. Uderzenia dzwonu wywoływały kakofonię słów w jego głowie, słów, które nieustannie układały się w pozbawione sensu zdania.

Walnął głową w ścianę.

Wtedy poczuł między nogami butelkę. Butelka! Chwycił ją za szyjkę i uderzył o posadzkę. Szkło rozprysło się, a Fredric z szyjką w dłoni podczołgał się do kłapy. Wsunął ostrą krawędź butelki w szparę i pociągnął w górę. Szkło pękło, a kłapa nie poruszyła się. Sięgał po kolejne kawałki, próbował różnych miejsc, ale na próżno. Na koniec usiadł z zakrwawionymi dłońmi pośród szklanych odłamków.

Kolejne godziny przywiodły go na krawędź koszmaru. Słyszając bicie dzwonu, zatykał uszy, ale pierwsze uderzenie zawsze spadało nań niespodziewanie. Kiedy dzwon wybił godzinę dziewiątą, leżał zwinięty w kącie i trząsł się jak osika. Znalazł się w izbie tortur. Ogromna głowa byka zbliżała się. Była czarna z białymi plamami wokół przekrwionych oczu. Język zwisał z pokrytego pianą pyska. Byk pochylił rogi, był coraz bliżej'. Stała nieruchomo, wszystko działo się wolno, tak bardzo wolno. Głowa byka przesłoniła jej świat, ostry róg zakrył horyzont. Uniosła się lekko na palcach, przyjmując uderzenie, i poczuła, że ulatuje w górę, ku wolności! Daleko.

Musiał stracić przytomność * dzwon wybił godzinę drugą, a on w ogóle nie pamiętał poprzednich uderzeń. Czuł przedziwną jasność w głowie, nie słyszał żadnych głosów, ból ustąpił.

Usiadł i oparł się o ścianę. Nie może stracić przytomności po raz drugi, nie może popaść w obłąd. Musi się skoncentrować. Dasz sobie radę, Fredricu Drum, powiedział głośno. Jeśli nawet nie zdoła znaleźć rozwiązania, i tak stanie się coś dobrego * był o tym przekonany. „Myśli”, powiedziałby Tob, „czynią cuda. Jeśli wiesz, jak ich używać”. Tak, myśli. To jedyne narzędzie, jakim dysponował, jedyna broń.

Pogrążył się w myślach.

Dźwięk dzwonu nie wytrącał go już z równowagi, podkreślał jedynie rzeczywistość, w jakiej się znalazł. Ciemna powierzchnia muru stała się ekranem, na który rzucał twarze wymagające odczytania.

Czytał fryzy.

o ósmej, kiedy wstał rano, tekst był gotowy. Straszliwy przekaz, który ściał lodem jego ciało, doprowadził mózg do stanu wrzenia, rozsadzał mu czaszkę. To wszystko jego wina.

Musi się stąd wydostać. Genevieve wciąż żyje. Myśl, Fredricu, myśl! Przycisnęła czoło do wąskiej szczeliny w murze i wykrzyczał swoje myśli na cały świat.

i wtedy usłyszał stukanie w kłapę. Ktoś był pod spodem! Zaczął bić pięściami w zamknięcie i kłapa poruszyła się. A potem ujrzał dwie dłonie podnoszące drewnianą płytę i wpadającą do ciemnicy smugę światła.

W otworze pojawił się policjant, ten sam, którego wczoraj poprosił o pomoc. Ujrawszy Fredrica, krzyknął coś na dół,

po czym obrzucił go serią przekleństw. Trzej kolejni policjanci czekali na nich na podeście.

Pojawienie się Norwega wywołało ożywioną wymianę zdań i gestów; jego godny pożałowania stan najwyraźniej nie wzbudził w nich współczucia. Był natrętnym intruzem, który w samym środku skomplikowanej sprawy przysparzał policji niepotrzebnych kłopotów. Sprawy, która poruszyła całą Francję i wymagała pełnej mobilizacji przedstawicieli prawa. Fredric nie odpowiadał na oskarżenia, dał się bezwolnie sprowadzić z wieży. Wyszli z kościoła, przecięli plac i skierowali się do komisariatu.

Komisarz był zajęty, kazano mu więc czekać w korytarzu. Znalazł sobie krzesło i usiadł. Ogniste plamy przelatywały mu przed oczami, a każda sekunda była jak ukłucie igłą. Czas, czas! Genevieve wciąż można uratować.

W końcu szef policji zdecydował się go przyjąć. Fredric podniósł się z trudem i wszedł do gabinetu. Komisarz spojrzał na niego bez cienia życzliwości, a kiedy zbliżył się do krzesła, warknął:

* Proszę stać, łajdaku! To już koniec, fini, twoich podłych sztuczek. * Złapał grubymi palcami za klapy munduru tak energicznie, że duży mosiężny guzik obluźował się i upadł na podłogę, tocząc się pod szafę. Fredric odprowadził go wzrokiem.

* Dwa dni, powtarzam. Daję panu dwa dni na spakowanie swoich rzeczy i opuszczenie kraju. Jest pan osobą niepożądaną we Francji, rozumiemy się?

* Nie słyszę, nie rozumiem * odpowiedział Fredric i oparł się o ścianę, przyglądając się czubkom swoich palców i połamanym paznokciom.

* Merde*syknął le commissaire i postukał dłonią w blat biurka. * Dwukrotnie naraził się pan na głupi wypadek i zmarnował nasz cenny czas. Jest pan jednym wielkim ślepym tropem. I na dodatek cudzoziemcem, który flirtuje z naszymi dziewczętami. * Z ust policjanta wylewała się tyrada najdziwniejszych oskarżeń. Fredric słuchał, ale nie słyszał; zrobił parę kroków w stronę komisarza i dokonał niezwykłej sztuki: kichnął z otwartymi oczami.

* A teraz może pan odejść * zakończył komisarz. * Jeśli zostanie pan dłużej niż dwa dni, każę pana zakuć w kajdanki i odesłać do lodowców, gdzie pańskie miejsce. Va t'en!
Fredric uklonił się.

* Les cuves, monsieur, cherchez*vouz les cuves. Przeszukajcie je dokładnie. * I ruszył w stronę drzwi.

* Arrêtez! Stać! Co pan ma na myśli? Co pan wie?

* Proszę pomyśleć, monsieur le commissaire, proszę pomyśleć. * Zatrzasnął za sobą drzwi. Biegł do hotelu. Kolorowe plamki latały mu przed oczami, ból głowy narastał. Recepcjonista wręczył mu kolejny list i rzucił okiem na jego pobrudzone ubranie.

* Un autre grand accident? Zgłosiliśmy pańskie zaginięcie dziś rano o siódmej. Życzy pan sobie śniadanie do pokoju?

* Merci * podziękował, odbierając klucze.

List od Stephena był długi. Fredric przeczytał go kilkakrotnie.

Treść potwierdzała jego obawy. Popił dwa rogaliki filiżanką czarnej kawy, łagodząc nieco ból głowy.

Wziął prysznic, założył lekkie ubranie i tenisówki, po czym napisał kilka zdań na kartce papieru i włożył ją do koperty. Na kopercie umieścił nazwisko szefa policji. Wręczył ją portierowi razem z banknotem dwudziestofrankowym i wyjaśnił dokładnie, gdzie i kiedy ma ją dostarczyć. Potem poszedł na rynek.

Było wpół do dziesiątej.

Pomyślał, że zanim ruszy do akcji, poświęci godzinę na podsumowanie zdarzeń i przemyślenie kolejnych poczynań. Znalazł stolik pod ścianą naleśnikami i zamówił dzbanek herbaty. Nie pierwszy raz siedział w tym miejscu, obserwując plac i stoliki pod dębem. Odchylił głowę i powiódł wzrokiem wzdłuż ściany kościoła ku oknom w dzwonnicy. To punkt obserwacyjny Twarzy. Cztery okna w czterech kierunkach dają świetną widoczność. Zapewne nie mylił się, sądząc, że właśnie tam znajdował się obserwator z krótkofalówką. Przypomniał sobie walkie*talkie, które znalazł na komodzie w domu Marcela Oliveta. Olivet. Ciekawe, czy jego ciało wciąż leży na schodach do piwnicy. A może Twarz je usunęła? Póki policja o tym nie wie, to nie ma wielkiego znaczenia. Nadchodzące godziny o wszystkim rozstrzygną. Przynajmniej o tym, czy uda się uratować jedno życie.

Sączył herbatę przez zęby.

Dwóch mężczyzn przechodziło przez rynek. Rozpoznał jednego z nich: to monsieur Charmaque. Starszy pan spędzał mnóstwo czasu w tym miejscu. Na widok Fredrica przyspieszył kroku i zbliżył się do jego stolika. Wyraz jego twarzy mówił, że przynosi ważne wiadomości. Fredric nie zdążył nawet się z nim przywitać, bo Charmaque od razu przeszedł do rzeczy.

Policja aresztowała Nigela Merlota.

Charmaque mówił nieskładnie, Fredric zaproponował mu więc kieliszek wina na uspokojenie. W końcu poznał całą historię: Nigela Merlota od dawna podejrzewano o nielegalny wywóz z kraju francuskiej własności. Pod pojęciem „francuska własność” rozumiano kości i czaszki znajdowane w jaskiniach

i kradzione z cmentarzy. W Stanach Zjednoczonych ponoć istnieje rynek kolekcjonerski na tego typu przedmioty. Merlot zarobił sporo pieniędzy, ale policja w końcu go dopadła.

Profanacja grobów. Co za wstyd!

Fredric skinął głową i zabębnił palcami w blat stołu.

* Właśnie go przesłuchują * ciągnął Charmaque. * Założę się, że ten szatan ma inne sprawki na sumieniu. Nowe kości też mają wartość, nieprawdaż, Norwegu?

Fredric chrząknął.

* Uważam, że Merlot to głupiec i chciwy łajdak * stwierdził * ale nie morderca. Jeśli łączy go pan ze sprawą tajemniczych zniknięć, to chyba się pan myli. To znaczy jestem pewien, że pan się myli.

* Ależ, monsieur... * Charmaque aż uniósł się na krześle.

* Policja * przerwał mu Fredric * wie o wiele więcej, niż jest skłonna publicznie ujawnić. Nigel Merlot nie odegrał żadnej roli w tym wielkim dramacie, choć i jego wykroczenia trudno uznać za błahe. Niedługo, jak sądzę, poznamy prawdę. Dla wielu będzie szokująca. I Fredric wbił wzrok w swoją filiżankę.

* Wino, panie Charmaque, ma wiele właściwości, dobrze pan o tym wie. Niezliczone odmiany zapachu, smaku, barwy i mocy. Nie ma dwóch takich samych win, a wina pozornie identyczne mogą się różnie zestarzeć: jedne zamieniają się w krople ambrozji, inne w ocet. Wino może również współgrać z cechami ludzkiej osobowości; w winie odnajdujemy to, co nas pociąga w ludzkiej naturze. Wino odzwierciedla nas samych, uwydatnia nasze nastroje i pasje. Łagodny trunek łagodzi nasze uczucia, wino musujące ożywia nas i sprawia, że tryskamy energią. Właśnie w ten sposób od tysiącleci wino jest wiernie wspierającym nas towarzyszem. Jeśli jednak ktoś podważa jego filozofię, próbuje zdławić jego wielowiekową różnorodność i wtłoczyć do jednej kadzi, jeśli usiłuje zmienić podstawowe parametry procesu jego tworzenia, to może doprowadzić do tragedii. Tutaj, w St. Emilion, w jednym z najbardziej znanych winiarskich regionów tego świata, popełniono okrutne przestępstwo, które miało dać jego sprawcy władzę nad winem i człowiekiem. Taki półgłówek jak Nigel Merlot nie byłby zdolny dokonać podobnego czynu. Psychopata i desperat też nie. Proszę zapamiętać moje słowa, monsieur Charmaque, wkrótce prawda wyjdzie na jaw w całym swym okropieństwie.

Stary winiarz odchylił się w krześle i zaczął studiować twarz Fredrica.

* La Nowege * rzekł w końcu * to zimny kraj. Brak winorośli, dużo książek. Jest pan młody, ale wiele pan czytał i sprawia pan wrażenie człowieka zdecydowanego. Nie tylko wino zajmuje pańskie myśli. Czy może pan wytłumaczyć staremu vigneron, co się dzieje w naszym spokojnym, pięknym miasteczku?

Fredric potrząsnął głową i chwycił filiżankę herbaty w obie dłonie.

* Monsieur Charmaque * powiedział * jestem zmęczony, nie tylko myśleniem. Proszę nie pytać, czas wszystko pokaże. Teraz chcę chwilę posiedzieć w samotności. Muszę się do czegoś przygotować.

Staruszek wstał i uściśnął dłoń Fredrica.

* D'accord. Życzę panu powodzenia.

Powodzenia. Charmaque wyrzekł to słowo z podniosłą powagą.

Genevieve żyje. Fredric miał mocne przekonanie, że dziewczyna żyje.

ATwarz wie, że on sam wyszedł cało z opresji, więc jest zdesperowana. Zachodzi uzasadniona obawa, że teraz Twarz porzuci taktykę aranżowanych wypadków na rzecz jakiejś bardziej bezpośredniej i niezawołowanej metody. Sama przecież znalazła się pod presją, balansuje na skraju przepaści.

Nigel Merlot. Jakiś czas temu wykreślił jego nazwisko z listy, teraz mógł usunąć pozostałe.

Poza jednym. Czas ślepych tropów minął. Zbyt długo błądził po omacku.

Zapłacił i ruszył Rue de la Cadene do apteki, gdzie nabył buteleczkę kropli anyżowych.

Potem skręcił w Rue des Giron*dins, w kierunku małego baru w „Restaurant Germanie”.

Powitał go ten sam młody barman.

* Wciąż nam z przyjaciółmi nie minęła ochota do żartów * wyjaśnił Fredric. * Mogę jeszcze raz skorzystać z tylnego wyjścia?

Chłopak pokiwał ochoczo głową i Fredric poszedł na zaplecze, zostawiając na kontuarze banknot dziesięciofrankowy. Szybko przemierzył wąskie zaułki prowadzące do północno*zachodniej części miasteczka, do bramy z czasów rzymskich. Przeskoczył niski kamienny murek i znalazł się na terenie winnicy Chateau Beausejour Becot. Zatrzymał się i rozejrzał wokół, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Wziął namiar na zagajnik na horyzoncie i ruszył biegiem przez pola winorośli. Dotarłszy do lasu, usiadł na pieńku, ciężko oddychając. Był niemal pewien, że udało mu się niepostrzeżenie wydostać z miasteczka. Minął las, widząc przed sobą zabudowania wspaniałej posiadłości Grand*Mayne, po czym skręcił w południowo*za*chodnim kierunku. Na szczęście rzędy winorośli biegły w tę samą stronę, więc nie musiał przeciskać się między krzakami. Biegł, aż mu zabrakło tchu. Kiedy wreszcie znalazł się w znacznej odległości od St. Emilion, mógł już zwolnić kroku. Przeszedł koło zabudowań kolejnych posiadłości i dotarł do Chateau Grace Dieu. Tym razem żaden pies nie stanął na jego drodze. Podszedł do drzwi głównego budynku i zapukał. Po dłuższej chwili zjawiała się jakaś starsza kobieta. Fredric domyślił się, że to babka Genevieve.

* Czy monsieur Brisson jest w domu? * spytał, po czym dodał: *Jestem Norwegiem, znajomym Genevieve.

Kobieta była szczupła, jej twarz wciąż nosiła ślady minionej urody. Odwróciła się i krzyknęła coś w głąb domu. Na progu stanął pan Brisson. Fredric od razu dostrzegł cierpienie malujące się na jego obliczu. Był poszarzały, miał przekrwione oczy z braku snu.

* Proszę wejść, monsieur * szepnął.

Wprowadził Fredrica do niewielkiego salonu i poczęstował go kieliszkiem armaniaku.

* Współczuję panu i pańskiej rodzinie * powiedział Fredric. * Jak panu wiadomo, byłem ostatnią osobą, która rozmawiała z Genevieve, nie licząc jej współpracowników z apteki.

Monsieur Brisson wolno pokiwał głową.

* Opowiem panu całą historię od początku, ale zanim zacznę, chcę oświadczyć, iż wciąż mam nadzieję, że pańska córka żyje i wróci cało do domu. Jej zniknięcie różni się od pozostałych. Właściciel winnicy zmarszczył czoło, a jego oczy nieco się ożywiły. Pociągnął szybko kilka łyków armaniaku.

Fredric nie spieszył się. Opowiedział o przyjeździe do St. Emilion, o swoim zawodzie i zainteresowaniach, ze szczegółami opisał swoje hobby. Zdał panu Brissonowi relację z wizyty w grotach niedaleko Guitres i przyznał, że Genevieve wie o wszystkim, co mu się przytrafiło. Na koniec wyjaśnił, w jaki sposób poskładał fragmenty tej ponurej układanki w jedną całość, i wyjął list od Stephena Pratta. Brisson przeczytał list i przerażony upuścił go na podłogę.

* Uważa pan, że... Przecież autor tego listu... * szeptał. * To... straszne, a Genevieve... Nie, nie, to niemożliwe! * Zasłonił dłońmi twarz.

* Proszę się uspokoić * odrzekł Fredric. *Jak już mówiłem, zniknięcie pańskiej córki ma inny charakter. Chcieli użyć jej jako przynęty, wyprowadzić mnie z równowagi. Sądzili, że łatwiej mnie w ten sposób dostaną, i prawie im się udało. Wciąż jednak żyję i na dodatek o wszystkim wiem.

* To straszne * jęknął pan Brisson.

* Tak * przyznał cicho * to straszne. * Jakiś czas siedzieli w milczeniu, po czym Fredric podniósł się z miejsca.

* Udzieliłem policji pewnych wskazówek, ale zamierzam wyjaśnić parę spraw, zanim przedstawiciele prawa wkroczą do akcji. Kiedy osad się unosi, niewiele można dostrzec. Czuję się bezpieczniej, mając świadomość, że pan o wszystkim wie, i mam do pana prośbę: proszę zadzwonić na komisariat o trzeciej czterdzieści pięć i przekazać policji tę samą wiadomość,

którą zostawiłem w recepcji. Tak na wszelki wypadek. Ludzie, z którymi mamy do czynienia, nie żartują. * Zawahał się. * I jeszcze jedno, panie Brisson. Potrzebne mi są praktyczne informacje na temat les cuves, kadzi, w których fermentuje wino. Czy mógłby pan pokazać mi swój dział produkcji?

* Z przyjemnością, jeśli tylko moja wiedza może okazać się pomocna * odrzekł winiarz. Wyszli razem z domu i przecięli dziedziniec, kierując się do długiego, niskiego budynku. Monsieur Brisson otworzył bramę i przekreślił kontakt. Wzdłuż jednej ze ścian stało pięć betonowych zbiorników, wysokich na trzy metry. Szerokość i głębokość zbiorników była podobna, mniej więcej dwa metry. Każdy z nich wyposażony był w kran umocowany tuż nad posadzką. Z boku pierwszej kadzi zamontowano pompę; jeden wąż łączył ją z kranem, drugi zaś prowadził na górę zbiornika. Skorzystali z drabiny, która pozwalała wspiąć się na betonowego kolosa.

Fredric zajrzał przez okrągły luk na szczycie kadzi i ujrzał gęstą masę fermentującego moszczu. Brisson wyjaśnił, że winogrona zbierają się na powierzchni, a dzięki pompie i węzom można wymusić cyrkulację. Za kilka godzin pompa zostanie podłączona do kolejnego zbiornika z podobną zawartością.

Fredric obejrzał dokładnie zawór. Miał może pięćdziesiąt centymetrów średnicy i zamykał hermetycznie kadź.

* Fermentacja w tych zbiornikach trwa około dwóch tygodni, prawda? * spytał.

* Oui * odrzekł monsieur Brisson * ale czasami trochę dłużej. To zależy od jakości winogron.

* Skąd wiadomo, że przebiega prawidłowo?

Winiarz wziął chochlę z długim uchwytem, zanurzył ją w moszczu, zamieszał i pobrał próbkę.

* Proszę powąchać * powiedział. * Barwa świadczy o tym, że moszcz fermentuje. Jest szaro*brunatny, i właśnie taki powinien być. Drożdże są lżejsze niż masa i wypływają na powierzchnie, dlatego używamy pompy. By stymulować obieg, by alkohol tworzył się równomiernie w całym zbiorniku.

* A więc drożdże unoszą się na powierzchni? Jeśli nie zastosuje się pompy, na wierzchu zbierze się kożuch?

* No właśnie * potwierdził monsieur Brisson.

Fredric zszedł z drabiny i ruszył do wyjścia. Zobaczył to, co chciał. Brisson podążył za nim i zamknął bramę.

* Jak najszybciej dotrzeć do Chateau Leo*Ponet polami?

* Najlepiej przejść kilkaset metrów drogą na południe. Jest tam mała gospoda, potem proszę skrócić na wschód. Minie pan dwie posiadłości, zanim dotrze pan do lasu otaczającego Chateau Leo*Ponet.

* Merci * podziękował Fredric. Stali chwilę, milcząc. * Merci * powtórzył. * Do zobaczenia.

Monsieur Brisson chwycił jego dłoń i uściśnął z całych sił.

* Życzę powodzenia, monsieur. Niech Bóg ma pana w opiece.

Fredric ruszył zgodnie z instrukcją wiejską drogą i rzeczywiście po chwili doszedł do gospody. Na jej widok poczuł, że jest głodny. Nie ruszę do walki z pustym żołądkiem, pomyślał.

Spytał właściciela gospody o godzinę i uznał, że ma jeszcze trochę czasu. Zamówił potrawkę z zająca i małą butelkę Chateau Corbin rocznik 1979. Kiedy zjadł, a w kieliszku pozostała resztką wina, poczuł zadziwiający przypływ sił, który zmył przykre doświadczenia ostatnich godzin. Wyjął kryształową gwiazdę, przyłożył ją do oka i podniósł kieliszek. Światło przy krawędzi miało niezwykłą barwę, ani brązową, ani czerwoną, ani niebieską. Kolor był inny, trudny do nazwania. I pulsował. Czy to może być jakiś znak? Przypomniał sobie, kiedy po raz ostatni pił Chateau Corbin, i pokiwał głową. Kryształ znów potwierdzał jego przypuszczenia.

Droga na wschód przez pola winorośli nie sprawiła mu żadnych trudności. Minął w bezpiecznej odległości pierwszą posiadłość, Cormey*Figeac, i znalazł się nad szerokim strumieniem. Skreślił na północ i po chwili trafił na most. Był środek dnia, na niebie zbierały się deszczowe chmury. Zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu, by rozejrzeć się po okolicy. Na północy dostrzegł wieżę kościoła St. Emilion. Przed sobą w pewnym oddaleniu zobaczył lasek otaczający zabudowania Chateau Leo*Ponet. Zagryzł wargi i zacisnął pięści.

Dotarł do lasu, zanim spadły pierwsze krople deszczu. W parę sekund później rozszalała się ulewa i Fredric musiał poszukać schronienia pod rozłożystym liściastym drzewem. Nie mógł jednak zbyt długo tu tkwić, musiał trzymać się planu. Nie mając wielkiego wyboru, wychynął spod liści i w jednej chwili przemókł do suchej nitki. Deszcz nasączył poszycie, Fredric brodził po kostki w błocie. „Zewnętrzne trudności wyostrzą twe wnętrze jak klingę”, powiedziałby Tob. Wnętrze Fredrica było jednak przemarznięte. Potknął się i wpadł do rowu. Drapiąc się na górę, zauważył czworokątne kamienne bloki. Wpadając na nie, starł z nich mech i odsłonił dwie duże skalne płyty przedzielone szczeliną. Z jej wnętrza dobiegał zapach wilgoci. Otwór był na tyle szeroki, że dorosły człowiek bez trudu mógł się przez niego przecisnąć.

Galloromańskie ruiny, pomyślał. Ani policja, ani właściciel posiadłości nie mieli pojęcia o ich istnieniu.

Przepchnął się przez szczelinę i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu. Obmacał śliskie ściany i uznał to miejsce za wyśmienitą kryjówkę.

Po wyjściu ze skalnego schronienia rozejrzał się, rejestrując układ drzew. Potem wyjął butelkę z kroplami anyżowymi i wylał je dokoła szczeliny, po czym pospiesznie ruszył dalej.

Dotarł do zabudowań. Przed głównym domostwem stała furgonetka. Fredric trzymał się z daleka * zamierzał dokładnie przyjrzeć się całej posiadłości, zanim przystąpi do działania. Wyremontowany budynek, w którym wyrabiano wino, był zamknięty na cztery spusty; bez klucza nie mógł dostać się do środka. Na terenie winnicy były jeszcze dwa budynki: szopa, a może stajnia, i dom dla mditre de chai i jego rodziny, oba nie nadające się do zamieszkania ani przez ludzi, ani zwierzęta. Mistrz piwnicy w Chateau Leo*Ponet, pan Ribeira, mieszkał zapewne w którymś ze skrzydeł głównego domu.

Fredric wycofał się do lasu i zataczając szeroki łuk, dostał się na tył domostwa. Deszcz zelżał, ale zimny wiatr przenikał go do szpiku kości. Musiał wziąć się w garść, by nie szczekać zębami.

Do głównej bryły domu mieszkalnego dobudowano z przodu i tyłu dwa skrzydła, przez co budynek miał kształt litery H. Korzystając z osłony drzew, Fredric dostał się aż pod samą ścianę. Większość okien na parterze zasłonięto okiennicami, natomiast część okien na piętrze głównego budynku i skrzydeł była otwarta. Zaczął im się przyglądać, kiedy dobiegł go przeraźliwy krzyk i słowa wypowiedziane łamiącym się głosem:

* Nie, nie! Nie chcę więcej, zostaw mnie w spokoju!

Głos należał do Genevieve Brisson.

10

Fredric chwytając drabinę, hiszpańska rzeka
nie jest hiszpańską rzeką, i stosuje
sprytny fortel z wykorzystaniem
kropli anyżowych

Mrowienie zaczęło się w stopach, potem przez łydki i uda dotarło do brzucha i klatki
piersiowej, a w końcu do głowy. Uczucie zimna raptownie go opuściło, czuł, że jego ciało
gotuje się, wrze, a dłonie zaciskają się w pięści.

Tak jak przypuszczał, Genevieve żyła, ale ktoś zadawał jej ból!

Wbiegł z powrotem między drzewa i spojrzał w górę w kierunku okna, z którego rozległ się krzyk. Było na piętrze drugiego skrzydła budynku, leżącego w pewnym oddaleniu od lasu. Musisz dostać się do środka, Fredricu!, syknął. Krople deszczu ściekały mu po czole, kapały z nosa; otrząsnął się jak podrażniony rumak i dwukrotnie kichnął.

W pewnej odległości od ściany budynku wznosił się ogromny wiąz. Fredric podszedł bliżej i przyjrzał się drzewu; dwa potężne konary wyrastały z pnia na wysokości drugiego piętra, lecz odległość gałęzi od okna przekraczała dwa metry.

Wycofał się do lasu i pobiegł w kierunku szopy. Okno na tylnej ścianie było w żalonym stanie. Fredric bez trudu wślizgnął się do środka i znalazł się pośród sterty starych narzędzi i bezużytecznych pojazdów pokrytych kurzem i pajęczynami. Nie było tu jednak tego, czego szukał. Przeszedł do drugiego pomieszczenia, które kiedyś musiało służyć za stajnię, choć zapach zwierząt nie był już wyczuwalny. W najdalszym kącie dostrzegł drabinę przystawioną do otworu w poddaszu, gdzie dawniej składowano siano.

Była stara, ale wyglądała na solidną i miała co najmniej trzy metry długości. Zdołał przeciągnąć ją przez okno, po czym oparłszy ją na ramieniu, skoczył z powrotem między drzewa.

Zwlekał z rozpoczęciem akcji. Ryzyko, że ktoś go zobaczy, było duże, więc musiał mieć baczenie na każdy ruch wewnątrz budynku. Krzyk, wołanie Genevieve dobiegło z okna w najbardziej oddalonym skrzydle. Omiótł badawczym spojrzeniem pozostałe okna, ale nie dostrzegł w nich znaku życia.

Czekać czy ruszyć samotnie do ataku? Wybrał tę drugą ewentualność: pewne sprawy wymagały rozwiązania, zanim zjawi się policja.

Ile osób jest wewnątrz domu? Poza monsieur Cardille'em pewnie jeszcze jego hiszpański maitre de chai, lecz, kto poza tym? Nie ma czasu na spekulacje, trzeba działać.

Błyskawicznie podbiegł do drzewa i oparł drabinę o pień. Wspiął się na pierwszy konar i wciągnął drabinę za sobą, wyłamując kilka suchych gałązek. Wstrzymał oddech i znieruchomiał na chwilę, po czym wdrapał się jeszcze wyżej, aż do poziomu drugiego piętra. Znowu wciągnął drabinę na górę, po czym położył ją na konarze rosnącym w kierunku ściany. Konar wyglądał nadzwyczaj solidnie, więc usiadł na nim okrakiem i zaczął przesuwając się wraz z drabiną w stronę okna. W końcu uznał, że znalazł się w odpowiednim miejscu. Drabina była ciężka, musiał użyć całej swej siły i zręczności, by przerzucić jej drugi koniec na szeroki parapet.

Dwa razy chybił. Drabina zakołysała się niebezpiecznie, omal nie zrzucając go z drzewa. Za trzecim razem udało mu się zaczepić końcem drabiny o parapet.

Wysiłek rozgrzał go, słone krople potu zmieszały się z deszczem i zaczęły spływać mu do oczu.

Wczołgał się na czworakach na drabinę i spojrzał w dół; upadek z tej wysokości nie powinien zakończyć się tragicznie. Bez większego trudu dotarł do parapetu i zaczął oglądać okno.

Typowy francuski system: klamka na środkowym słupku otwierała oba skrzydła. W każdym z nich umieszczono osiem małych szyb; jedna nosiła ślady pęknięcia.

Nacisnął ją ostrożnie i szyba poruszyła się. Nacisnął mocniej, czując, jak odrywa kawałki kitu. Wreszcie mógł wsunąć palec wskazujący w szparę. Skaleczył się, ale nie zważając na ból, pociągnął szybę ku sobie. Rozległ się trzask i kawałki szkła spadły na trawę.

Czy ktoś go usłyszał? Znieruchomiał na dłuższą chwilę, ale nic się nie działo. Wyssał krew z palca, wsunął ramię przez otwór i z niejakim trudem dosięgnął klamki. Przekręcił ją i skrzydła okna otworzyły się. Fredric wślizgnął się do środka.

Pokój był całkowicie pusty, pozbawiony mebli, na ścianach zwisały smętne strzępy tapety, pokrytą kurzem podłogę znały mysie odchody.

Wciągnął drabinę do środka i zamknął okno. Teraz nikt nie odkryje, że nieproszony gość dostał się do domu. Stłumił kichnięcie i mruknął z zadowoleniem.

Spokojnie przyjrzał się drzwiom, zanim zdecydował się chwycić za klamkę. Nacisnął ją, ale drzwi nie ustąpiły * były zamknięte na klucz. Nieźle, Drum, znalazłeś się w zamkniętym pokoju. Wyważanie drzwi sprowadziłoby mu na kark wszystkich mieszkańców tego domu, nawet tych wyposażonych w aparaty słuchowe.

Obejrzał powierzchnię ścian. Tu i ówdzie dostrzegł gwoździe, pozostałość po lepszych czasach, gdy ściany były ozdobione obrazami. Zaświtał mu pewien pomysł.

Wybrał odpowiedni gwóźdź i wyginając go na wszystkie strony, wyciągnął ze ściany. Potem wsunął gwóźdź w szczelinę i oparł na zapadce zamka. Szpara okazała się zbyt wąska, by podważyć zapadkę, zaczął więc wydłubywać gwoździem kawałki drewna wokół zamka. Drewno było miękkie i robota szła sprawnie, ale gwóźdź ranił mu dłoń. Oderwał kawałek koszuli i owinał nim główkę gwoźdź, by ułatwić sobie zadanie.

Mijały minuty. Fredric pracował zawzięcie, poszerzając szparę wokół zamka. Kiedy uznał, że wystarczy, wsunął gwóźdź pod zapadkę i popchnął w bok. Zapadka przesunęła się odrobinę i znów cofnęła. Spróbował jeszcze raz, ale z równie miernym skutkiem. Wyciągnął kolejny gwóźdź ze ściany i tym razem mu się udało: przytrzymując zapadkę jednym gwoździem, pchał ją drugim, aż wreszcie drzwi ustąpiły.

Odetchnął głęboko. Zabawa we włamywacza zabrała mu mnóstwo czasu.

Uchylił ostrożnie drzwi i wyjrzał.

Z początku niczego nie widział, bo korytarz spowijała ciemność. Kiedy jego wzrok przyzwyczał się do mroku, zobaczył wąską smugę światła w drugim końcu korytarza prowadzącego do głównej części domu.

Ruszył wzdłuż ściany, zatrzymując się co chwila i nasłuchując, lecz z domu nie dobiegały żadne odgłosy. Na końcu korytarza były drzwi, teraz lekko uchylone. Pchnął je. Zawiasy zaskrzypiały złowieszczo i Fredric znieruchomiał. Rozległy się kroki, ktoś szedł po schodach! Fredric błyskawicznie zawrócił do pokoju, przyklnął za sobą drzwi i przyłożył do nich ucho. Kroki ucichły, ale usłyszał jakieś głosy. Zadanie, które go czekało, wydało mu się nagle równie łatwe jak rozbicie granitowej płyty dziecięcą grzechotką. Nie było już jednak odwrotu. Zastanawiał się, która jest godzina.

W końcu odważył się ponownie wyjrzeć na korytarz. Znów ruszył w kierunku drzwi. Zastał je w takiej pozycji, w jakiej je zostawił. Wsunął się w szparę.

Znalazł się w holu, do którego prowadziły podwójne schody; po przeciwnej stronie znajdowało się wejście do drugiego skrzydła budynku. Fredric przywarł do ściany, trzymając się z dala od podestu. Z dołu dochodziły jakieś głosy. Dwaj mężczyźni nie rozmawiali po francusku, ledwie mógł rozróżnić słowa.

„... havera urna coisa, senhor Ribeira * mulher bebe * tenho me examinado... ”.

To był portugalski.

Fredric uśmiechnął się złośliwie. Pan Cardille mówił, że to monsieur Ribeira, mditre de chai, Hiszpan. Tak właśnie powiedział! Ribeira to portugalski wyraz oznaczający „rzekę”, podobne słowo po hiszpańsku brzmiałoby Rivera.

Po chwili głosy ucichły w oddali.

Fredric minął schody i wszedł do drugiego skrzydła domu. Ta część wyglądała na zamieszkaną, na suficie wisały żarówki. Fredric porzucił wszelkie środki ostrożności, podszedł do pierwszych drzwi i je otworzył. Była to sypialnia, o czym świadczyło niezastłane łóżko. Kolejne drzwi były zamknięte, przeszedł więc do następnych. Widok, który ujrzał, przekroczywszy próg, sprawił, że zaczął gwałtownie łapać powietrze jak ryba wyrzucona na ląd.

Na łóżku w kącie leżała Genevieve. Jej nienaturalnie wykręcone ciało było przywiązane pasami w kostkach, na udach i na brzuchu; głowa zwisała poza krawędź łóżka, jej długie

włosy zamiatały podłogę. Miała szeroko otwarte oczy, jęczała i mamrotała, oddychając płytko. Wyciągnięta w górę lewa ręka dziewczyny była przymocowana do jakiegoś uchwytu.
* Genevieve! * szepnął. Nie zareagowała.

Na taborecie obok łóżka leżały dziwne przedmioty: plastikowy wąż, gumowa pompka, jakieś urządzenia pomiarowe i pojemnik do połowy wypełniony cieczą przypominającą kolorem czerwone wino.

Fredric podbiegł i opadł na kolana. Ujął głowę Genevieve i położył ją na łóżku. Dziewczyna szarpnęła się i spojrzała na niego pustym wzrokiem.

* Genevieve * powtórzył. * Co oni ci zrobili?

Jej oddech pachniał winem, ten sam zapach dochodził z plastikowego pojemnika. To młode wino, tegorocznej produkcji. Genevieve nie sprawiała jednak wrażenia pijanej, jej wzrok był raczej ożywiony, niemal dziki.

Drżącymi dłońmi uwolnił ją z pasów. Dziewczyna zerwała się i spojrzała na coś ponad jego ramieniem.

* Może zajrzysz do mnie jutro? Możesz już odejść, ale zostaw buty. * Mówiła szybko, jej głos brzmiał twardo.

* Spójrz na mnie, Genevieve, spójrz na mnie! To ja, Fredric, przyszedłem po ciebie. *

Bezskutecznie usiłował skupić na sobie jej wzrok.

Dziewczyna roześmiała się głośno.

* Cicho, proszę cię, bądź cicho! Oni nie wiedzą, że tu jestem. Chodź ze mną! * Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Poszła za nim bez sprzeciwu, chichocząc, jakby brała udział w ekscytującej zabawie. Przed wyjściem na klatkę schodową Fredric zatrzymał się, nasłuchując. Niczego nie usłyszał, więc poprowadził dziewczynę do ciemnego korytarza. Tam Genevieve zatrzymała się gwałtownie, ciągnąc go za ramię.

* Nie zdjąłeś butów! Idziesz w butach! * Patrzyła na jego obute stopy takim wzrokiem, jakby Fredric dopuścił się niesłychanego występku. Sama szła boso.

* Później, Genevieve, później zdejmę buty. Chodź! * Wciągnął ją do pokoju, w którym zostawił drabinę.

Odetchnął głęboko. Niełatwo będzie bezpiecznie sprowadzić ją na ziemię w takim stanie. Aby jej nie prowokować, zdjął buty i postawił je w kącie. Genevieve uśmiechnęła się.

* Tylko nocą * powiedziała * możemy z nimi rozmawiać.

* Z kim?

* Z butami * odrzekła, chichocząc.

To szok, pomyślał Fredric, jest w szoku. Myśli gwałtownie przelatywały mu przez głowę. Co oni z nią zrobili?

* Genevieve * powiedział, podchodząc bliżej i głaszcząc ją po policzku. * To ja, Fredric.

Postaraj się zrozumieć moje słowa: musimy stąd uciekać, bo nas zabiją. Musimy wdrapać się na to drzewo i zejść na ziemię. Mam drabinę, która sięga do konarów. Zaraz ci pokażę! To będzie trudne, Genevieve, ale damy sobie radę. Pomogę ci. Rozumiesz mnie, pojmujesz, że musimy być ostrożni? * Patrzył prosto w jej oczy, lecz dziewczyna wciąż uciekała wzrokiem. W pewnej chwili pokazała palcem na jego kolano i znów zachichotała.

* Duży guz * powiedziała.

Jego kolano wyglądało całkiem normalnie, ale Fredric pokiwał głową.

Sznur. Powinien znaleźć sznur i opuścić ją na ziemię. Mógłby przeszukać pokoje, może przy odrobinie szczęścia znajdzie coś odpowiedniego.

* Genevieve. Poczekaj tu na mnie. Nie wychodź z pokoju, zaraz wracam. * Spojrzał na nią z powątpiewaniem. * Buty * dodał. * Musisz tutaj zostać i pilnować moich butów.

Przytaknęła ochoczo, a Fredric wymknął się za drzwi.

Wszystkie pokoje w tym korytarzu były zamknięte, poza jednym, w którym znalazł tylko kilkanaście skrzynek wina Chateau Leo*Ponet rocznik 1970. Wziął jedną butelkę i wsunął ją za koszulę. Jeśli wyjdą cało z tej opresji, wino przywróci mu siły.

Znalazł Genevieve tam, gdzie ją zostawił; stała jak zahipnotyzowana, wpatrując się w jego buty.

* Świetnie. * Wysunął drabinę przez okno i oparł ją o konary drzewa. Potem podprowadził dziewczynę do okna. I wtedy stał się cud: Genevieve lekko i zgrabnie wskoczyła na parapet, przeszła na czworakach po drabinie i usiadła na gałęzi. A potem machnęła do niego i zachichotała.

Ruszył za nią, a kiedy dotarł do drzewa, usiadł na gałęzi poniżej. Pociągnął drabinę do siebie. Za późno dostrzegł swój błąd: drabina trafiła dziewczynę w stopę i Genevieve straciła równowagę. Fredric rzucił się, by ją przytrzymać, a w tym momencie drabina runęła w dół, łamiąc mnóstwo suchych gałęzi, i z łoskotem uderzyła w ścianę domu.

Wewnątrz budynku rozległo się wściekłe ujadanie psa.

Fredric znieruchomiał na ułamek sekundy, po czym chwycił Genevieve za rękę i zaczął błyskawicznie zsuwać się w dół. Na szczęście nie stawiała oporu i już po chwili znaleźli się na ziemi. Słyszał podniecone głosy i krzyki. Pociągnął Genevieve w kierunku lasu; kątem oka dostrzegł wypadającego zza narożnika domu psa. Pędzili przez gęste i wilgotne poszycie, a pies był coraz bliżej. Fredric kierował się w stronę podziemnej kryjówki. Czworonożna bestia była już tuż za nimi, kiedy zobaczył znajome drzewa. Rzucił się do rowu, ciągnąc dziewczynę za sobą. Przepisnęli się przez szczelinę i znaleźli w zimnej, wilgotnej norze.

Krople anyżowe spełniły swoje zadanie. Nie ma psa, którego nie pociągałby zapach anyżu. Czując jego woń, każdy pies ochoczo porzuca trop.

Genevieve drżała, więc Fredric otoczył ją ramieniem. Dziewczyna poraniła sobie nogi, biegnąc boso. Wprawdzie on miał skarpetki, ale też czuł nieprzyjemne swędzenie na podeszwach stóp.

* Nie bój się * szepnął * niedługo będziemy bezpieczni. Odsunęła się i odpowiedziała głośno:

* Wszyscy macie guzy. Duże guzy pod kolanami.

* Cicho! Nie mów tak głośno, bo nas usłyszą. Oni chcą nas skrzywdzić, Genevieve!

Słyszał trzask łamanych gałązek i głosy dwóch ludzi.

„Hector!”, krzyczeli na psa, który wyraźnie był zajęty poszukiwaniem źródła anyżowego zapachu. „Hector, para casal”.

Portugalski. A więc to musi być Ribeira.

Mężczyźni kręcili się w pobliżu i Fredric uznał, że to tylko kwestia czasu, zanim zostaną odkryci. Szczelina i podziemna komora były widoczne z odległości paru metrów. A oni przecież dosłownie zapadli się pod ziemię.

Wyjął butelkę zza koszuli i wcisnął korek do środka. Pociągnął kilka potężnych łyków i poczuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. Podał butelkę Genevieve. Wzięła ją, jakby to był jakiś nieznanym przedmiot, i nie podniosła jej do ust. Fredric odebrał jej butelkę i wlał w siebie kolejną porcję wina. Usiłował zebrać myśli.

Wygląda na to, że znaleźli się w pułapce. Mógłby zostawić tu Genevieve, wyjść na zewnątrz i odciągnąć uwagę napastników od podziemnego schronienia. Być może zdołałby wydostać się niepostrzeżenie z lasu, dobiec do najbliższych zabudowań i sprowadzić pomoc. Musi działać szybko, zanim ich wykryją.

* Posłuchaj, Genevieve! * Chwycił ją za ramiona. * Guzy pod kolanami znikną, jeśli przypilnujesz moich skarpetek. * Zdjął skarpetki i położył je przed dziewczyną.

* Tak, tak, tak * odpowiedziała zachwycona. Fredric widział, że trzęsie się z zimna.

* Nie możesz zostawić moich skarpetek, musisz tutaj zostać, póki nie wrócę. Rozumiesz?

* Żadnych guzów?

* Żadnych guzów * zapewnił ją * ale ludzie na zewnątrz mają duże guzy. Nie chcę, by znaleźli ciebie i skarpetki. Musisz zachowywać się bardzo cicho i nie ruszać się z miejsca. Podszedł do szczeliny.

* Twoje skarpetki są ciepłe * odrzekła. * Ogrzeję się.

* Tak, są ciepłe * szepnęła i wyślizgnęła się na świat. Przeczłogał się kilka metrów w rowie, po czym podniósł

się nieco i rozejrzał wokół. Słyszał jakieś odgłosy z lewej strony, ale niczego nie dostrzegł. Nieco dalej wznosiło się rozłożyste drzewo; jego konary wyrastały z pnia blisko ziemi.

Fredric wyskoczył z rowu i popędził do drzewa. Przytulił się do pnia, szukając wzrokiem psa. Który kierunek ma wybrać? Najbliższa winnica leży po drugiej stronie posiadłości; żeby się do niej dostać, musiałby

minąć podjazd przed domem. Uznał jednak, że to najlepsze rozwiązanie. Jego prześladowcy przeszukują teren po tej stronie zabudowań. Spodziewają się ujrzeć go na otwartej przestrzeni pól prowadzących do Chateau Grand*Mayne i zapewne tam trzymają straż.

Wybrał kolejne drzewo i rzucił się przed siebie z dzikim wrzaskiem, by odciągnąć uwagę goniących od Genevieve. Poślizgnął się i upadł, boleśnie ocierając sobie łokieć, lecz zaraz zerwał się i znów popędził przed siebie. Jego ciało pokryło się błotem, posklejane włosy przesłaniały mu widok. Za jego plecami rozległo się szczekanie psa * najwyraźniej usłyszeli jego krzyk.

Fredric biegł do drzewa, rozlewając za sobą krople anyżowe.

Zabudowania chateau leżały teraz na prawo od niego. Fredric wślizgnął się pod jakiś krzak, by złapać oddech. Czy Genevieve posłuchała jego rad? Zabiją ją, jeśli ją znajdą, tego był pewien. Genevieve za dużo wie.

On też wie wszystko. Prawie wszystko. Wykrzywił twarz w grymasie determinacji i nienawiści. Nie czuł bólu fizycznego ani zimna, jedynie pragnienie, by dojść do celu, do końca drogi.

Usłyszał z prawej strony kroki na zwirowej ścieżce. Ilu ich jest? Leżał spokojnie, nasłuchując, aż kroki oddaliły się. Pies zapewne wciąż oddawał się poszukiwaniom ponętnego anyżowego zapachu.

Rozsunął liście. Przed nim był podjazd, otwarta przestrzeń szerokości mniej więcej dwudziestu metrów, którą musiał przebyć. Zerwał się do biegu i niezauważony przez nikogo dotarł do rosnącego po drugiej stronie cyprysu.

Las wokół niego był cichy, słychać było jedynie miarowy dźwięk kropli deszczu spadających z liści. Pachniały kasztany, zgniłe żołądki, ziemia * bardzo silny bukiet.

Wyjął z kieszeni kryształową gwiazdę i przyłożył do oka. Nie przedostawała się przez nią ani jedna drobina światła,

kryształ był czarny, pozbawiony blasku. Fredric nigdy go takim nie widział.

Usiłował ocenić odległość do najbliższej winnicy * zapewne nie więcej niż paręset metrów od skraju lasu. Po tej stronie domu drzewa nie rosły tak gęsto, od pól winorośli dzieliło go może ze sto metrów. Zaraz będziesz bezpieczny, Drum, pomyślał, i sprowadzisz pomoc dla Genevieve, która pilnuje twoich skarpetek. I boi się guzów pod kolanami. Zaciśnął zęby z wściekłością, kiedy zdał sobie sprawę, co jej zrobili.

Wybrał kolejne drzewo i zebrał się do biegu. W tej samej chwili jakaś ciemna postać rzuciła się na niego i poleciał twarzą w błoto.

Usiłował wstać, lecz uderzenie w głowę spowodowało pojawienie się fajerwerków iskier przed oczami. Z jękiem przewrócił się w błoto. Nie stracił świadomości, choć cios był potężny, ale zamknął oczy, udając nieprzytomnego. Ktoś złapał go za stopę i wyciągnął na zwirową ścieżkę. Usłyszał głos:

* Jodo, aquil Tutaj. Dopadłem go.

Fredric nie odważył się otworzyć oczu. Po chwili dobiegł go kolejny zasapany głos:

* Muito bon, Antonio, tylko go nie zatłucz na śmierć. Sen*hor chce go żywego. Był sam, nada mais?

* Si, si, sole. Wygląda jak zmokła nutria, ledwie dycha. Nie wałęnałem go mocno, więc nie wiń mnie, jeśli nie żyje.

Fredric usiłował pozbyć się migotliwych plamek, które tańczyły mu pod powiekami. Chyba nie zauważyli, że był z Genevieve. To dobrze, bo znaczy, że dziewczyna jest uratowana. Zwisiał jak przebita dętka, kiedy dźwigali go w stronę domu. Tam wciągnęli go do toalety, zostawili między ścianą a muszlą klozetową i zamknęli drzwi, gasząc światło. Odór był tak silny, że zanim zdążył się opanować, kichnął trzy razy, co spowodowało kolejny wybuch sztucznych ogni przed oczami. Tym razem myślał, że naprawdę zemdleje.

Przetarł dłonią twarz, usuwając błoto, po czym rozejrzał się wokół. Znalazł rolkę papieru toaletowego. Oczyszczył dokładnie twarz, przetarł poranione podeszwy stóp, zużywając cały zapas papieru. Resztki wrzucił do muszli, co pozwoliło stłumić nieprzyjemną woń.

A więc jest ich dwóch plus monsieur Cardille. Potrzebują go żywego, ale potem z pewnością zabiją. Jak uzyskać nad nimi przewagę?

Nie miał do dyspozycji żadnych narzędzi, takich jak na przykład ciężki karabin maszynowy. Gdyby miał karabin maszynowy, nafaszerowałby ołowiem wszystkie osoby zamieszczone w ten ohydny spis. Nie było w nim miejsca na litość i przebaczenie, na klepienie w policzek i kopniaka w zadek. W głębi duszy wiedział jednak, że gdyby miał ciężki karabin maszynowy, to by go nie użył. Fredric Drum nie umiał zabijać z premedytacją. Miał za to wiele innych talentów.

Zbadał toaletę. Z rury na suficie zwisały sznurki przymocowane do haczyków na ścianach. Fredric wspinał się na muszlę klozetową i przyjrzał się rurze z bliska; wyglądała na solidną. Sznurki, przeznaczone zapewne do wieszania bielizny, też były mocne. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Zdarł z siebie mokry i brudny podkoszulek, złożył sznurek podwójnie i obwiązał się nim wokół piersi. Potem założył podkoszulek i przerzucił przez rurę końce wystającego zza kołnierza sznurka. Ponownie wspinał się na muszlę klozetową i naciągnął sznur, aż zawisł z głową oddaloną o jakieś pół metra od rury. Na drugim kawałku sznura zrobił pętlę, przerzucił ją przez głowę, zacisnął i przymocował do rury. Wisiał teraz przodem do drzwi; ten, kto je otworzy, uzna, że Fredric się powiesił.

Pozycja była bardzo niewygodna, sznur wrzynał mu się w pierś i pachy. Co jakiś czas obejmował rurę i podciągał się, by odetchnąć.

W końcu za drzwiami rozległy się kroki. Fredric wykrzywił twarz w śmiertelnym grymasie i zawisł swobodnie na sznurkach.

Rozbłysło światło, drzwi otworzyły się i ujrzał szeroko otwartymi oczami dwie identyczne postacie, dwóch takich samych mężczyzn po czterdziestce. Okrągłe, przekrwione twarze, szerokie nosy, świńskie oczka. Podobni do siebie jak dwa przejrzałe winogrona szczepu Cabernet Sauvignon. Fredric z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie mrugnąć.

* Merde!* krzyknął pierwszy.

* Merde! * zaklął drugi.

Obaj wetknęli głowy do środka, patrząc z niedowierzaniem na wiszącego mężczyznę. Fredric szybko ocenił odległość i z całej siły kopnął ich w podbródki, odrzucając bliźniacze winogrona w tył. Mężczyźni runęli z hukiem na ziemię.

Fredric uwolnił się ze sznurów i pokuśtykał na zewnątrz; miał wrażenie, że zwicznął palce obu stóp. Wciągnął nieprzytomnych mężczyzn do toalety i przywiązał do klozetu. Jeden z braci jęknął, więc Fredric wcisnął im w usta brudny papier toaletowy i naciągnął sznur tak, by nie mogli go wypluć. Na podłodze leżał portfel, zapewne wysunął się któremuś z bliźniaków z kieszeni marynarki. Fredric zajął do środka. Prawo jazdy wystawione na nazwisko Antonio Ribeira. Ten drugi nazywał się więc Joao Ribeira. Bliźniacy, w St. Emilion znani jako jedna osoba: monsieur Ribeira, maitre de chai w Chateau Leo*Ponet.

Zamknął drzwi toalety na klucz i zgasił światło. Ruszył pochyłą podłogą w kierunku korytarza zakończonego ogromnymi szklanymi drzwiami, które przypuszczalnie prowadziły do przybudówki: pokoju z kominkiem, w którym dokonywano degustacji wina. Zastanawiał się właśnie, gdzie szukać pana Cardille'a, kiedy dobiegł go jakiś dźwięk z pokoju znajdującego się za nim. Podszedł bliżej, ale dźwięk się nie powtórzył. Otworzył drzwi i wskoczył do środka.

Monsieur Cardille siedział w wózku inwalidzkim za biurkiem. Przed nim stała butelka, dwa kieliszki i statyw do de*kantacji. Na widok Fredrica wypuścił z dłoni kryształową karafkę, zbladł i jego wąskie brwi uniosły się w górę. Nie padło ani jedno słowo. W ułamku sekundy Fredric znalazł się za nim, odciągnął wózek od biurka i przeszukał kieszenie sparalizowanego właściciela winnicy. Znalazł mały pistolet automatyczny, który wrzucił do kosza. Wszystko odbyło się błyskawicznie.

Ogarnęło go nagle znużenie. Usiadł na krawędzi biurka i poczuł, że marzną mu stopy.

Podciągnął je pod siebie i wbił wzrok w Cardille'a, po czym wyjął z kieszeni zmięty arkusik papieru i rozpostarł go starannie. Był to list od Stephena Pratta.

* Możemy zacząć w dowolnym momencie, monsieur * zaczął. * Ta historia zatoczyła krąg, to błędne koło o obwodzie kilku tysięcy lat. Obojętne więc, gdzie zaczniemy, skoro pająk, tarantula, uwikłał się we własną sieć. Szkoda, że nie może posmakować swojej trucizny. Mężczyzna nie odezwał się; siedział, wpatrując się w niego pustym wzrokiem, z otwartymi ustami.

Fredric uniósł list i zaczął czytać wolno i wyraźnie:

„Drogi Fredricu,

Jesteś szalony. Nie wiem, w co się wplątałeś, ale wierzę ci na słowo, że to sprawa życia i śmierci. Zdobycie informacji o del*cyholu nie było proste i musiałem wiele osób nakłonić do złamania tajemnicy zawodowej. Ale do rzeczy.

Jak już pisałem, delcyhol łatwo zsyntetyzować, znacznie trudniej uzyskać go w drodze naturalnej, i z tego, co mi wiadomo, nigdy tego nie praktykowano. Metodę uzyskania del*cyholu organicznego przedstawia się wyłącznie na papierze za pomocą stosownych wzorów. Etyka zabrania nam uzyskiwania tego związku tą drogą. Prosiłeś jednak o opis metody, więc ci go przedstawiam.

Jak ci zapewne wiadomo, wszystkie alkohole są produktem fermentacji; fermentacja zaś to proces mikrobiologiczny, w którym funkcję katalizatora pełnią enzymy. Rozkład węglowodanów za pomocą drożdży *saccharomyces* stosowany jest w produkcji piwa i wina. Kwasy organiczne i białka oraz pochodne tłuszczu, steroli, estrów i innych związków organicznych można również w określonych warunkach poddać fermentacji, zakładając obecność odpowiednich drobnoustrojów. Bakterie w przewodzie pokarmowym człowieka ulegają różnym procesom rozpadu. Typową dla ludzi bakterią jest aniona, licznie występująca w żołądku, i tylko w naszych organizmach pojawia się liastaza, jedna z lipaz * enzymów rozkładających tłuszcz. Poprzez syntezę owej bakterii i enzymu w obecności tłuszczu i cukrów uzyskuje się pewien rodzaj grzyba, który może posłużyć do wytworzenia

alkoholu amylowego zwanego delcyholem. W organizmie człowieka aniona nie styka się z liastazą, więc choćbyśmy odżywiali się wyłącznie tłuszczem i cukrem, grzyb niezbędny do produkcji delcyholu nie powstanie. Jeśli jednak wyprowadzi się anionę i liastazę poza ludzki organizm i umieści w roztworze cukru i tłuszczu, owe drożdże natychmiast się pojawią. Tyle że aniona ginie w ułamku sekundy po usunięciu z organizmu człowieka; umiera również wraz ze śmiercią jej nosiciela. Jedyńm więc sposobem uzyskania organicznego delcyholu jest umieszczenie żywego człowieka z rozprutym brzuchem w roztworze cukru i tłuszczu. Jeśli biedak przetrwa parę godzin, może dożyć, w roztworze pojawią się grzyby. Jego życia nie będzie jednak można uratować, bo synteza tych substancji prowadzi do śmierci. Teraz już rozumiesz, dlaczego nikt nie jest zainteresowany produkcją organicznego delcyholu, tym bardziej że związek ma niewielkie zastosowanie i, jak pisałem w poprzednim liście, jest trujący. A propos, zdobyłem również parę informacji na temat działania delcyholu. Świeży delcyhol, nie starszy niż jeden miesiąc, jest bardzo szkodliwy i jego spożycie może spowodować nieodwracalne uszkodzenia ciała i umysłu. W początkowym okresie łatwo odróżnić delcyhol od zwykłego alkoholu za pomocą specjalnych instrumentów pomiarowych. Jeśli jednak dodać ten grzyb do pospolitych drożdży *saccharomyces* i użyć ich razem w procesie fermentacji alkoholowej, uzyska się produkt, który po długim leżakowaniu będzie nie do odróżnienia, nawet dla profesjonalnych chemików. Roczna lub dwuletnia ciecz tego typu będzie mieć takie same właściwości jak zwykły alkohol. Jej spożycie pozostanie niebezpieczne, ale skutki uboczne ujawnią się dopiero po latach pod postacią uszkodzeń kory mózgowej i układu nerwowego. Mówi się również

o zaburzeniach chromosomów, ale te doniesienia nie zostały jeszcze potwierdzone.

Wystarczy?

Twój przyjaciel Stephen".

Przed oczami Fredrica znowu pojawiły się kolorowe plamki. Upuścił list na ziemię i zwilżył suche wargi. Dopiero teraz dotarła do niego waga słów w ostatnim akapicie: ryzyko związane z wypiciem świeżo wyprodukowanego delcyholu. Jaka była zawartość pojemnika stojącego przy łóżku Genevieve? Czy zmusili ją do wypicia tego strasznego wina? Przełknął ślinę i wbił wzrok w *monsieur Cardille'a*. *Cardille* podniósł wąską, dziewczęcą dłoń i otarł ślinę z kącików ust.

* Skutki uboczne * warknął *Fredric*. * Wiedzieliście o nich, ale nie chcieliście ich wziąć pod uwagę.

Mężczyzna pokręcił energicznie głową.

* Nie takie... Nie takie były nasze intencje * szepnął.

* Ale byliście gotowi dręczyć i poświęcić siedem osób, siedem niewinnych istot, by wywołać sensację na rynku winiarskim i zdobyć pieniądze i sławę. * *Fredric* prychnął i zacisnął dłonie w pięści, aż pobielały mu kostki. * Popełniliście jednak dwa poważne błędy * ciągnął. * Nasłaliście na mnie tego pewnego siebie awanturnika, *Marcela Oliveta*. I wysłaliście świeżą próbkę wina do analizy. Gdyby *Olivet* potrafił zapanować nad wściekłością i nie napadł na mnie przed hotelem, a wy wysłalibyście próbkę za rok, to kto wie, może to wszystko uszłoby wam płazem. Ale *Fredric Drum* rozwiązywał już trudne rebusy i poza siłą intelektu dysponuje siłą mięśni. Te dwie mały

przypominające zgniłe winogrona szczepu *Sauvignon*, import z Portugalii, zostały unieszkodliwione. *Marcel Olivet* również. Gra skończona. A może jest was więcej? Proszę mówić, *mon*seigneur Cardille*, choć może powinienem nazywać pana *senhor Gardilleiro*? Zanim zjawi się policja, chciałbym poznać odpowiedź na jedno pytanie.

* Nie... Nie zrobiłem niczego złego * bąknął *Cardille*, ocierając usta. * Nie... wiedziałem. Nawet bałem się patrzeć. To *Antonio* i *Joao*. To oni złapali po jednej osobie. I *Marcel* * bardzo się starał * chyba uprowadził cztery. Nie wiem na pewno. I jeszcze...

* I jeszcze ja!

Głos dochodził z tyłu. Fredric odwrócił się błyskawicznie i ujrzał przed sobą wylot lufy. Dłoń trzymająca pistolet nie drżała, a uśmiech jego właścicielki był lodowato piękny. Należał do Mai Manuelli. Mai Manuelli Gardilleiro.

i jeszcze ja. Chyba już to do ciebie dotarło. * Podeszła kilka kroków, nie opuszczając pistoletu. * Ja porwałam pierwszą osobę. Nikt się nie odważył, nawet Marcel. Ja wprowadziłam Solange Tefflier.

Fredric ześlizgnął się z blatu biurka; poczuł mrowienie w bosych stopach. Tego właśnie chciał się dowiedzieć przed przybyciem policji.

* Nie byłaś więc na Maderze siódmego sierpnia * wychrypiał.

* Drum, mój chłopcze * odrzekła ironicznie, siadając na krześle koło drzwi. * Głuptasek Drum musi wreszcie zrozumieć, że Maya ma nie tylko głowę na karku, ale i mocne ręce. I Maya potrafi nienawidzić silniej niż inni. Dlatego właśnie Maya musiała rozpocząć to wszystko. Nie wiedziałeś o tym?

* Nie * szepnął Fredric. * Nie. Nie wiedziałem, że jesteś bezpośrednio zamieszana w to bestialstwo. Domyślałem się jednak, że przekazałaś im pomysł, moje sensacyjne tłumaczenie pisma linearnego B. Niepewność co do twojej roli dręczyła mnie przez ostatnie godziny. * Poczul się pusty w środku i znów usiadł na biurku.

* Jesteś skończony, Fredricu. Szkoda, bo zdolny i mądry z ciebie chłopak. I odważny. Zawsze byłeś odważny. Niedługo dostaniesz pięć kul w pierś, po jednej od bliźniaków Joao i An*tonio, jedną od Jorge w wózku inwalidzkim i na koniec jedną ode mnie. Maya nienawidzi. A kiedy Maya nienawidzi, potrafi zabić bez emocji, lekko i elegancko. Fredric widział, że dłoń trzymająca pistolet nie drgnęła ani o milimetr. Jej twarz była twarda i zdecydowana, żadnych śladów desperacji.

Twarz.

Przemawiała do niego Twarz. Fredric zadrzał z zimna. Zegar ścienny wskazywał osiemnaście minut po czwartej.

* Maya * szepnął. * Dlaczego? Na Boga, dlaczego?

* Dowiesz się * odrzekła. * Zasługujesz na to, by wiedzieć. Może dzięki temu śmierć twoja i tych siedmiu osób nie będzie nadaremna. * Mówiła po norwesku, zacinając się nieco. * Szesnaście lat temu, w roku 1969, pięć lat przed rewolucją goździków w Portugalii, mój ojciec zabrał wszystkie pieniądze i opuścił Maderę. Wiedział, że panowanie faszystów wkrótce dobiegnie końca. Ojciec był faszystą, wielkim zwolennikiem Salazara i najbogatszym człowiekiem w Cani*cal; miał przetwórnnię wielorybów i dwie inne fabryki. Zabrał wszystkie pieniądze i wyjechał; zostawił matkę i mnie, opuścił ludzi w Canical, którzy stracili jedyne źródło zarobku. Wyjechał do Norwegii, gdzie, jak wiesz, wzbogacił się. Zainwestował w przemysł naftowy i stał się potężnym człowiekiem. W tamtym czasie mój brat Jorge studiował we Francji. Moja matka, mój brat i ja postanowiliśmy uczynić wszystko, by zemścić się na ojcu za jego zdradę. Jorge kupił tę posiadłość dzięki naszym dobrym przyjaciom, którzy poręczyli pożyczkę, a ja wyjechałam do Norwegii, by śledzić poczynania ojca. Postanowiliśmy zgromadzić pieniądze, by w tajemnicy wykupić udziały w firmach należących do ojca, potem przejąć nad nimi kontrolę i przenieść cały kapitał do Canical, gdzie ludzi nie stać nawet na wizytę u lekarza. Nie wszystko jednak poszło po naszej myśli. W Norwegii trudno zdobyć fortunę. Kiedy mój brat Jorge uległ wypadkowi i stracił władzę w nogach, sytuacja uległa pogorszeniu. Bycie właścicielem winnicy w St. Emilion to też niełatwy chleb. Wciąż jednak mieliśmy ten sam cel przed oczami i ciężko pracowaliśmy. Nasza restauracja „Kasserollen” rozwija się, Fredri*cu, i dobrze zarabiamy. Dla Mai jednak sprawy posuwają się zbyt wolno. Maya zawsze była bystra i energiczna. Nawet nic nieznaczące drobiazgi, takie jak twoje maniackalne zainteresowanie wymarłymi językami, nie uszło jej uwagi. Pamiętasz zapewne, że czytałam twoje notatki i brałam udział w dyskusjach.

Stworzyłeś tyle wersji tłumaczenia kretańskiego pisma i nie dostrzegłeś tego prostego przepisu, bo jesteś zbyt pedantyczny. Wszystko musi zgadzać się w stu procentach. Nie obchodziła cię praktyczna zawartość tekstu, póki nie ustawiłeś liter i wyrazów z matematyczną dokładnością. Może masz zbyt ścisły umysł? I zbyt wątlą wyobraźnię? Mai nie brakuje wyobraźni, od razu zrozumiała i zaczęła studiować historię kultury minojskiej. Ty wciąż biedzileś się nad rozwiązaniem. Maya w lot pojęła te cztery strofy, które odczytałeś w niemal prawidłowy sposób:

„Byk jest święty to nasza broń ostateczna daje nam napój silny i budzący odwagę w dzbanie składamy ofiarę byka miód i oliwa z żywym sercem daje wizje.

Dwa byki do dzbana dały trzy dziewczęta i miód które w dzbanie znikną i dojrzeją zmieszane z oliwą z małego dzbana zrodzą dobry napój o wielkiej sile.

Dzban w którym żywi umierają wolno

w miodzie zmieszonym z oliwą

da winu moc i trwałość

nasi dzielni mężowie na morze wypłyną.

Młode dziewczę przez byka błogosławione w dzbanie znajdzie śmierć i wieczność śpi i daje nam żółtą moc dla wina, winogron i słońca".

Maya roześmiała się, bawiąc się pistoletem.

Zacytowała tłumaczenia czterech tabliczek glinianych, między innymi PyTa 641, które Fredric zanotował na luźnych kartkach i omawiał w dyskusjach z nią i Tobem, zanim znalazł klucz do symboli T. Nie były idealne, lecz dla kogoś, kto posiadał wiedzę o kulturze kretańskiej, miały sens.

Maya zrozumiała. Była bystra i potrafiła wyciągać wnioski, proste wnioski. Zapewne nie myliła się, twierdząc, że jest zbyt pedantyczny i nie dba o treść, póki nie poskłada wszystkich elementów układanki w jedną całość. Gdyby wcześniej... Nie, to nie ma sensu, teraz już jest za późno. Wbił wzrok w podłogę.

* Na stole, Fredricu, stoi twoje ostatnie wino. Mieliśmy poczęstować cię nim przedwczoraj, kiedy zapowiedziałeś się z wizytą. Wtedy zamierzaliśmy cię dopaść. Pojawiłeś się jednak niespodziewanie wczoraj, gdy nikogo poza Jorge nie było w domu. Wypij teraz to dobre wino, Fredricu, a potem la grande cuve, dołączysz do tamtej siódemki. Mamy już wystarczającą ilość drożdży. Napełnimy zbiornik silnym kwasem i wszystkie ślady znikną w ciągu paru godzin. Potem starannie spluczemy zbiornik. * Maya zmrużyła oczy.

Monsieur Cardille, alias Jorge Gardilleiro, podjechał wózkiem do biurka i napełnił dwa kieliszki. Rumieniec powrócił na jego twarz.

Fredric spojrział na butelkę. To nie było wino z St. Emilion, tylko z Pauillac, jedno z najbardziej pożądanych win bordo*skich: Chateau Latour rocznik 1938. Zamierzali poczęstować go dobrym winem tuż przed śmiercią. Czy to ma być rodzaj komplementu?

* Ekonomia, Mayu * chrząknął. Do czwartej zostało dwanaście minut. * Nie znasz się na ekonomii, zwłaszcza norweskiej. Naprawdę sądzisz, że możesz zrujnować ojca? Z tego, co wiem, interesy Arthuro Gardilleiro obejmują szereg większych i mniejszych firm, a jego kapitał zamrożony jest w solidnych przedsiębiorstwach o skomplikowanych strukturach własnoś**ciowych. O nie, Mayu, znasz się na wielu rzeczach, ale w tej sprawie rozsądek cię zawodzi. * Mówił wolno, by zyskać na czasie.

Cień przebiegł po twarzy Mai, uśmiech zastygł na jej wargach. Lufa pistoletu nie poruszyła się.

* Damy sobie radę * odrzekła twardo.

Wciśnięto mu kieliszek w dłoń. Fredric poczuł, że na chwilę odrywa się od rzeczywistości: oto siedzi, pijąc luksusowe wino, poddaje się jego urokowi, wacha i smakuje trunek; nozdrza

odbierają symfonię pikantnych zapachów, które przynoszą rozkosz i ukojenie. Nigdy w życiu nie pił lepszego wina.

Za dziewięć czwarta.

Maya również podniosła kieliszek do ust. Ostatni raz pili razem wino w wieczór poprzedzający jego wyjazd do Francji. Była to mała butelka Chateau Corbin rocznik 1979, to samo wino, które pił wcześniej tego dnia. Pod jego wpływem kryształowa gwiazda zamrugła, a kryształowa gwiazda nigdy nie mrugała bez powodu.

* Jak ich namówiłaś, by wzięli w tym udział? Rzadko kto gotów jest mordować dla pieniędzy. Twój brat, Marcel Olivet, bracia Ribeira * czym ich zachęciłaś?

Maya znów się roześmiała.

* Nada problemas * powiedziała. * Marcel Olivet był zakochany we mnie po uszy. Dałam mu to, czego chciał. Dla mnie obszedłby cały świat na szczytach. Antonio i Joao poświęciliby wszystko dla Canical, tak samo jak i my. Poza tym kochają pieniądze. Kiedy pokazałam im, jakie to proste, wprowadzając Solange Tefflier...

* Powiedz mi dokładnie, jak to się stało * przerwał jej Fre*dric.

* A więc chłopiec chce poznać szczegóły? Ułożyć ostatnie fragmenty układanki? Bardzo proszę, Fredricu. Przygotowano każdą według moich instrukcji. Minojczycy używali mieszaniny miodu i oliwy, my poszliśmy za ich przykładem. Pożyczyłam sobie samochód z Chateau Berlique * zostawiają je zwykle niezamknięte na podjeździe. Zatrzymałam się na zwirowej drodze niedaleko La Gaffeliere, a ona spytała mnie, czy mogę ją podwieźć do St. Emilion. Kiedy wsiadła, poczęstowałam ją spreparowaną czekoladką. Użyłam silnie działających środków. Momentalnie zasnęła, dlatego nie poczuła, kiedy nacięłam jej brzuch. Potem opuściliśmy ją do kadzi i pozostawiliśmy z głową wystającą nad powierzchnią roztworu miodu i oliwy. Żyła osiem godzin, ale w ogóle się nie obudziła. Nie cierpiała. Byłam bardzo podniecona, bo nie wiedziałam, czy zrobiłam wszystko zgodnie z przepisem. Ale następnego dnia grzyb delcyholu wypłynął na powierzchnię. Wyłowiliśmy drożdże i przetruciliśmy do kadzi, w której fermentował moszcz.

Fredric wbił wzrok w swoje nagie stopy i nie sięgnął już po Latour rocznik 1938. Był odurzony tym opisem bestialskiej procedury, relacją złożoną przez zimną, pozbawioną uczuć kobietę, która nienawidziła swego ojca, starego faszystę, tak mocno, że gotowa była odrzucić wszelkie normy moralne. Kobietę, z którą łączyła go ciepła przyjaźń. Poczuli, że zbiera mu się na wymioty, lecz zdołał wziąć się w garść.

Czas.

Było parę minut przed czwartą i Maya Manuella zaczęła lekko się niepokoić.

* Rozumiem już prawie wszystko * wycedził. * Gdybym nie odczytał pisma kreteńskiego, siedmioro ludzi nie zgniłoby w betonowym zbiorniku. Pamiętam, że usiłowałaś mnie przekonać, bym wybrał się do Medoc, a nie do St. Emilion. Nie chciałaś, by St. Emilion stało się pierwszym celem podróży właścicieli „Kasserollen”, zwłaszcza ze mną w roli głównej. Dziwny przypadek czy ironia losu?

* Szkoda, Fredricu, bardzo szkoda. Mogłeś żyć, cieszyć się restauracją i swoim hobby. Teraz zostanie nas dwoje, ja i Tob. Oznajmiłam Tobowi, że jadę na Maderę do chorej matki. Tob dał mi radę przez parę dni, zresztą ma pomocników. * Maya podeszła bliżej z groźną miną.

* Zatrzymaj się, gra skończona, zaraz...

* Szkoda słów, Drum, mój chłopcze. * Mrugnęła jednym okiem. * Po tobie przyjdzie kolej na Genevieve. Dziewięć osób zaginionych bez wieści. Policja będzie zajmować się tą sprawą długi czas, lecz w końcu odłoży ją na półkę. Jesteś gotów, Fredricu? Pożegnamy się? Ostatni łyk wina? * Była już bardzo blisko.

Fredric zacisnął dłoń na kieliszku, zastanawiając się gorączkowo, jak ją powstrzymać.

* Genevieve * powiedział, podnosząc kieliszek do nosa * jest wolna. Uwolniłem ją, jest bezpieczna. Przegraliście. Możesz mnie zabić, ale to niewiele da.

* Blefujesz. * Pobladła. * Genevieve Brisson leży związana w pokoju na piętrze. Dostałeś się do domu, zanim Antonio i Joao cię złapali? Gdzie oni są? * Rozejrzała się wokół, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o ich istnieniu.

* Joao! Antonio! * krzyknęła.

* Daruj sobie, Mayu * odrzekł, siląc się na spokój. * Wysłałem bliźniaków w daleką podróż. Inaczej jak zdołałbym zaskoczyć twego brata?

* To się zgadza. * Brat Mai potoczył wózek w kierunku drzwi. * Coś musiał z nimi zrobić.

* Zostań tutaj! * poleciła. Teraz już nie potrafiła utrzymać nieruchomo dłoni. * Zostań tutaj i dopilnuj, żeby Fredric Drum zginął!

Jorge Gardilleiro odwrócił wózek i spojrzał na siostrę zaleknionym, błagalnym wzrokiem.

* Czy to konieczne? Wszystko to... co się stało... co zrobiliście... Jak będziemy z tym żyć?

Delcyhol jest niebezpieczny. Zobacz tylko, co się stało z Genevieve Brisson.

* Głupcze * syknęła Maya. * i tchórze. Zawsze byłeś tchórzem. Nie pokazałeś się w maison des cuves od czasu, kiedy to się zaczęło. Ale chcesz być bogaty. O nie, Jorge, musisz wypełnić swoje zobowiązania. Zostań tu i zrób to, co do ciebie należy.

Oczy Mai rozbłysły, była gotowa do działania. Fredric zacisnął palce na kieliszku i nagle wybuchnął głośnym śmiechem, wskazując palcem coś wyimaginowanego za wózkiem sparaliżowanego mężczyzny. To niespodziewane zachowanie zaskoczyło Mayę i lekko odwróciła twarz w kierunku Jorge. Fredric rzucił się pod biurko.

* Wstań, idioto! * zawyła Maya. * Tam się nie schowasz. Fredric grzebał gorączkowo w koszu, szukając pistoletu.

I w tym momencie na podjeździe rozległ się jęk policyjnych syren.

Trzy wozy podjechały pod główne wejście i gromada policjantów wbiegła do budynku. Maya opadła na krzesło koło drzwi, blada jak marmurowy posąg. Pistolet zwisał w jej dłoni, wylot lufy pokazywał podłogę. Gardilleiro gwałtownie odwrócił wózek i odjechał parę metrów, potem skulił się w sobie i głowa opadła mu na piersi. Mężczyzna zemdłał. A tymczasem wózek rozpedzał się po pochyłej podłodze.

Fredric jak otepiał obserwował scenę, która rozgrywała się przed jego oczami. Widział policjantów nadbiegających ze wszystkich stron i wózek Jorge Gardilleiro pędzący korytarzem w kierunku szklanych drzwi przybudówki. Usłyszał łoskot, kiedy wózek zahaczył o próg, wyrzucając bezwładne ciało właściciela winnicy na szklane tafle. I huk wystrzału, gdy Maya Manuella nacisnęła spust.

Czuł bicie własnego serca, kiedy osunął się po ścianie na podłogę i ukrył twarz w dłoniach.

12

Fredric Drum pływa nago
w czepku kąpielowym i raczy się,
jedenaście tysięcy metrów nad

Europą, małą butelką Chateau Margaux rocznik 1981

Zanurzył się wolno w basenie. Woda miała odpowiednią temperaturę, niewiele różniła się od temperatury otoczenia. Było wczesne przedpołudnie, Fredric znajdował się w przepięknym obiekcie należącym do hotelu „Terminus”, położonym niedaleko stacji kolejowej Saint*Jean w Bordeaux.

Kąpał się nago * mężczyznom przysługiwało takie prawo między godziną dziesiątą a jedenastą. Zgodnie jednak z regulaminem miał na głowie czepkę kąpielową, który wypożyczył u obsługi.

Wykonał kilka spokojnych ruchów, czując, jak woda koi jego obolałe, sztywne ciało; potem zanurkował i wypłynął na środku basenu. Położył się na plecach i dryfował, wpatrując się w kolorową mozaikę wokół ogromnych kulistych kloszy na suficie.

Był wolny.

Przesłuchania trwały długo. Stephen Pratt przyjechał z Anglii, by potwierdzić jego zeznania, poświadczyć jego renomę badacza wymarłych języków i opowiedzieć o korespondencji dotyczącej delcyholu. Policja francuska i gazety uznały w końcu, że Fredric nie ponosi winy za przestępczą działalność będącą skutkiem odczytania przez niego pisma linearnego B i że jego naukowe wyniki zostały wykorzystane przez ludzi pozbawionych moralnych skrupułów.

A on sam zbyt późno to odkrył.

Cała historia była jednak niewiarygodna i upłynęło mnóstwo czasu, zanim wszystkie elementy układanki znalazły się na swoich miejscach.

Policja od pewnego czasu podążała właściwym tropem. Tego dnia, kiedy Fredric poprosił o wsparcie, zarządzono kontrolę wszystkich kadzi w ponad tysiącu posiadłości w całym rejonie. Dostrzeżono związek między delcyholem a zniknięciami, lecz cała akcja trwałaby wiele tygodni. Kiedy funkcjonariusze dotarliby do Chateau Leo*Ponet? Zanim kwas zatarłby wszystkie ślady po siedmiu * a wliczając Genevieve i jego, po dziewięciu * ofiarach?

Francuska policja nie podziękowała Fredricowi Drum, tylko niektóre gazety oddały mu sprawiedliwość w notatkach opublikowanych małym drukiem. Ach, ci Francuzi!

Fredric dopłynął do skraju basenu i zawrócił. Czepek kąpielowy zsuwał mu się na oczy i musiał go nieustannie poprawiać.

Maya Manuella nie żyła, strzeliła sobie prosto w skroń. Jej brat, monsieur Cardille alias Jorge Gardilleiro, nie żył, zginął od obrażeń w wyniku zetknięcia się ze szklanymi drzwiami.

Mditre de chai w Chateau Ausone, Marcel Olivet, także nie żył. Policja nie miała podejrzeń w tej sprawie, a Fredric trzymał język za zębami. Bracia Antonio i Joao Ribeira żyli i zeznawali, nie ukrywając niczego.

Bogactwo. Staliby się nieprzyzwoicie bogaci, gdyby zdołali wyprodukować smaczne wino o mocy ponad siedemnaście procent. To pieniądze skłoniły braci Ribeira do wzięcia udziału w tym okrutnym przedsięwzięciu, to pieniądze kierowały poczynaniami Mai Manuelli i jej brata. Utopijne marzenie o pograżeniu ojca, o zemście i dobrobycie dla miasteczka Canical we wschodniej części Madery skłoniło ich do popełnienia przestępstwa, którego nie notowano w annałach francuskiej kryminalistyki. I to pieniądze oraz ślepa miłość zawiodła Marcela Oliveta, najlepszego winiarza w okolicy, na skraj przepaści.

Bracia Ribeira przysięgali, że nie mieli pojęcia o ubocznych skutkach delcyholu. Odpowiedź doktora enologii na próbkę, którą wysłali, była szokiem dla całej piątki. Doniesienia o szkodliwym działaniu delcyholu uznali jednak za czysty wymysł, który brał się z niedostatecznej znajomości tej substancji. A biedne ofiary, siedmioro ludzi żywcem zanurzonych w roztworze miodu i oliwy, nie cierpiały. Bliźniacy zapewniali, że podano im uprzednio środki uśmierzające ból. Uzyskali grzyby wywołujące fermentację i dające delcyhol. Kiedy proces rozkładu rozpoczął się, drożdże rozmnażały się samoistnie i kolejne ofiary stały się zbędne.

Takie zeznania złożyli bracia Ribeira. I tylko oni mieli odpokutować za te przestępstwa.

W kostnicy w St. Emilion stało siedem trumien; wszystkie siedem osób zamierzano pochować tego samego dnia. W pisanej winem historii tego pięknego średniowiecznego miasteczka pojawił się dzień żałoby. Czarny dzień.

Fredric znów odwrócił się na plecy i leżał teraz nieruchomo. Marzył o tym, by zapaść się pod powierzchnię wody, utonąć.

Bracia Ribeira wszystko opowiedzieli. Na wieży kościoła mieli punkt obserwacyjny, który dawał znakomity widok na cztery strony świata. Stamtąd mogli pilnować Fredrica Drum, śledzić każdy jego krok. Marcel Olivet otrzymywał wiadomości przez walkie*talkie.

Bliźniacy zmieniali się, w St. Emilion znani byli jako jedna osoba. Sprytny układ zapewniający znakomite alibi.

Marcel Olivet przygotował zasadzkę w lesie między posiadłościami Figeac a Cheval Blanc i to on zepchnął Fredrica z klasztornej muru. On też ucharakteryzował sobie twarz, by go przestraszyć. Szerszenie były wymysłem Jorge Gardilleiro, bliźniacy natomiast wciągnęli go w pułapkę na kościelnej wieży.

Tam właśnie, w pomieszczeniu nad dzwonem, Fredric doznał olśnienia. Łoskot dzwonu nie przyprowadził go o szaleństwo;

wręcz przeciwnie, wstrząsnął jego myślami i poukładał je na właściwych miejscach.

Najpierw odczytał pojedyncze słowo: desculpe. To portugalski wyraz znaczący „przepraszam”. Desculpe, powiedział Ca*dille, kiedy potrącił Fredrica wózkiem koło kominka w pokoju degustacyjnym Leo*Ponet. Nie pardon, lecz desculpe. A później zapytał: „A jak się miewa pańska mała restauracyjka na dalekiej Północy?”. Skąd wiedział, że restauracja należąca do Fredrica jest mała?. Potem ujrzał dwa oblicza: twarz Mai Manuelli i sparaliżowanego właściciela winnicy. Takie same rysy, wyraźne i regularne. Nie przypadkiem podczas spotkania na rynku monsieur Cardille wydał się mu znajomy. Próbował się nawet dowiedzieć, czy był za granicą. Wtedy jeszcze nie rozumiał, nie powiązał wątków. Kiedy jednak rozbrzmiał dzwon...

Wyszedł z basenu, otrząsnął się z wody i sięgnął po ręcznik. Jego ciało znaczyły zadrapania i siniaki, brzuch przecinała szrama. Zostanie tam na długo.

Pismo linearne B. Krwawy obrządek Minojczyków. Byki. Śmiertelnie ranne dziewczęta.

Dzban miodu. Fermentacja. Kości w wielkich pitosach w Knossos, na które Evans nie zwrócił uwagi. Wino.

Znaczenie inskrypcji było oczywiste. Od dawna. Maya Manuella była łącznikiem, którego zrazu nie dostrzegł, łącznikiem między St. Emilion a Oslo. Maya zdawała sobie sprawę, że Fredric prędzej czy później dowie się wszystkiego; stanowił zagrożenie, które trzeba było za wszelką cenę usunąć. Pojechała za nim do Francji, a Tobowi oświadczyła, iż wybiera się w odwiedziny do matki na Maderze. Ukrywała się w posiadłości brata.

To w pomieszczeniu nad bijącym dzwonem odczytał fryz.

Wytań się starannie i spojrzaj na zegar na ścianie. Miał się zjawić w szpitalu za godzinę.

Był jak w gorączce, kiedy ciągnął za sobą do lasu dwóch policjantów. Poszli za nim niechętnie. Znalazł Genevieve

tam, gdzie ją zostawił. Tkwiła w podziemnej jamie, przytulona do ściany, trzęsąca się z zimna. Na ziemi obok niej leżała para brudnych skarpetek, które dziewczyna głaskała, jakby były żywymi zwierzątkami. I w kółko powtarzała jedno zdanie: „Guzy są mniejsze, niedługo po mnie przyjdzie, już jest noc”. Nie potrafił jej zmusić, by spojrzała mu w oczy; jej wzrok był pusty, bezdenny, przenikał go na wylot. Przytulił ją, lecz Genevieve wciąż powtarzała to samo bezsensowne zdanie.

Policjanci zachowywali się bezwzględnie. Rozdzielili ich, jego wrzucili do samochodu i zatrzasnęli drzwi, ją odwieźli innym pojazdem. Pierwszą noc spędził w policyjnym areszcie.

Kiedy następnego dnia wrócił do pokoju hotelowego, zadzwonił do ojca Genevieve i dowiedział się, że dziewczyna przebywa w szpitalu w Bordeaux.

Stephen Pratt bardzo mu pomógł. Znalazł hotel w Bordeaux i dowiedział się, gdzie Genevieve jest leczona. Fredric miał rezerwację na jedną noc, następnego dnia miał wylecieć do Oslo.

Taki był plan.

Plan? Czy istnieje jeszcze jakiś sensowny plan?

Fredric Drum, Pielgrzym, wraca do Oslo, do swego koczowniczego życia w pensjonatach, do restauracji. Wraca z wyprawy, której celem była degustacja win w St. Emilion, we Francji.

Degustation. Jakże piękny smak ma w ustach! Skulił się w sobie, usiłując odpłynąć z ostatnią kroplą.

Szpital St. Michel leżał w pobliżu hotelu. Fredric wybrał się pieszo, był w ponurym nastroju.

Kapiel nie poprawiła mu humoru, nie potrafił zabić w sobie świadomości, że stan Genevieve

Brisson jest poważny. Z trudem zdołał przekonać ordynatora, by pozwolił mu zobaczyć dziewczynę przed wyjazdem do Norwegii. Lekarz zgodził się niechętnie, twierdząc, że Genevieve potrzebuje spokoju.

Fredric Drum czuł się persona non grata we Francji. Nic dziwnego. Gazety pisały o nim niestworzone rzeczy. Spotykał osoby, które właśnie jego obarczały całą winą.

Poszedł w kierunku placu Renaudel i skręcił w prawo. Spojrzał na słońce i kichnął. Ostatnio często kichał. Przeszedł przez Porte de la Monnaie i znalazł się na szerokiej Rue Carpentier. Zatrzymał się przy kiosku i kupił „Le Monde”. W tym wydaniu już nie pisano o sprawie.

Szpital znajdował się koło kościoła pod tym samym wezwaniem. Zeszło mu trochę czasu, zanim znalazł wejście. Szpital dla umysłowo chorych, głosił napis. Fredric zadrzał. Bliźniacy wyjawili, dlaczego porwano Genevieve. Maya Manuella wpadła w gniew, kiedy Fredric wyszedł cało z kolejnych zamachów. Wiedzieli o jego znajomości z dziewczyną, i to Maya wymyśliła cały plan. Bracia nie mieli pojęcia, w jaki sposób skłoniła Genevieve do wyjazdu z miasteczka; kazała im czekać w umówionym miejscu. Przewieźli nieprzytomną dziewczynę do Leo Ponet swoim samochodem. Była przynętą, chodziło jedynie o to, by pozbyć się Fredrica Drum, uspić jego czujność. To Jorge Gardilleiro zaproponował, by przeprowadzić na niej test działania delcyholu. Kiedy odmówiła, wlał w nią ciecz za pomocą gumowego węża i pompy. Tylko Jorge Gardilleiro wiedział, jaką ilość trucizny wypięła Genevieve Brisson.

A Jorge Gardilleiro nie żyje.

Fredric przycisnął dzwonek. Kiedy odezwał się jakiś głos, przedstawił się i wyjaśnił, co go tu sprowadza. Pielęgniarka w habicie kazała mu czekać na ordynatora.

Monsieur Sullivan, psychiatra, był starszym mężczyzną o poważnej twarzy, nosił okulary w rogowej oprawie. Uściśnął mu dłoń miękko i obojętnie, i zaczął mówić, zanim Fredric zdążył zadać pytanie.

Scharakteryzował Genevieve jako „tymczasowo wycofaną” i uznał jej stan za „potencjalnie chroniczny”. Pacjentka nie reaguje na większość bodźców, pomiary pracy serca są znacznie poniżej normy. Nie wykazano innych zmian klinicznych, co nie znaczy, że nie mogą się pojawić. O działaniu delcyholu, zakończył doktor Sullivan, wiadomo niewiele, a właściwie prawie nic. Czas da odpowiedź.

Zaprowadzono go do pokoju odwiedzin. Czas wizyty: piętnaście minut. Pacjentka potrzebuje spokoju, podkreślił psychiatra. Jest niewielka szansa, że wróci do rzeczywistości.

Rzeczywistości?

Genevieve miała na sobie obszerną koszulę nocną i pantofle. Była blada, włosy upięto jej w węzeł na karku. Nawet go nie widziała. Jej wzrok szukał czegoś ponad jego prawym ramieniem, na żółtej płaszczyźnie ściany. Zwilżył wargi.

* Pamiętasz grootę koło Guitres, Genevieve? Te piękne rysunki? Odwróciła się od niego i pogłaskała dłonią ścianę.

* Widzisz rysunki, Genevieve?

Pokiwała głową, a jej dłoń zaczęła poruszać się coraz szybciej, niemal agresywnie.

* Usiądziesz przy mnie? * Wskazał sofę i zajął na niej miejsce.

* Wszystkie noce * powiedziała, uśmiechając się.

* Wszystkie noce?

* Tak, tak, tak! * odrzekła i pokręciła gwałtownie głową, a potem przywarła do ściany.

Poczuł ucisk w gardle, przełknął ślinę i otworzył usta, ale nie znalazł słów. Wstał, podszedł do Genevieve i ujął jej głowę w dłonie, przytulił czoło do jej czoła. Dziewczyna zachichotała.

* Wypowiedz moje imię. Chociaż raz * szepnął. Dziewczyna roześmiała się i znów zaczęła gładzić ścianę.

* Bądź zdrowa, Genevieve. Au revoir, muszę już iść. * I ruszył w kierunku drzwi.

Nie zwracała na niego uwagi.

Wyszedłszy na korytarz, przywołał siostrę i podziękował jej za wizytę. Wręczył jej karteczkę z numerem telefonu i adresem w Norwegii. Może Genevieve kiedyś odzyska pamięć...

Na ulicy powitało go słońce * biała tarcza jesiennego słońca zawieszona między wieżami kościoła świętego Michała.

Napis „Fasten seatbelt” zgasł. Fredric Drum myślał o Tobie. Przyjaciel nie zamknął restauracji „Kasserollen” pod jego nieobecność, wynajął pomocników ze szkoły kucharskiej. Tob Tinderdal nie dał się wytrącić z równowagi na wieść o tragicznych wydarzeniach we Francji, choć udział Mai Manu*elli wstrząsnął nim bardziej, niż dał temu wyraz w rozmowie telefonicznej. „Bestialstwo”, powiedział, „zarówno jego forma społecznie zorganizowana, jak i to drzemiące w każdej jednostce, nie jest przejawem ludzkiej irracjonalności, tylko pewnej dość wyraźnej niedojrzałości wobec przyrody, nad którą nie panujemy”. Jak to dobrze znów zanurzyć się w aforyzmach Toba.

Samolot wspiął się na jedenaście tysięcy metrów. Za cztery godziny znajdzie się w Oslo.

Wyjął małą butelkę wina, którą kupił na lotnisku w Bordeaux, Chateau Margaux rocznik 1981. Wino z Medoc. Napełnił nim plastikowy kubek, w którym przed chwilą pił coca*colę.

Sto zapachów, sto smaków. Jeśli tak prosta rzecz jak wino występuje w tylu wariantach, jakże nieskończenie bogata i różnorodna jest reszta egzystencji?

Odchylił się w fotelu, wachał trunek i pił dużymi łykami.

Procesja kapłanów zmierza ku skale. Kapłani mają twarze pomalowane ochrą, by ukryć objawy choroby. Słyszą narastające bębnienie. Pożegnalny werbel. Ostatnia ofiara. Choroba zebrała krwawe żniwo. Ile dziewcząt złożyli bykom w ofierze? Ile dzbanów pełnych białych kości stoi w komorze grobowej? Na próżno. Napój nie daje siły, choroba szerzy się nieubłagane. Ich pokolenie będzie ostatnie.

Kapłani zatrzymują się na skraju przepaści, daleko w dole rozpościera się morze. Niebieskie fale zderzają się, wyrzucając

w górę pióropusze piany, którą unosi wiatr. Ich dusze też wkrótce ulecą z wiatrem. Kapłani stają półkolem, przed nimi jest dzban pełen miodu, czystego miodu. To ostatnia ofiara, zanim sami podążą tą samą drogą. Kobiety i dzieci, chude i wycieńczone, idą długim szeregiem ubrane w czarne szaty. Niosą pochodnie. Większość mężczyzn umarła, statki leżą w portach pozbawione sterników. Taki miał być koniec. Król też już nie żyje.

Kapłani kładą dłonie na dzbanie, łoskot bębnowi wzmacnia się. Spychają dzban miodu i dzban spada do morza. Teraz kolej na nich. Zostaną byki. Dzikie byki pasące się na wolności.

Stewardessa obudziła Fredrica, kiedy schodzili do lądowania. Zaspany przetarł oczy. Czy taki właśnie był koniec kultury minojskiej na Krecie?

Kichnął dwukrotnie i zapiął pas.

Spis treści

1. Fredric Drum spada, czołga się, po czym dokonuje zamachu na butelkę Chateau Cheval Blanc rocznik 1961.....7
2. Fredric wykonuje street*dance, studiuje kartę win w dyskotecce i nawiązuje pewną znajomość.....22
3. Monsieur le commissaire zapala cygaro, słucha i częstuje kieliszkiem Chateau Grand*Pontet rocznik 1978.....33
4. Doktor enologii wywołuje sensację, Fredric znajduje ciemną kawiarnię i widzi coś, czego nie powinien ujrzeć.....53

5. Król Minos mógł być kanibalem. Fredric otwiera paczkę i rozwiązuje pewien problem, posługując się miodem i winem.....68
6. Dłoń może mieć twarz, Fredric Drum mówi trzykrotnie „aha”, ale wcale nie ma pewności, czy znalazł się na właściwym tropie..... 87
7. Gąsior szczypie z całych sił, Fredric wymierza potężny cios i zdecydowanie odmawia Chdteau Trottevieille rocznik 1977..... 106
8. Król Minos kochał grzyby, dzwon kościelny wybija złą godzinę, a Fredric uznaje siebie za kompletnego idiotę..... 121
9. Monsieur la commissaire gubi guzik, a Fredric Drum przypomina sobie nagle kieliszek wina, który wypił w Oslo.....137
10. Fredric chwyta drabinę, hiszpańska rzeka nie jest hiszpańską rzeką, i stosuje sprytny fortel z wykorzystaniem kropli anyżowych.....150
11. Bliźniacy są jak dwa winogrona, twarz przemawia, a Fredric czuje, że mu zimno w stopy..... 161
12. Fredric Drum pływa nago w czepku kąpielowym i raczy się, jedenaście tysięcy metrów nad Europą, małą butelką Chdteau Margaux rocznik 1981..... 176

Krew i Wino